

Australczyk



ELIZA ORZESZKOWA

Australczyk

WSTĘP

„Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości, albowiem ich jest Królestwo Niebieskie”.

(Ewang. u św. Mat. 5.-3-10)

Roman Darnowski, młody urzędnik, należał do kategorii ludzi, którym powodzi się wybornie, a którzy jednak nie czują się zadowolonymi. Natura obdarzyła go dość hojnie; okoliczności, w porze dzieciństwa niepomyślne, potem sprzyjały mu stale. Fenomenem nie był w kierunku żadnym, ale posiadał zdolności umysłowe, które pozwoliły mu świetnie ukończyć wyższe naukowe studia, i powierzchowność ujmującą, której przeważnie zawdzięczał duże powodzenie towarzyskie. Przed dziesięciu laty przybył do ogromnego miasta i od razu znalazł w tym lesie drzewo takie, które go od wichrów, słót i zbłąkania się osłoniło. Był niemi dom krewnej, która niegdyś, jako skromna i prawie uboga panienska, nosiła to samo, co on, nazwisko, a od lat już kilkunastu była bogatą, z szerokimi kołami towarzyskimi zestosunkowaną, panią baronową Lamoni. Wypadek był dość rzadkim. Dziewczyna piękna i zalotna, z małego dworku szlacheckiego, została żoną człowieka bogatego, zajmującego na szerokim świecie stanowisko wysokie, i przedzierzgnęła się na damę światową, prowadzącą w wielkim mieście dom otwarty, wesoły, napełniony zbytkiem natury wszelkiej. Stało się to już dawno. Roman wcale jej nie znał, gdy po raz pierwszy złożył jej wizytę z listem polecającym od Domuntów, sąsiadów jego stryja, których baronowa była krewną daleko bliższą, niż Darnowskich. Kobieta już niemłoda, ale jeszcze piękna i więcej niż kiedykolwiek zalotna, sprawiła na nim wrażenie istoty zaciekawiającej, bo należącej do gatunku całkowicie mu dotąd nieznanego. Otoczenie, w którym żyła, wydało mu się wprost czarodziejstwem. Dziecko skromnych dworów wiejskich nie mogło przez czas długi napatrzeć się, nasłuchać, oprzytomnieć w tym państwie zbytku i wykwintu, którego królowa okazała się dla niego bardzo łaskawą. O tak rozkosznym wstąpieniu w świat nieznanym ani marzył. Dotąd znał tylko dom ojcowski, w którym żył do lat dwunastu i o którym wspomnienia odpędzał z całej siły, ilekroć opowiadać go próbowali; dom stryja, wcale już inny, lecz tak jak tamten wiejski, a daleko skromniejszy i cichszy, kilka dworów sąsiedzkich i miasteczko, w którym uczęszczał do szkół, trochę brudne i bardzo ubogie. Kobięcym zaś ideałem jego od lat paru była kuzynka Irena, dziewczę o trzy lata od niego młodsze, z twarzą bladą, oczyma szaremi i grubą, czarną kosą, rzuconą na stanik perkalowej sukienki. W każde święta i wakacje znajdował ją w domu stryja i albo tańczył z nią polkę i walca przy muzyce stryjenki, albo bardzo poważnie rozprawiał o zadaniach i powinnościach życia męskiego, kobiecego lub wogóle ludzkiego. Bo w czasie owym, to jest w ostatnich paru latach nauki szkolnej, był rezonerem wymownym i zapalczywym, a raczej należał do gromadki takich rezonerów, szczerze i gorąco przenikniętych przedmiotami swego rezonerstwa. Krytykowali wszystko, co wydawało się im złem lub marnem, wznosili ołtarze dla tego, co budziło w nich cześć lub miłość; w marzeniach i długich wywodach przekształcali, popychali, doskonalili, słowem, poruszali z posad ziemię. Ilekroć, w czasie świąt i wakacyj, znaleźli się razem na wsi, Irena należała do ich kółka marzycielskiego i szumnego; mówiła daleko mniej, niż oni, nie rezonowała, ani dysputowała tylko słuchała, słuchała z takim skupieniem niekiedy, z takim blaskiem w szarych oczach, jakby wszystkie ich opowiadania, argumenty, uniesienia, postanowienia, wchodząc w jej duszę, czyniły ją zamyśloną i ognistą. Często,

nie rozumiejąc tego lub owego, po skończonej rozmowie, zbliżała się do Romana i prosiła go o wyjaśnienia; nikogo więcej, tylko zawsze jego jednego o to prosiła. Widział w tym dowód sympatii z jednej strony, a z drugiej zaufania do jego wyższości umysłowej. Nie mylił się zapewne i uszczęśliwiała go to ogromnie. Wyjaśniał, opowiadał, nauczał, potem prosił stryjenki, aby zagrała walca i kręcił się ze śliczną kuzynką po niedużej bawialni, aż do utraty oddechu i zawrotu głowy. Była też tam lipa stara i rozłożysta, pod którą czytali czasem poezje różne, a czasem, rzecz dość dziwną: Plutarcha, żywoty mężów wielkich. Książkę tę wyszperał w bibliotece domowej stryjeczny brat Romana, Stefan Darnowski, i puścił w obieg pośród kolegów jednomyślnych. Roman, w czasie ostatnich wakacji, czytał tę książkę z Irenką. Czytali ją naprzemian z poezjami. Ona, słuchając Plutarcha, opuszczała robotę na kolana i patrzyła to na lektora, to w przestrzeń, oczyma wprost gorejącymi. Przy poezjach znowu miewała łzy nie tylko w oczach, ale czasem aż na policzkach bladawych i delikatnych, jak płatek kwiatu. Potem szli razem na długie przechadzki po polach i lesie, w czasie których biegali i dokazywali, jak małe dzieci. On kochał ją za zgrabną kibić, za szare oczy, za gruby warkocz na plecach, za głębokie zadumy przy Plutarchu, za łzy przy poezjach, za lekkie tańczenie walca, dziecinne dokazywanie na przechadzkach, za wszystko, słowem, co było nią, jej ciałem i duszą, a zdawało mu się, że kochał nawet szalenie i na zawsze.

Była to więc sielanka, może świeża i pełna wdzięku, może nawet niezupełnie pospolita, bo wchodził w nią pierwiastek marzeń niesamolubnych, trochę naiwnych, ale bardzo szczerych — zawsze jednak sielanka. Nie dziw też, że po przybyciu do wielkiego miasta na studia uniwersyteckie, wszystko, co zobaczył i czego doświadczył w domu i pod skrzydłem opiekuńczym swojej bogatej i świetnej krewnej, stało się dla niego czemś nakształt urzeczywistnionej bajki czarnoksiężkiej, wobec której sielanka coraz więcej bladła, płowiała, malała do rozmiarów fraszki, albo zabawki dziecinnej. Po niedługim czasie stanowczo powiedział sobie, że wszystko, co z nim działo się i stawało przedtem, było dzieciństwem; zaś życie naprawdę, mężkie, dojrzałe, realne, rozpoczęło się dla niego dopiero, odkąd tu przybył. Teraz dopiero poznawał świat rzeczywisty, jego zasoby, rozkosze, ścieżki, drogi; świat, w którym wcale nie było łatwo zająć miejsce wygodne, ale w którym jedynie żyć było warto. Teraz także zaczął rozumieć i usprawiedliwiać ojca swego, którego dotąd w najskrytszych głębinach serca i rozumu sądził surowo. Był to człowiek namiętny i rozrutny, lubiący nade wszystko wesołość i użycie. Strwonił majątek w sposób, który nie tylko przyprowadził go o ubóstwo, lecz przyprowadziłby o hańbę, gdyby brat z pomocą nie pospieszył. Ten brat przyniósł pomoc skuteczną honorowi jego, zagrożonemu przez złorzeczenia wierzycieli i jednemu dziecku ze wszelkich środków ogołoconemu. Roman pamiętał swoje dziecięce smutki i nawet rozpacz, pamiętał wiele rzeczy bolących, zawstydzających, i w tajemnicy swego serca i rozumu wydawał na ojca, na jego życie i postępowanie wyrok surowy. Teraz zaczął go rozumieć i usprawiedliwiać. Cóż? Chciał on użyć życia. Odkąd przekonał się, jak słodkimi ono być może, mniej dziwił się żądzy wypijania jego słodczy, choćby haustami zbyt dużymi. Zrozumiał, że sztuka prawdziwa polegała na tym, żeby najprzód zdobyć napój, a potem pić w miarę, tak, aby mózgi pić zawsze. Przykładów takiego zdobywania i miarkowania miał przed oczyma mnóstwo. Naprawdę, nikt prawie nie czynił tu nic innego, jak tylko zdobywał i miarę użycia zastosowywać usiłowywał do miary zdobyczy. Złe lub dobre zastosowywanie sprowadzało skutki odpowiednie. Były to nieustanne lekcje poglądowe, które roztaczały się przed wzrokiem młodego studenta, w domu jego bogatej krewnej i w szerokim kole jej stosunków, do którego wprowadziła go ona z dobrocią macierzyńską, zaprawioną pierwiastkiem innej natury. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, był chłopakiem wysmukłym, zgrabnym, z ładnymi rysami twarzy ściągłej i świeżej, z jasnym wąsikiem nad wargą rumianą i gęstymi włosami nad czołem gładkim, jak u dziecka. W oczach jego szafirowych i głębokich było zmieszanie marzytelstwa i ciekawości, nieśmiałości i energii. Pewna nawet niezgrabność, z jaką poruszał się w świecie nieznanym, sprawiała wrażenie świeżości, ponętne dla wzroku, przywykłego do kwiatów sztucznych. Jakkolwiek ostatnie były bardzo umiejętnie farbowanymi, to jednak róża naturalna, niezupełnie jeszcze z pęka rozwinięta, musiała być uciechą dla oczu i nawet niejaką ozdobą dla salonu. Przeszło czterdziestoletnia, resztkami piękności goniąca, światem, uciechami, wrażeniami przesycona i zarazem, rzecz dziwna! nigdy ich nie syta, Klara Lamoni od razu zaciągnęła młodego krewnego w poczet swych dworaków

i osypała go faworami, którymi na czas jakiś upił się, jak narkotykiem. Wytrzeźwiał potem i oddał się nauce z zapałem, budzonym przez dwie przyczyny: miał zamiłowanie rzetelne do nauki, a zarazem świadomość jasną, że tylko ona zapewnić mogła młodzieńcowi ubogiemu prawa stałego obywatelstwa w tej sferze upodobań i przyzwyczajęń, którą coraz częściej zaczął nazywać swoją. Powoli, druga z tych przyczyn zacierała poczęła pierwszą, a raczej wchłaniać ją w siebie, aż zlały się z sobą tak zupełnie, iż po latach paru Roman musiałby zawahać się przed daniem odpowiedzi rzetelnej na zapytanie: dlaczego się uczy? Zawahałby się, bo pierwszym jego popędem byłoby zawołać, że kocha naukę, ale zarazem uczułby wyraźnie, że nie jest to już prawdą, albo przynajmniej, że jest tylko częścią prawdy, coraz mniejszą. Niewątpliwie, wykłady uniwersyteckie, dzieła przez profesorów do czytania wskazywane, zajmowały go żywo, czasem namiętnie. Czasem czytywał, notował, uczył się przez całe szeregi dni i nocy nieustannie, zapalczywie, do zmęczenia się ostatecznego. Niewątpliwie, przestrzenie i głębie przez naukę odsłaniane, zaciekały go i pociągały. Jednak zarazem coraz częściej ogarniały go rozmyślenia; czy praktycznie postąpił, obierając sobie gałąź nauki tę, nie inną? Czy gdyby był obrał inną, nie doszedłby łatwiej i rychlej do celu, to jest do stanowiska niezależnego, obiecującego przyszłość coraz niezależniejszą i szerszą? Czasem zdawało mu się, że tak, czasem, że nie, i od tego, jaką odpowiedź na te pytania znajdował w rozważaniach własnych, lub w przykładach, przez otoczenie dostarczanych, zależał przez czas jakiś stopień jego zapału dla nauki. Jakkolwiekby, uczył się, pracował, przez co niekiedy na dość długie dni i tygodnie oddalał się od domu i świata opiekunki możnej i dobrotliwej. Jednak powracał do nich, zrazu dla względów przyzwoitości i wdzięczności, potem dlatego, że je lubił, nakoniec dlatego, że już obejść się bez nich nie mógł. Jednak, zarazem, mógł obejść się bez wielu rzeczy, jeżeli posiadanie ich było przeciwnem pewnej kategorii jego uczuć lub wyobrażeń. Z natury rozrzućna, dla niego szczególnie hojna baronowa zamarzyła o przerobieniu jego skromnej izdebki studenckiej na apartamencik wygodny i wytworny. Nie przyjął i po raz pierwszy stoczywszy z opiekunką i przyjaciółką sprzeczkę dość ostrą, przez długie parę miesięcy do domu jej nie powracał. Powrócił jednak. W czasie tego dobrowolnego ostracyzmu, gnany uczuciami zawstydzenia, zgryzoty, tęsknoty, nagle w nim powstającymi, rzucił się był ku współtowarzyszom, całkowicie inaczej, niż on, żyjącym i czującym. Ale tu stała się rzecz dla niego samego niespodziewana: nie mógł już pogodzić się z ich ubóstwem, prostotą, niekiedy prostactwem, w które ubierali się umyślnie, z surowością ich zasad, z szerokością ich myśli i zamiarów. Oni nawzajem ani myśleli szczędzić mu krytyk, żartów, przewisk, docinków. Po próbach dość długich zbliżenia się i życia, opuścił ich, z ziarnem goryczy i rozczarowania, po raz pierwszy może zapadł w serce, a o którym nie wiedział jeszcze, czy je uczuwał do nich, czy do siebie. Było jedno i drugie. Uczuwał żal do nich, ale zarazem i do samego siebie; lekcewał ich, ale trochę i siebie. O nich myślał: „gbury i pedanci”; o sobie: „wykierowałem się na gagatka i krótkowidza! „Nie zdając sobie z tego sprawy dokładnej, czuł, że zaczyna krótkowidzieć. W życiu umysłowym, jakim bądź co bądź musiało być życie studenta, nasuwały się co chwila przed myśl i wyobrażnię idee, teorie, zagadnienia. Szedł za nimi do kroków dziesięciu i stawał, wiedząc o tem, że można było iść do stu i więcej. Ale on stopniowo i nieznacznie, jeżeli nie nabierał wstrętu do dalekich zagłębiań się i dochodzeń, to przynajmniej chęć do nich tracił. Ale był nawet i wstręt niewyraźny. Ileż razy słyszał o nich: „to niepotrzebne!” albo: „to niebezpieczne!” albo nawet: „to nudne!”

Robiło to na nim wrażenie prawie nieświadome, jednak żłobiące ślady w umyśle i w temperamentie. Z pewną tedy goryczą myśląc: „robię się gagatkiem i krótkowidzem”, powrócił do wspaniałego apartamentu, znajdującego się przy jednej z najpiękniejszych ulic miasta, co przyszło mu z łatwością tem większą, że do powrotu wzywany był wielokrotnie i uporczywie. Znowu, jak przedtem, ale z wprawą i zręcznością coraz większą chodził i tańczył po woskowanych posadzkach i puszystych kobiercach w salonach baronowej i jej znajomych, zarazem uczył się; uczył się tem usilniej, że gdy dokończenie studjów było blizkiem, zagadnienie przyszłości stawało się nagłcem. Dotąd bez wielkiej troski żył i stawiał czoło potrzebom, wytworzonym przez życie w sferze wykwićnej, bo w tej nawet sferze niewiele wymagano od młodzieńca, który studjów naukowych jeszcze nie ukończył. Na wszystko to starczył dochód z małego kapitaliku, oddawna już odebranego od stryja i korzystnie umieszczonego u plutokraty, który był blizkim znajomym

i częstym gościem baronowej. Ale teraz co będzie? co czynić? jakie starania przedsięwziąć? gdzie znaleźć albo umieścić początek życia nowego? Czy powrócić w strony rodzinne? Czy pozostać w ognisku, z którego mnóstwo dróg rozchodzi się we wszystkie strony?

Tu, baronowa i jej najbliżsi pospieszyli ze stanowczem rozstrzygnięciem kwestji. Wracać w strony rodzinne! Zagrzebać się na prowincji, w jakimś kącie zapadłym i nudnym! Ale gdzie tam! Byłoby to dobrowolnem wyrzeczeniem się nadziei najpiękniejszych, czemś naksztalt samobójstwa, wprost — szaleństwem! Szkoda młodości, zdolności, wszystkich przymiotów wrodzonych i nabytych! Jakież stanowisko zająć może w stronach owych młody kandydat nauk prawnych? Jakiegoś chyba obrońcy sądowego, poświęcającego siły, zdolności, naukę, sprawom chłopskim i mieszczańskim, ponoszącego męczeństwo codzienne i nadaremne od roju trosk lichych, od ciemnoty stosunków prowincjonalnych, od nudy, pustki, może od niedostatku! To niepodobna. Ktokolwiek posiada możność zdobycia lepszego losu, na taki przystawać nie powinien. Roman wart lepszego losu i osiąść go może. Dopomogą mu w tem przyjaciele jego, zwłaszcza baronowa, która już teraz, zaraz, wprawia się w ruch starań, próśb, zabiegów, mających na celu otrzymanie dla młodego krewnego posady, o ile podobna najkorzystniejszej i najwięcej na przyszłość obiecującej.

Roman prawie zupełnie podzielał zdanie przyjaciół swoich: istotnie, dla mizernego życia na prowincji żałował samego siebie. Mniemał, że wartość jego przenosiła zapłatę, jaką to życie dać mu może. Zresztą, mnóstwo węzłów zadzierzgnęło się już pomiędzy nim a otoczeniem, w którym spędził lat kilka.

Przywiązań nie miał tu żadnych, lecz wiele przyzwyczajęń i mnóstwo upodobań jeszcze nienasyconych; przytem zatracił pojęcie o możliwości dla siebie innej formy życia, niż ta, którą poczytywał za bardzo wysoką, i której uznawał się godnym. Drogę torowały przed nim wróżki dobroczynne, których widocznie był ulubieńcem. Starania baronowej uwieńczył skutek najpomyślniejszy, o jakim tylko zamarzyć było podobna.

Od czasu tego pięć lat minęło w pomyślności stałej i zupełnej; Roman Darnowski przecież nie czuł się zadowolonym. Owszem, od zadowolenia dzieliła go przestrzeń daleko znaczniejsza, niż przed laty kilku, niż u pierwszego początku drogi, utorowanej mu przez dobre wróżki.

Wieczór zimowy kończył się już w naturze, ale w świecie rozpoczynał się zaledwie, gdy przed opuszczeniem kawalerskiego mieszkanka swego, po raz ostatni stanął przed zwierciadłem. W mieszkanku małym, ale wykwiłtnie urządzone, zwierciadło, oświetlone dwiema lampami, odbiło zgrabną postać młodzieńczą i twarz, której rysy ściągłe i prawidłowe ocieniała gęstwina włosów ciemnych, a oświecały duże, szafirowe oczy. Może zachmurzały raczej, niż oświecały, bo wyraz ich był trochę posępny. Na czole śniadawem leżała siateczka cieniutka, jakby z najcieńszych możliwie włosków upleciona. Były to pierwsze zarysy zmarszczek, na lat 29 nieco przedwczesnych. Usta, pod ciemnym wąsem zawsze ponsowe i kształtne, nie uśmiechały się wesoło. Wprawdzie nie kurczyły się z bólu, albo żalości, ale się też nie uśmiechały. Były trochę apatyczne, trochę kapryśne skrzywione. We fraku i białym krawacie, leniwie wkładał na ręce białe rękawiczki.

Musi iść na wieczór do baronowej. Nie chce mu się, ale pójdzie. Dziś szczególnie, gdy doświadcza spleenu nieznośnego, który od pewnego czasu napada go coraz częściej, wolałby o wiele pozostać w domu i czytać tę zajmującą książkę, której białe karty świecą na biurku, pomiędzy fraszkami z brązu i malachitu. Tak rzadko teraz zdarza się mu natrafić na książkę prawdziwie zajmującą, a ta jest właśnie taką. Nowa teoria naukowa, nowe poglądy na istotę człowieka fizyczną i psychiczną. To zaciekawia i budzi nadzieję, już w nim omdlała, że może istnieć na świecie coś świeższego, głębszego i rozumniejszego nad to, co istnieje. Od dość dawna, wtedy tylko czuje spokój i zadowolenie zupełne, choć chwilowe, gdy w ciszy i samotności czyta, rozważa, myśli. Tylko, że im więcej myśli, tem więcej samo dno rzeczy wydaje mu się oddalonem i niedosięgiem. Zwykły to objaw w człowieku, który wiele uczył się, doświadczał i spostrzegał. Zwykły i smutny, bo płytkość i krótkość wszechrzeczy ludzkich, gdy tylko jest poznana, sączy w serce smutek i zniechęcenie, które pod nawalem zajęć i wrażeń milkną często, lecz tylko dlatego, aby przy lada sposobności odezwać się z siłą wzmożoną. Mniejsza z tem zresztą! Wolałby jednak pozostać w domu i czytać tę książkę, niżeli iść na wieczór do baronowej, gdzie nie znajdzie najpewniej nic nowego, ani szczególnie przyjemnego. Wszystko i wszystkich tam zna jak swoje pięć

palców, nawet lepiej, bo o anatomji palców ma dość słabe wyobrażenie, zaś tam, wszystko i wszystkich poznał do głębi. Jeżeli już zresztą wyjść z domu, i iść gdziekolwiek, to z większą ochotą poszedłby do tej sali, w której od dwóch miesięcy śpiewa ta szalona Irma. Płomień, wulkan nie kobieta, harfa ze strun, wprawionych w taniec szalony przez namiętności, nie znające pokoju, ni granic. Śliczna przytem. Filuterna, zgrabna, wabna, jak sto szatanów. Dobra zresztą dziewczyna. No, dobra — to zawiele dla tej bestyjki, ale przynajmniej szczerza. Wogóle, światek, do którego należy Irma, wydaje mu się lepszym i nawet przyjemniejszym od wielkiego świata, przez to, że jest szczerym. Tu przynajmniej wiadomo, co o kim trzymać, bo każdy przedstawia się jasno i otwarcie takim, jakim jest i tem, czem jest, przyczem wesołości nie tłumi i przyjemności nie tamuje żaden woal. Tam, za woalami, pchu! to samo, albo nic wcale oprócz nudy. Tylko woale piękne, lub świetne, i ten szczęśliwy, kto jest zamało byстрыm, albo nie dość przybliżonym, aby dostrzedz, co za niemi. Niedawno czytał traktat Carlyle'a o znaczeniu sukien moralnem i towarzyskiem. Z książką tą spędził parę wieczorów bardzo przyjemnych. Czytając ją, myślał i teraz myśli, że autor jej był wynalazcą bardzo dowcipnym.

Niewielu ludzi domyśla się, jak ogromną rolę odgrywa w ludzkości rzecz z pozoru tak pospolita, jak suknia. Trzeba tylko zrozumieć ten wyraz w całej jego ogromnej rozciągłości. Wszystko zależy od sukni. Baronowa Lamoni i Irma, szansonistka, tylko dlatego zajmują w świecie stanowiska zupełnie odmienne, że trafia urodzenia i losu przyodziały je w suknie odmienne. Same w sobie, niezależnie od swoich sukien, są zjawiskami jednej natury, tylko Irma jest zabawniejszą, bo szczerzą. Niegdyś, byłby oburzył się na porównanie takie, ale teraz, ba, ba! wie dobrze, jak wyglądają farbowane lisy. Gdybyż nie wiedział? Może wiele dalby za to, aby nie wiedzieć! ale wie i na to rady niema.

Usiadł na otomanie, stojącej w rogu malutkiego saloniku i, gryząc w zębach zgasłe cygaro, myślał, że to jego mieszkanie, zupełnie jak ten świat, w którym życie mu upływa, pełne liczmanów, które udają dukaty. Na pierwsze spojrzenie wszystko tu barwne, puszyste, błyszczące, kosztowne, ale w rzeczywistości tandeta i tanizna, udające wykwint i kosztowność. Bardzo zręcznie zastosowanym tu został wynalazek świecących lichot. Pierwszą przyczyną powstania w świecie tego wynalazku, było połączenie środków bardzo miernych z wielkimi wymaganiami pewnych środowisk i upodobań. Gdzie szanowaniem i lubieniem może być tylko bogactwo, tam każdy przywdziewa suknię, utkaną choćby z jego pozorów.

On uczynił tak, jak w jego środowisku czynią wszyscy. Gdyby chciał być pod tym względem oryginalnym, musiałby z góry wyrzec się wszystkiego, co stanowi powodzenie. Przytem, brak estetyki w otoczeniu, choćby takiej, liczmanowej, byłby dla niego dotkliwym; lubi rzeczy piękne, a w ich braku, takie choćby, które zręcznie udają piękność. Prawdę mówiąc, na tych brązowych lichtarzach, przyciskach, ramach, które świecą jak złoto, tyle jest złota, że za jego cenę ostatni nawet biedak nie utrzymałby długo nędznego życia. Tkanina okrywająca otomanę na której siedzi, zdala podobna do puszystego pluszu, jest pajęczyną, której nietrwałość i szorstkość przykrywa trochę jedwabiu. Malachitowe cacka, przyozdabiające biurko, mają pełno szczerb i uszkodzeń, które, tylko dzięki zręczności ustawienia, są prawie niewidzialnymi. Piękne zwierciadła z konsolą i lampami porcelanowymi nabył wypadkiem... Ach, te wypadki, wyprzedaje, anonse dziennikarskie, którym zawdzięczał znaczną część elegancji, napełniającej to mieszkanie, zbrzydły mu do stopnia wstrętu i ohydy! Bo w gruncie rzeczy jest to komedia, którą odgrywa przed ludźmi i przed samym sobą. Ale inaczej niepodobna. Wynagrodzenie, które za swoją pracę otrzymuje, jakkolwiek w stosunku do wieku i zasług jego bardzo znaczne, jest w porównaniu z jego potrzebami bardzo mizernem. Potrzeby te, z powodu środowiska, w którym żyje, i upodobań, które nabył, są tak wielkimi, że środki posiadane żadnym sposobem zadowolnić ich nie mogą w zupełności, jeżeli zaś w części zadawalniają, to tylko dzięki staraniom, zabiegom, wypadkom, wyprzedazom — liczmanom, ukazywanym jako dukaty, słowem komedji nudnej i której się wstydzi. Cóż więc dziwnego, że od lat paru doświadcza niekiedy ataków zniechęcenia rozczarowania, smutków gryzących i posepnych. Z przyczyn ich nie zdawał sobie dotąd sprawy dokładnej, ale główna leży na wierzchu. Może jedyna. Bo czegoż więcej mu niedostaje? Gdyby posiadał większą swobodę i szerokość życia, których użyzyć mogłyby większe środki materialne, byłby znowu, jak dawniej,

wesołym i z losu swego zupełnie zadowolonym. Pragnie także mieć większe upewnienie co do przyszłości. Od lat pięciu przebywa na jednym miejscu. To zadługo. Pomimo, że w pracy biurowej nie znajduje nic wcale ponętnego, że owszem, wydaje mu się ona suchą, nudną i prawie nic z siebie nie wydającą, usiłuje być urzędnikiem wzorowym, pochlebia sobie, że jest takim i wie, że za takiego poczytują go zwierzchnicy. Jednak ani o krok nie posunął się jeszcze naprzód. Trwa to zadługo i niepokoić go zaczyna. Może być bardzo, że jeszcze przez całe lata przyjdzie mu biedę klepać, bo trzeba to sobie powiedzieć bez ogródek, że takie życie, jakie teraz prowadzi, jest klepaniem biedy, odrobinę pozłoconej, jak te lichtarze powleczone warstewką pozłoty, jednak biedy. Teraz np. ta Irma działa na niego jak szampan i gdyby miał środki znaczniejsze... Ta sama historia, co w roku zeszyłem z Aurorą, wołyżerką cyrkową, którą mu odbił brzydał ospowaty i garbaty, ale milioner...

Nagle porwał się z otomany i parę razy przebiegł szybko salonik.

— Pfu! o czym ja myślę i nad czym biadam! Jeszcze trochę, a nabiorę do siebie obrzydzenia takiego, że chyba w łeb sobie palnę, aby przynajmniej z jednej poczwary świat oczyścić!

Istotnie uczuł do siebie obrzydzenie, złagodzone wkrótce rozważą, że jednak w trwodze i trosce o przyszłość nie chodziło mu naprawdę o Aurorę lub Irmę, ale o kawałek, o pewny kawałek chleba, i tyle przynajmniej suty, aby nie potrzebował liczyć się, jak sknera, z każdym przełkniętym kąskiem. Gdyby w karierze posunął się naprzód i posiadał egzystencję szerszą, swobodniejszą, pozbyłby się najpewniej smutków i nieukontentowań, które go teraz napadają, jak babskie spazmy. Ożeniłby się zapewne i życie wypełnione uczuciami rodzinnymi, ujęte w karby obowiązków, przyniosłoby mu sumę zadowolenia, zupełnie wystarczającą. Myśl o ożenieniu przychodziła mu do głowy nie po raz pierwszy. Uczuwał potrzebę przywiązania się do kogoś i posiadania obok siebie istoty milej i przywiązanej. W samotności i w świecie bywało mu coraz częściej zimno i pusto. Mętnie wyrozumiewał, że chłód pochodził z serca, które, lubiąc mnóstwo rzeczy, nie kochało nic i nikogo. Niewiele zastanawiał się nad tem, lecz nierzadko, choć przelotnie myślał, że musi przecież mieć kiedyś kogoś kochanego, kochającego, prawdziwie blizkiego, swego. Ale były dwie przeszkody. Najprzód, sprzeciwiały się temu stanowczo warunki materialne, dla niego jednego nawet niewystarczające. Następnie, w wyobraźni jego, kędyś u jej szczytu, jakby pod jej niebem, unosił się typ kobiety, który mógłby obudzić w nim tkliwość i ufność, których pokłady nienaruszone leżały na dnie jego serca, wzruszanego często, lecz płytko i nietrwale. Nie określał przed sobą tego typu w rysach jasnych i stałych; ale wiedział, że musiało to być coś dziewiczego i słodkiego, rozumnego i prawego, coś z licem, jakby wyśnionem niegdyś, bladawem, wrażliwym, z parą oczu dobrych, czasem gorejących, a czasem lżą oszklonych. Kobiety, któraby taki typ urzeczywistniała, nie było w otoczeniu jego. Raz tylko, niegdyś, przyśniła mu się i potem nigdy już takiej nie spotkał. Nic to: gdyby tylko polepszył się los jego, gdyby warunki życia stały się szerszemi, a przyszłość pewniejszą, rozejrzalby się po świecie, możeby znalazł taką i stał się szczęśliwym. Bo co teraz, to czuje się tak znudzonym, stęsknionym, a często i niespokojnym, jakby mu brakowało czegoś, co jest dla człowieka najważniejszym, najkonieczniejszym...

Z tem wszystkiem godzina już późna i do baronowej na wieczór jechać musi. Nie widział jej od paru miesięcy. Odbywała wycieczkę w strony rodzinne swoje i jego, gdzie miała do załatwienia jakąś sprawę majątkową: odbierała jakiś spadek, sprzedawała jakiś folwark, czy coś podobnego. Niewiele obchodziła go przyczyna, dla której puściła się w tę dość daleką podróż i nie dowiadywał się o niej bardzo. Odkąd wróciła, nie widział jej jeszcze. Był u niej parę razy, ale w domu nie zastał: oddawała wizyty powitalne, krzątała się około urządzania dzisiejszego wieczoru, wynagradzała sobie żalną stratę czasu, poniesioną przez dwumiesięczną nieobecność w stolicy. Śmiech go brał na myśl o tem, co ta kobieta robić mogła na wsi przez całe dwa miesiące! Toż to musiały być desperacje i nudy śmiertelne! Wczoraj otrzymał od niej bilecik zapraszający z przypiskiem, który go zaciekawiał. „Mam dla ciebie nowinę bardzo ważną i pomyślną; ale nie dowiesz się o niej gdzieindziej, jak tylko w moim małym saloniku, na kozetce, którą znasz, za parawanikiem chińskim, który lubisz. No, spodziewam się, że mi podziękujesz, bo nowina piękna. Już niedługo, a będziesz mógł mieć sam tyle parawaników chińskich, ile tylko dusza zażąda!” Przebiegłszy oczyma ten dopisek, zrazu machnął ręką i pomyślał: „pewno

jakieś głupstwo!” Bo jej ważne nowiny zawsze były w tym rodzaju: „wiesz? urządzamy kulig o dziesięć wiorst za miasto, albo: w operze śpiewać będzie ten sławny Tromtadroni! albo: ta M., czy N. zakochała się w tobie, aż głowa jej się kręci!” A jego, te kuligi, Tromtadrony i kręcenie się głowy M. albo N. obchodziły najczęściej tyle, ile śniegi zeszłorocznej zimy. Jednak tym razem było chyba coś innego, bo cóż znaczy oznajmienie, że będzie mógł wkrótce posiadać tyle parawaników chińskich, ile tylko zażąda. Parsknął śmiechem. Ogromnie komicznem wydało mu się wyobrażenie o duszy, żądającej parawaników chińskich. Alboż to dusze żądają rzeczy w tym rodzaju? Zresztą, co prawda, są i takie, bardzo zabawne i może najszcześniejsze.

Zadzzwonił. Chłopakowi niedoroślemu, który wbiegł na odgłos dzwonka, rozkazał futro sobie podać i drzwi mieszkania na klucz zamknąć. Nie miał lokaja; pomimo pensji znacznej, nie był w stanie go opłacać. Usługiwał mu na zapotrzebowanie syn stróża tej kamienicy okazałej, ozdobnej, przy jednej z ulic głównych stojącej, w której znajdowało się jego mieszkanie, także okazałe, ozdobne, choć przez niego samego silnie krytykowane.

Na schodach baronowej szerokich, rzęsiście oświetlonych, dywanami wysłanych, zobaczył dwie kobiety, które, wyprzedzając go nieco, w białych okryciach wstępowały po stopniach schodów, powoli, równo, jakby po strudze światła płynęły w górę. Poznał je zaraz, poskoczył i prawie w mgnieniu oka obok nich się znalazł. Natychmiast też rozpoczęła się rozmowa żywa i wesoła, której słówka, uśmiechy, spojrzenia, nasuwały przypuszczenie „kręcenia się głowy”. I naprawdę, wysoka brunetka z rysami trochę ptasiemi i gwiazdą brylantową w czarnych jak noc włosach, była tą M., o której niedawno baronowa oznajmiała krewnemu nowinę wielką: „wiesz? M. kocha się w tobie, aż jej się głowa kręci!” Patrząc w tej chwili na Romana, można było zrozumieć to „kręcenie się” za sprawą jego głowy tej i innych. Smutki, tęsknoty, niepokoje, rozmyślenia, zamknął na klucz w mieszkaniu opuszczonem i nie był teraz niczem innym, jak ładnym, wytwornym chłopcem, uradowanym z milego spotkania, rumianemi usty uśmiechającym się do czarnych oczu, które z upodobaniem patrzyły na niego z pod brylantowej gwiazdy. Było to zupełnie szczere. Bardzo widoczna sympatja kobiety powabnej i zajmującej w świecie stanowisko dość wysokie, sprawiała mu przyjemność podwójną. Lubił patrzeć w jej czarne, ogniste oczy i lubił, gdy widziano, że ona mu pozwala patrzeć w nie inaczej, niż wszystkim innym. Zrobiło się mu wesoło i przyjemnie. U samych drzwi baronowej właścicielka czarnych oczu i brylantowej gwiazdy, jakby nagle przypominając sobie o czemś, żywo przemówiła.

— Wie pan o nowinie?

Pomyślał, że stanowczo był to dla niego dzień nowin. Ona mówiła dalej:

— Od dni paru bawi w naszym mieście p. Marcelli Domunt, ten inżynier i aferzysta... Pewno dziś będzie u baronowej... Był wczoraj z wizytą u mnie... Bardzo przyjemny. Podobno Nabab zrobił się z niego...

Weszli do przedpokoju. Marcelli Domunt! Dawny znajomy i prawie kolega szkolny, choć znacznie od niego starszy. Pamięta go dobrze. Nabab! Czy tak się zbożycił? Prawda! Słyszał już coś o tem... Ciekawym będzie zobaczyć znowu tego człowieka, tak rozumnego i zręcznego, że w czasie względnie krótkim potrafił stać się Nababem!

Amfilada salonów gorzała od światła, mieniła się barwami ubrań kobiecych i męskich, wrzała gwarem głosów przyciszonych, ale licznych. Lokaje roznosili na tacach ogromnych herbatę, z mnóstwem dodatków, które nietylko smak, ale i wzrok nęcić mogły, takie to wszystko było ładne, ładnie ułożone, przyozdobione srebrem, kryształami, karmelem, naśladowującym bursztyn. Na sprzętach najrozmaitszych: niższych, wyższych, ciężkich, leciuchnych, okrągłych, powyginanych, siedziały grupy kobiet i mężczyzn większe, mniejsze, podobne do klombów, rozsianych po przestrzeni, kąpiącej się w białym świetle gazowem. Jak słońce w kroplach rosy, stojącej na kwiatach, światło to zapalało mirjady połysków na jedwabiach, w złocie, w brylantach, w oczach. Obnażone ramiona kobiece przybierały w niem pozór marmurów śnieżnych lub blade-różowych. Długie suknie, jak wody o barwach bladawych, falowały po błyszczących kwadratach posadzki, albo po fantastycznych wzorach kobierców. Zwisające od sufitów snopy i gwiazdy płomyków przeglądały się w zwierciadłach, które ich odbicia przesyłały innym, mnożąc je tym sposobem w nieskończoność daleką i olśniewającą. U okien, osłoniętych draperjami ciężkich firanek, na wysokich lodygach strzelały śnieżne kielichy datury; nad gajem hja-

cyntów dziwne orchidee unosiły się nakształt roju pszczoł i motyli, passi-flory pelzały od okna do okna, rozkładając na amarantowych adamaszkach, błękitnych pluszach, swoje liljowo-czerwone gwiazdy. Jaskrawo-złote ramy prowadziły wzrok do pejzaży sielskich, górskich, morskich, do postaci idyllicznych i rycerskich, tu i owdzie ukazujących się na ścianach w świetle obfitem. W jednym z salonów widać było klomb zielonych roślin, przysłaniający białą statuetę, dzieło sztuki, wyszłe z pod dłuta znakomitego. Nad stołami wznosiły się wazy sewrskie, japońskie, wspaniałe postumenty lamp z malachitu, z lapis-lazuli, ze starego brązu. W gwarze rozmów, przypominającym grzmot, nieustannie toczący się w oddaleniu wielkim, słychać było rytmiczne szelesty zwijanych i rozwijanych wachlarzy, brzęki ostróg, dźwięki srebra, uderzającego zlekka o porcelanę, niekiedy śmiechy głośne, ale krótkie, podobne do rakiet wystrzeliwujących z szemrzącego płomienia ogni sztucznych. W ostatnim salonie, daleko zda się, daleko, za morzem światła, gwaru i kwiatów, ktoś grał na fortepianie.

U drzwi pierwszego z salonów witała przybywających gości jasna blondynka średniego wzrostu, trochę otyła, na pierwszy rzut oka bardzo piękna, w aksamitnej sukni i piórach strusich, zdobiących prawie popielate włosy. Towarzyszył jej mężczyzna bardzo niemłody, bardzo blady, bardzo łysy, mający minę Jowisza, mocno sfatygowanego swoją chwałą i potęgą. Kiedy Roman zginał się przed gospodynią domu w ukłonie tak głębokim i ceremonjalnym, że prawie dworskim, ona nieznacznie pogroziła mu palcem. Nie pytał, za co. Od tygodnia już była tu z powrotem, a nie widzieli się jeszcze z sobą. Przychodził dwa razy i w domu jej nie zastawał. Nic to. Powinien był przyjść razy dwadzieścia. Korzystając z chwilowej przerwy w nadchodzeniu gości, pochylił się nieco ku niej i ze znaczącym spojrzeniem zapytał:

— Nowina?

Zbliżka twarz jej przypominała porcelanową paterę z dwiema blademi różyczkami na tle olśniewająco białem. Po tej martwocie rozplynęła się jednak uciecha promienna.

— Wyśmienita! — odpowiedziała zcicha. Ale widzisz przecie, że w tej chwili nie mogę... Potem, przy sposobności... Teraz idź sobie w świat, baw się dobrze i baw innych...

Odchodząc, myślał, że stanowczo zawiele bieli się i różuje. Czyni to oddawna, ale coraz niezręcznie. *Trop de zèle*. Nic dziwnego. Upiększenie przedtem lekkie i od niechętnia używane, stało się teraz środkiem ratunkowym, chwytanym całą garścią. Może też i naprawdę żałośnie wyglądałaby bez tej emalii. Rozmyślania te przerwało mu spotkanie kilku kolegów i przyjaciół, którzy wciągnęli go do ożywionej rozmowy. Rzecz szła o cyfrę wynagrodzenia, którą otrzymać miał operzysta znakomity za kilka występów w teatrze miejscowym. Kolosalność jej budziła w tem gronie młodzieży podziw, zmieszany z odrobiną zawiści. Przyznawano powszechnie, że wielcy śpiewacy są teraz prawdziwymi panami świata i najszczęśliwsi z ludzi. Pieniądze i oklaski. Wielkie pieniądze i wieczne oklaski. Oni to rozwiązali kwestję bytu lub niebytu szczęśliwości ziemskiej! Roman wtrącił, że do tej szczęśliwości trzebaby jeszcze włączyć pierwiastek rozkoszy artystycznych, sprawianych przez sztukę; ale parę głosów odpowiedziało na to śmiechem. Sztuka! ależ ci panowie ani myślą być tak wzniosłymi. Jest to rzemiosło takie, jak każde inne, a tylko stokroć zyskowniejsze od innych. Wszystko zresztą zamienia się teraz w rzemiosło, mniej lub więcej zyskowne. Rozkosze sztuki, nauki i różnych tam innych rzeczy podobnych, to archaizmy...

— I parawaniki! — wtrącił Roman.

I parawaniki, potwierdzono, za którymi odbywają się wściekle gonitwy do gór złotych. Niepodobna też, aby było inaczej, bo w społeczeństwach cywilizowanych wymagania od życia tak wzrosły, że zaspokoić je mogą naprawdę tylko góry złota. Sprawia to zresztą ludzkości korzyść oczywistą, bo potrzeby ogromne sprowadzają wysilenia ogromne, z których powstaje postęp na wszelkich polach... Tu rozmawiające kółko zwróciło uwagę na kilku świeżo przybywających gości. Ten niski, przygarbiony nieco człowieczek, to lekarz z ogromną sławą; już też podobno pół miliona z górą ulokował na zagranicznych bankach. Wiwat nauka! Ale pół miliona ze swoją górą i nauka bardzo intratna składają niskie ukłony przed kimś, kto podobno nie ma wielkiego majątku, lecz jest cały okryty oznakami wielkich dostojęstw. To znowu karjera niezwykła: szybka, świetna, poprostu fajerwerkowa. Nie przeszkadza to jej kłaniać się z kolei niewymownie grzecznie i słodko przed jednym z najwyższych dygnitarzy państwa plutokratycznego. Ten, to już

poprostu jest jednym, ogromnym trzosem złota! Umie też żyć! Kto bywa w domu jego? Prawie wszyscy rozmawiający bywali tam, albo przynajmniej przedstawiali się, z nadzieją bywania. Co za zbytek szalony, ah! Ten salon Louis XIV kosztuje go podobno tyle, ile niejeden pałacyk wcale ładny. Teraz kazał sobie malować plafon do przedsionka, za który malarzowi ze sławą europejską zapłaci sumy bająnskie... I tak dalej, i tak dalej... Roman, wraz z innymi, przeglądał wchodzących, wymieniał nazwiska i cyfry, patrzył na ukłony, składane przez miliony tytułom, przez karjery majątkom, uśmiechał się, nawet śmiał się czasem, utrzymywał, że inaczej być nie może i że to bardzo dobrze, korzystnie dla postępu, oświaty, ogłady, dobrobytu, przemysłu. Oczy błyszcząły mu coraz mocniej, rysy zaostrzały się i powlekały wyrazem zgryźliwości. Bo pomimo wesołego nieraz śmiechu i teoryj, wygłaszanych ze szczerością, w którą sam wierzył najmocniej, jakaś żmijka okręcała się mu dookoła serca i szczypała je zlekka, lecz dotkliwie. Zupełnie pomimo woli myślał, że jednak on bardzo już długo na jednym miejscu siedzi i bardzo wiele czasu traci, że mu ogromnie jeszcze, niezmiernie daleko do tych dóbr, do tych szczytów, do tych szczęśliwości, o których wszyscy dookoła mówią i które dookoła budzą zachwyt, zmieszany z żądzą i zawiścią.

Pomimo jednak żmijki, bawił się dobrze i bawił innych. W tych salonach pływał, jak ryba w wodzie. Gdyby zastanawiał się nad sobą, przyszedłby do przekonania, że nie jest jednym człowiekiem, ale dwoma ludźmi: tym, który przed godziną czuł się znużonym, rozczarowanym, głęboko smutnym, i tym, który teraz z rozkoszą uczuwa piękność, miękkość, wykwiń otoczenia i doświadcza bardzo przyjemnych wrażeń, flirtując z czarnymi oczyma, zalotnie i ogniście spoglądającymi na niego z pod brylantowej gwiazdy. Bo w klombie sukien jedwabnych, fraków czarnych, obnażonych ramion i wachlarzy, podobnych do poruszających się ze szmerem skrzydeł olbrzymich motyli, panował flirt lekki, filuterny, dowcipny, przejęty u spodu dreszczami wzruszeń. Jedno ze skrzydeł motyli, utkane z gazy haftowanej złotem, poruszane ręką, migocącą wężami bransolet, rzucało na Romana krótkie powiewy chłodu i wzmożonego zapachu perfum. Było to podobne do rytmicznie spływających mu na twarz pocałunków przelotnych i wonnych. Przytem wątek rozmowy, zadzierzgnięty już na schodach, snuł się nieustannie, złożony z fraszek powszednich, prawie bezmyślny, lecz przybierający od gry rysów i intonacji głosów znaczenie wcale odmienne od tego, które posiadały słowa. Było to coś podwójnego i zamaskowanego, jakaś gra w haczyki delikatne i zaostrome, które to przyciągały, to odpychały wyobraźnię, ciekawość i zmysły. Jednak właścicielce czarnych oczu i brylantowej gwiazdy nie dostawało czegoś, co by tę grę uczynić mogło zupełnie zajmującą, bo nie przeszkadzała ona Romanowi czynić spostrzeżeń, że rysy jej twarzy były zbyt ostre i zbyt przypominały ptaka, z profilu widzianego, że dookoła ust jej z piękną linią i barwą tworzył się niekiedy wyraz kaprysu, a w oczach ognistych, za płomieniem, wznieconym przez namiętność i zalotność, panowała pustka absolutna. Wkrótce, korzystając z poruszenia, nadanego klombowi przez nadejście kilku osób nowych, a odejście innych, powstał i odszedł. Odchodząc, myślał, że stanowczo nie jest to jego ulubiony typ kobiety i że woli o wiele Irmę. Ta i tamta są zarówno ładnymi bestyjkami, ale tamta ładniejsza i zabawniejsza, tylko.... tylko zbyt kosztowna! Dla niego zbyt kosztowna, bo w tem zebraniu znajdowało się mnóstwo takich, którzy bez najlżejszej trudności mogliby posiadać ten przedmiot wysokiego zbytku.

Do takich należał zapewne gość w tej chwili przybywający, spóźniony ale przez wiele osób witany z pośpiechem i uprzejmością, które przekraczały miarę zwyczajną. Był to mężczyzna wysoki i zbudowany silnie, z twarzą energicznie zarysowaną, z dużą rudawą brodą i połyskującym u piersi godłem, na którym srebrny młotek krzyżował się z takąż kielnią. Roman od pierwszego rzutu oka poznał Marcelego Domunta, znanego od dzieciństwa, niewidzianego od lat wielu. Inżynier i przedsiębiorca, jeden z najzuchwalszych i najszcześniejszych argonautów współczesnych, dziś już prawie milioner, w przyszłości niezawodnie nabab. Dlatego zapewne otoczyło go odrazu tak wiele osób, że Roman uczył wstręt do przebijania tego tłumu. Niech tam! przywitają się z sobą potem. Zdaleka tymczasem patrzył na tryumfatora. Był wesołym i mównym, ale wydawał się roztargnionym. Wzrok jego nieustannie uciekał od otaczającej rzeczywistości i cofał się jakby do wnętrza mózgu, gdzie miał zapewne bardzo wiele do widzenia, sprawdzania, rachowania. Zresztą, blizki krewny pani domu znajdował się tu, jak u siebie, pewny siebie, swobodny,

wcale nie wyniosły, ani dumny, lecz doskonale świadomy tego, że zrobił wiele, znaczy wiele i wolno mu wiele. Bardzo szybko porwał go grono mężczyzn, niesłuchanie widokiem jego uradowanych i poprowadziło w głąb apartamentu ku stołom kartowym. Za nim, podobny do falistej ścieżki wodnej, którą na powierzchni rzeki tworzy strumyk, tylko co do niej wpadły, popłynęła struga uwag i wiadomości zcicha zamienianych. Szczęśliwy człowiek! Rozumny, biegły w czynnościach swoich, niesłuchanie bystry, nade wszystko jednak szczęśliwy! Na jedną stratę otrzymuje dziesięć zysków, zawsze bardzo znacznych. Ostatnie przedsiębiorstwo udało mu się kolosalnie; zarobił na niem sumę ogromną. Wprawdzie, nie można nigdy wiedzieć napewno, jakim będzie koniec takich ludzi. Król, albo cygan! Ten przecież stanowi chyba wyjątek. Niesłuchanie ryzykowny ale zarazem przebiegły i zapobiegliwy. Podobno jest tu teraz po to, aby nabyć w stolicy dwa ogromne domy, których już nigdy nie da na stawkę. Gdyby one tylko ostatecznie mu pozostały, jeszcze mógłby wcale nieźle figurować w świecie. Ale gdzież tam! On się jeszcze dobije nie wiedzieć czego. Nie ma skończonych lat czterdziestu, a gdzie już nie był, czego się nie podejmował i co mu się nie udawało! Tęga głowa i tęgi charakter! Takich teraz przedewszystkiem potrzeba światu. Jest człowiekiem prawdziwie współczesnym, ztąd to powodzenie szybkie i szalone. Kobiety ubolewały, że indywiduum tak zajmujące, inteligentne i zapewne przyjemne zasadzono do kartowego stołu. Ktoś dostarczył informacji, że Marcelli Domunt towarzystwa dam nie lubi, jest zwykle zanadto zmęczonym pracą, aby miał znowu męczyć się rozmową. Ożenił się już zresztą przed paru laty, a prosty flirt nie przedstawiałby dla niego żadnego interesu poważnego. Dowcipnisie utrzymują, że nawet z żoną spędza dwa dni na rok, przez resztę czasu znajdując się w podróży i miejscach bardzo oddalonych, w których prowadzi swoje roboty. Gra w karty daje mu wytchnienie i rozrywkę nie nużącą, ale i wśród niej objawia charakter sobie właściwy. Grywa niezmiernie śmiało i wysoko. W takim też tylko zebraniu, jak obecne, znaleźć się mogą odpowiedni dla niego partnerzy.

Roman słuchał tych wszystkich wiadomości i uwag z ciekawością bardzo żywą, bo przecież, niegdyś, znał dobrze ich bohatera, jakoteż jego miejsce rodzinne i rodzinę. Kędyś, ztąd bardzo daleko, na rozłogu pól płaskich, pod ciemnym pasem boru, stał dom nieduży, białym tynkiem powleczone, z gankiem, opartym na czterech białych słupach, z dużą szybą stawu w ogrodzie cieniście. Nazywało się to Kaniówką i było starem gniazdem rodzinnem, z którego wyleciał ten orzeł. Miejsce to Roman widział w tej chwili, jakby w oddaleniu ogromnym i jakby w mgle oddalenia i zapomnienia. Niegdyś przecież znał je dobrze. Domuntów było kilku. Ten najstarszy. Ciekawa rzecz, co stało się z innymi? Oto zkąd wyszedł, a dokąd zaszedł! Powiodło mu się. To dopiero powodzenie prawdziwe i duże. W porównaniu z niem, czemże jest los Romana?

Drożyną wąziutką i biegnącą po monotonnej równinie. Lata jeszcze minąć mogą, bez wprowadzenia jej na wzgórze jakiegokolwiek, a o takich szczytach, jak ten — marzyć mu nawet niepodobna! Stał we framudze okna, odosobniony, zamyślony i z przykrością uczuwający znowu żmijkę, która szczypała go w serce daleko dotkliwiej, niż przedtem.

Z zamyślenia obudziło go lekkie dotknięcie wachlarza. Baronowa wsunęła mu rękę pod ramię i szła z nim przez długi szereg salonów, spotykając po drodze ukłony głębokie, spojrzenia pokorne, słówka pochlebne i rozrzucając wzamian skinienia głową, uśmiechy, nieskończenie rozmaite ruchy wachlarza. W jednym z salonów sławny i modny artysta zasiadał do fortepianu. Gospodyni domu mogła dość swobodnie rozporządzać się czasem, przez który trwać miał koncert, skupiający dokoła siebie ciekawość i uwagę wszystkich obecnych, z wyjątkiem tych, którzy grali w karty. Była rozpromienioną i prawie rozswawoloną od radości. Wieczór ten był jednym z najświetniejszych, jakie wydała kiedykolwiek. Może nigdy jeszcze nie zgromadziło się u niej tyle, ile dzisiaj, znakomitości, chwał, potęg różnego rodzaju. Kobiety najpiękniejsze i najmodniejsze; mężczyźni najbogatsi i najdostojniejsi. Bawiono się też wybornie; znudzenia w towarzystwie, niezręczności w przyjęciu — ani śladu. Trzeba mieć jej głowę, aby w tydzień po powrocie z podróży urządzić wielki wieczór tak znakomicie. To też wszyscy oddają sprawiedliwość jej geniuszowi w tym kierunku. Nasłuchiwała się mnóstwa komplementów najprzyjemniejszych w świecie. Trzeba też szczęścia, aby zdobyć do grania tego zachwycającego Brombirknopfa! Bóg tylko i ona wiedzą, ile ją ta zdobycz kosztowała starań i pieniędzy. Kazał sobie zapłacić sumę bajeczną, ale za to nikt najpewniej mieć go nie będzie na swoich

wieczorach, oprócz niej i może jeszcze paru osób takich, które zawsze wszystko mają. Nic też dziwnego, że takie tryumfy i powodzenia odmłodziły ją o lat kilkanaście. Formalnie jubiliowała. Radość i tryumf świeciły w jej oczach i rozpięły pierś obnażoną, falującą oddechem szerokim, głębokim. Mową szybką, prawie szczebioczącą, powierzając towarzyszewi uczucia tej radości i tego tryumfu, weszła z nim do saloniku ustronnego, oświetlonego jedną tylko lampą, palącą się w klombie palm rozłożystych. Niedaleko klombu niski parawanik przegradzał dwa głębokie, w tył odgięte fotele, od grupy sprzętów innych. Śliczny parawanik chiński, ze smokiem złotym, oprawionym w bambusowe palki.

— Dlaczego tu koniecznie? — z uśmiechem zapytał Roman.

— Taki już mój kaprys — odpowiedziała z filuternością dwudziestoletniej kobiety, ale spoważniała zaraz i gdy oboje usiedli na fotelach, natychmiast opowiedziała mu nowinę przyrzeczoną.

Roman, zaciekawiony, lecz niedowierzający, słuchał zrazu z lekceważeniem trochę przybranem, a trochę rzeczywistym; lecz po kilkunastu słowach baronowej bardzo spoważniał, a zaraz potem rozpromienił się prawie takąż radością, jaką ona promieniała. Istotnie, nie bez słusznej przyczyny wzywała go tak nagłą i prowadziła przez wszystkie salony za parawanik chiński. W parę dni po powrocie z podróży, miała zręczność długiej rozmowy z dygnitarzem wiadomym i — otrzymania od niego obietnicy uroczystej, którą gdy powtórzyła, smok złoty w bambusowych palkach drgnął i zamigotał pod światłem lampy, padającym z za pierzastych liści palmowych. Była to obietnica, raczej przyrzeczenie stanowcze, oddania Romanowi pewnej posady, niespodziewanie wysokiej, świetnie opłacanej, otwierającej na przyszłość perspektywy dalekie. Nie był to krok, ale skok naprzód. Ona jedna była w stanie coś podobnego wyszperać i wyjednać, bo trzeba na to, oprócz stosunków, sprytu kobiecego i gorliwości prawdziwie przyjacielskiej. Są jednak w tym ulepnie dwie kropki gorzkawe: jedna ta, że posada wolną będzie za ledwie za miesiąc kilka; druga ta, że znajduje się ztąd daleko. Półtora tysiąca wiorst, czy trochę nawet więcej. O te kilka miesięcy mniejsza i trzeba będzie tylko przez czas ten bronić się z całej siły, aby nie zapomniano nas i danej nam obietnicy. Gorzej z wyjazdem w strony tak odległe, który jego może trwożyć nieco, ją bardzo zasmuca. Istotnie, mówiąc o tem, posmutniała; że też to nigdy nic w życiu nie złoży się zupełnie dobrze, a w wypadku nawet najpomysłniejszym tkwić musi jakiś ćwiek bolący! Jednak, cóż robić! Nie jest egoistką i radzi mu, aby zdecydował się na przyjęcie tej zmiany położenia, razem z jej niedogodnościami. Niema zresztą w tem nic strasznego. Nie zamieszka w żadnym kącie zapadłym i dzikim, ale w mieście dużem, bogatym, ruchliwym i z wielu względów bardzo ciekawem. Ona tam kiedyś przepędziła parę tygodni u znajomych. Bazar wszechświatowy nie miasto. Można tam bawić się wybornie i w całym znaczeniu żyć dobrze. Zachodzi tu nakoniec ta jeszcze okoliczność szczęśliwa, że paru jej dawnych przyjaciół teraz właśnie zajmuje w tem mieście stanowiska dominujące. Roman przedstawi się im z listami od niej i tym sposobem zajmie odrazu w tamtejszych kołach towarzyskich miejsce wygodne i przyjemne. Cóż? Nie potrzebuje nawet zapytywać, jak mu się podobała jej nowina, bo widzi to z wyrazu jego twarzy.

— Zadowolonym jesteś, prawda? ucieszonym nawet! Nie dziwię się, bo naprawdę masz z czego się cieszyć! Wolałabym jednak, aby wiadomość o tem, że musisz ztąd wyjechać, trochę cię zasmuciła. Dziesięć lat widywaliśmy się prawie co dnia — przyzwyczaiłam się do ciebie, jak do... do brata! Dziesięć lat... o, Boże! Jakże wszystko przemija! Ale nie jestem egoistką. Pracowałam dla ciebie wbrew interesowi własnemu. Podziękuj mi!

Serdecznie i z wdzięcznością rzetelną ucałował obie jej ręce. Istotnie oddała mu znowu przysługę ważną; znowu popchnęła naprzód wóz jego losu. Ją to podziękowanie, w połączeniu z myślą o jego wyjeździe, tak rozrzewniło, że oczy jej zwilgotniały.

— Zdenerwowaną jestem — szepnęła — miałam w tych dniach zgryzotę wielką, wprost nieszczęście...

— Jakie? — z pośpiechem zapytał Roman.

— Później ci to opowiem. Gdy wszyscy się rozjadą, zostaniesz u mnie na pół godziny. Przypuszczam, że długo trwać to nie będzie. Wieczera skończy się za godzin parę, a zaraz potem się rozjadą. Wtedy opowiem ci, co mię spotkało...

— Może Bruno zgrał się znowu w karty, albo M-me Marie spotkało cokolwiek złego? Trochę żałośnie, trochę gniewnie skinęła ręką.

— Nie — rzekła — ty wiesz, że ja od swoich dzieci nie spodziewam się już niczego dobrego! Bruno jest zgubionym chłopcem i gdyby nie wzgląd na mnie, oddawna już wypędzonoby go z pułku, o Marji wiem mało, bo pisuje do mnie wtedy tylko, kiedy pieniędzy potrzebuje. Zgryzotę miałam z innego powodu wielką... potem ci powiem... Cóż to? Brombirnknopf grać przestał! Nie, znowu zaczyna! To dobrze; jeszcze kilka minut posiedzę tu i odpocznę... Takie przyjęcia nużą ogromnie... Ale co za przyjemność, kiedy udają się tak, jak dzisiaj. Dlaczegoż nie zapytujesz, jak bawiłam się przez te dwa miesiące?... Ach, mój drogi, trzeba moich stalowych nerwów, aby wytrzymać takie nudy! Ale interes załatwiłam, mnóstwo krewnych i dawnych znajomych widziałam... Byłam kilka razy i w Darnówce.

Roman żywym ruchem twarz ku niej obrócił.

— Cóż się tam dzieje?

— Nic szczególnego nie dzieje się w Darnówce; wszystko tam po dawnemu: stary dom, stare meble i stare zwyczaje. Oboje Darnowscy też postarzelili...

— Stryj... jakże tam? zdrów jeszcze?

— Pan Romuald? ależ naturalnie! Posiwiął i wyłysiał, ale zdrów jak rydz, silny jak dąb, powiem ci otwarcie, trochę jakoś... sprościł, a może tylko tak mi się wydaje, bo odwykłam już od nich wszystkich i od ich manier... Żona jego, tak jak dawniej, chorowita i wiecznie utyskująca... Stefan wyrósł na pięknego chłopca, ale dzikus jakiś, bez żadnej elegancji, ani ambicji... Kiedy mówiłam mu, że daremnie siedzi jak grzyb na wsi, bo mógłby w świecie karierę zrobić i życia lepiej użyć, śmiał się tak, jak gdybym od rzeczy plotła. Oni tam zresztą wszyscy tacy. Ireńę chciałam zabrać z sobą...

— Jaką Ireńę?

— A tę wychowanicę twego stryja... przecież jest trochę i moją krewną...

— Więc ona jest w Darnówce?...

— Ani myśli być gdzieindziej...

— Nie wyszła za męża?

— Cóż cię to tak bardzo zainteresowało? O, Boże! aż ci oczy błyszczyć zaczęły! Prawda! kochałeś się w niej podobno; szkoda było fatygi, mój kochany, bo to gęś... Ma to nawet pozór czegoś... czegoś lepszego, ale w gruncie jest niczem więcej, tylko gęsią. Byłam na nią bardzo obrażoną, bardzo... jakże? nie chciała jechać ze mną! ale potem machnęłam ręką i przy pożegnaniu chciałam jej darować na pamiątkę bransoletę z brylantami... Wyobraź sobie, że nie przyjęła, za nic w świecie przyjąć nie chciała... Powiada, że jej takie rzeczy są niepotrzebne. Czy słyszałeś? Komu to na całym świecie brylanty mogą być niepotrzebne? No, czy nie gęś?...

— Czy pytano się tam o mnie? Czy stryj rozgniewany za to, że oddawna już nie pisuję? Jakże Stefan?...

Ale baronowa, zamiast odpowiadać na pytania, które tłumnie i zarazem nieśmiało jakoś cisnęły się mu na usta, za rękę go pochwyciła i wachlarzem wskazując drzwi przyległego salonu, zaszeptwała:

— Wstał od kart! widzisz? stoi sam jeden... ze szklanką orszady... on zawsze na wieczorach orszadę pije... Teraz jest doskonała pora, abys podszedł do niego i podziękował... Trzeba koniecznie, abys dziś natychmiast mu podziękował...

Roman, jak ze snu obudzony, spojrział w kierunku wskazywanym. Przez drzwi otwarte i zasłaniające je do połowy draperje portjery, widać było część salonu, w którym kilkunastu mężczyzn siedziało przy stołach kartowych. Jeden z nich wstał przed chwilą i trochę odosobniony, drobnymi haustami połykał ochładzający napój. Na niego to baronowa wskazywała wachlarzem, szepcząc:

— Byłeś mu przecież przedstawionym u mnie zeszłej zimy... Pamięta cię, mówił mi, że pamięta... Trzeba koniecznie, abys za obietnicę podziękował... On ma pamięć bajeczną! Teraz chwila bardzo sposobna... zaraz znowu usiądzie i grać zacznie... No, czemuż nie idziesz? O, Boże, idźże już! podziękuj! poleć się pamięci! postaraj się wpaść w oko... Idźże!

Roman siedział jeszcze przez chwilę, wahając się, czy namyślając. Wiedział, że baronowa miała słuszość, że koniecznie trzeba było podziękować i polecić się pamięci, niemniej powoli podnosił się z miejsca.

— Idźże prędzej! — szeptała baronowa — bo siądzie znowu do grania i stracisz sposobność...

Odszedł, ale powoli. „Wszystko tam po dawnemu, stary dom, stare meble, stare zwyczaję... Ciekawym, czy on gniewa się za to, że nie pisuję?”

Powoli idąc, spostrzegł u ściany saloniku przedmiot bardzo szczególny, którego dawniej tam nie było. Na marmurowym postumencie trumienka szklana... ależ tak, nie myli się... formalna trumienka ze szkła, a w niej coś szaro-czerwonego... Co za historia? Czy po główkach trupich zapanowała moda ubierania salonów trumienkami? Ale niema czasu myśleć o tem. Już wchodzi do salonu, w którym grają... „Nie przyjęła bransolety z brylantami; powiada, że jej takie rzeczy niepotrzebne! Dlaczego dotąd za mąż nie wyszła? Zeszpetniała pewnie. Może ospę”...

Już stanął przed nim i, składając ukłon bardzo głęboki, ośmiela się przypomnieć pamięci jego, że był mu zimy zeszłej przedstawionym. Odpowiedzi krótkiej, ale uprzejmej, słucha z rękami w dół opuszczonymi i głową pochyloną, poczem, kłaniając się jeszcze głębiej niż przedtem, pozwala sobie dziękować za obietnicę, otrzymaną za pośrednictwem pani baronowej Klary Lamoni. Znowu odpowiedź, nieco dłuższa, dla której wysłuchania skupia się cały prawie nabożnie, a po której wysłuchaniu składa ukłon trzeci, głębszy jeszcze od dwu poprzedzających, i rozzuchwała się do stopnia takiego, że osobę swoją i obietnicę, jej udzieloną, poleca pamięci... Teraz słyszy upewnienie, że cokolwiek przyrzeczonem zostało przez tego, z którym rozmawia, zapomnianem być nie może i, dziękując za to upewnienie, kłania się znowu, ale milczy, bo słucha jeszcze kilku słów bardzo pochlebnych o pani baronowej Lamoni, za które kłaniając się, spostrzega uśmiech życzliwy, odgaduje, że wpadł w oko, i kłania się, jednocześnie z otrzymywanym gestem ręki, bardzo miłym, za który kłania się po raz ostatni już i tylko plecami, znikającym za wysoką poręczą krzesła przy stole kartowym.

Wyprostował się z twarzą oblaną aż po brzegi włosów rumieńcem ognistym, na którego tle odbił się ciemny zarys zmarszczki pomiędzy ściągniętymi brwiami. Z tą zmarszczką i ze spuszczonej powiekami patrzył przez chwilę w ziemię tak pilnie, jakby z wyczerpaniem przypatrywał się czemuś, leżącemu na posadzce. Gdy podniósł wzrok, spotkał się z utkwionem w niego spojrzeniem Marcelego Domunta. Ze złożonemi kartami w jednym ręku, drugą kreśląc kredką cyfry na zielonem suknie, wysoki, silny człowiek, z rudawą brodą i srebrnym godłem u piersi, patrzył na niego oczyma jasnymi, zimnymi, przyzwyczajonemi patrzeć daleko i widzieć dokładnie.

Spuścił wzrok na zielone sukno i zaraz znowu skierował go ku Romanowi. Te jasne, chłodne, rozkazujące oczy zdawały się dziwić temu, że czegoś rozpoznać nie mogą. Powtórzyło się to parę razy. Z czoła Romana zniknęła zmarszczka; z uśmiechem zbliżył się do powstającego od kartowego stołu i, wyciągając rękę, przemówił:

— Przypominasz mię sobie, Marceli, ale nie poznajesz...

Chwilę jeszcze Domunt patrzył na niego uważnie, w milczeniu, aż przemówił spokojnie:

— Roman Darnowski.

Chłodowi spojrzenia i spokojowi głosu sprzeciwiła się siła, z którą uściśnął mu rękę; czuć w niej było nieco wzruszenia. Partja, w której brał udział, była skończoną; usunęli się obaj we framugę wielkiego okna i przez kilka minut zamieniali szybkie zapytania i odpowiedzi. Na obie ich twarze wystąpił wyraz ożywienia niezwykłego.

— Jakże ci się powodzi?

— Bardzo dobrze! O twoje powodzenie nie pytam, bo wszyscy wiedzą, że...

— Tak, tak! bywałem na wozie i pod wozem; ale teraz stanowczo jestem na wozie... Widziałem, z kim rozmawiałeś przed chwilą... Winszuję... Musisz mieć piękne stosunki...

— Mam je istotnie; a ty podobno dobijasz do miliona...

— Co to znaczy! w świecie terazniejszym, aby odznaczyć się, trzeba dobić przynajmniej do dziesięciu; czy mieszkasz tu stale?

— Tak; a ty gdzie?...

— Na całym świecie. Ożeniłeś się?

— Nie. Chudopacholek jeszcze ze mnie, a dla założenia rodziny wiele trzeba!

— Masz słuszność. Idylle w książkach tylko ładne i to niebardzo! Co do mnie...

— Ożeniłeś się przed dwoma laty, słyszałem.

— A tak! I Bóg wie, po co to uczyniłem, bo żony swojej prawie nie znam. Zaraz po ślubie spadła na mnie konieczność podróży ogromnej. Powracam z głębin Azji...

— Na długo?

— Na miesiąc. Tu jestem od tygodnia dla interesów. Potem wpadnę do żony i dalej nad morze Czarne...

— Lubisz podróże!

— Gdzież tam! obrzydły mi, jak piekło potępionemu, ale muszę. Na to życie... Czy dawno byłeś w naszych stronach?

— Dziesięć lat tam nie byłem.

— A ja dwanaście. Chciałbym nieraz, ale czasu nie mam...

Dużą białą ręką przeciągnął po brodzie; zaśmiał się.

— To szczególnie! Odkąd rozmawiam z tobą, nietylko ciebie widzę, ale także Kaniówkę; mamę, siostry, sokory nad naszym stawem. Do mamy pisuję czasem i otrzymuję listy od niej, częściej od siostr...

— A twoi bracia?

— Rozmaicie. Z dwoma widuję się niekiedy, w przelocie, i rad z nich jestem. Dobrze się sprawują, karjery robią niezbyt świetne wprawdzie, ale na ich zdolności wcale nieźle. Jednego zresztą sam wywindowałem na jaką taką górę; ale z Kaziem... pamiętasz Kazia?

— Wyśmienicie... rówieśnik mój! Ty, Marceli, byłeś już dla mnie powagą, tamci dwaj — dzieciakami, z Kaziem żyliśmy za pan brat w domu i w szkole...

— Otóż to! Widzisz, jak to bywa! Taki zdolny, miły chłopak i źle z nim jest, ale to bardzo źle! Pośliznęła się mu noga! Awantura fatalna, powiadam ci, że fatalna...

— Gdzież jest teraz?

— W Kaniówce... Dziesięć lat był w Berlinie, a teraz jest w Kaniówce. Pewien tam dom bankowy krach zrobił i on z nim... Ale to się da naprawić... to się musi naprawić. Mama uwiadomiła mnie o wszystkim, pisałem, aby do mnie przyjeżdżał. Już ja to na siebie biorę... wszystko naprawię i wykieruję go na człowieka...

— Uważam, że nie zerwałeś stosunków z rodziną!

— Pocóż miałbym je zrywać? Ale, co prawda, są one cieniutkie jak włoski. Kiedy się ludzie z sobą nie widują... Myślę czasem, że możebym już mamy nawet nie poznał! Bo co siostr, to najpewniej... jedna postarzała, druga wyrosła, trzecia podrosła bezemnie... Co robić? Na to życie! A ty tam masz jeszcze kogo?

— Rodziców nie mam oddawna, rodzeństwa nie miałem nigdy!

— Aha! więc z dawnym życiem *aus*! Tak najlepiej. Im mniej rozmaitych węzłów łączy człowieka z innymi ludźmi, tem on jest swobodniejszy i z tem szerszym rozmachem może żyć i pracować...

— Z taką zasadą ożeniłeś się?

— A, no! Czy ja wiem... Zasady — to jedno, a ułomność człowieka — to drugie. Zakochałem się.

— Dużo wzięłeś?...

— Posagu? Ani szeląga. Guwernantką była, zkąćcis tam, z naszych stron sprowadzoną... Biednusięńkie to było, smutne, dobre, ciche, milutkie... Tam, gdzie była, siedziałem przez całą zimę... dla interesów... Patrzyłem na nią, patrzyłem i raz, dwa, trzy, ożeniłem się. Ot i cała historia! A teraz, przez dwa lata, byłem z nią wszystkiego razem może ze sześć tygodni... Syna to jeszcze wcale nie znam...

— Syna już masz!

Zaśmiał się tak szeroko, że z za bujnego wąsa ukazał się szereg zębów zdrowych, silnych, białych, jak kość słoniowa.

— Mam! — odpowiedział.

I śmiejąc się jeszcze, mówił:

— To mój niepoznawalny... bo od roku już dążę do poznania go i dopiąć tego nie mogę. Teraz miałem już wprost tam pojechać, aż tu, traf! przynoszą mi jak na półmisku interes, bardzo świetny... dwa domy za bezcen i z wielką przyszłością!... Takiej afery opuścić niepodobna, to rzecz kapitalna... Znowu więc sentymenty na stronę! Co robić? Na to życie!

Gładził dłonią brodę, zamyslił się i machinalnie powtórzył parę razy:

— Życie... życie...

Wzrok jego już zaczynał cofać się wgląd mózgu, gdzie przewijało się mnóstwo myśli obcych temu, co go otaczało. Z roztargnieniem, które było połowiczną obecnością na miejscu, na którym stał i rozmawiał, a połowiczną w tych, gdzie wznosiły się domy, które kupował, mówił jeszcze:

— Tułaczę życie... i niech djabli wezmą jakie kłopotliwe! Mam w głowie furę pomysłów, na plecach furę zajęć... Trzeba siebie tego w garści trzymać, aby nie oszaleć, na szczęście nerwy mam żelazne... Ogniska rodzinnego nie znam... już i zapomniałem jak wygląda spokojność, albo swoboda... Gdzie tam! ani jednego dnia swobodnego, takiego, któryby całkowicie do mnie należał! No, kiedyś się to przecie skończy...

— Kiedy? — zagadnął Roman.

— Czy ja wiem! jak postarzę! Powrócę wtedy do Kaniówki... która już jest prawie zupełnie moją, bo dwóch braci spłaciłem... Ale to na starość... Spokojność, swobodę, gniazdo rodzinne, życie rodzinne, na koniec życia... *pour la bonne bouche*. Tymczasem, trzeba pracować, trzeba pracować...

— Aby do dziesięciu dobić? prawda?

Zaśmiał się.

— A no! zapewne, czemużby nie? jeżeli tylko można... Na ten świat teraz stoi...

— Spodziewam się, że mię odwiedzisz...

Zmieszał się, pomyślał trochę.

— Wątpię, chciałbym bardzo, ale wątpię. Nie wyobrazisz sobie nawet, ile mam do czynienia. Tydzień już tu bawię, a jeszcze nie zrobiłem połowy tego, co trzeba. Wizyt oddaję mnóstwo, ale takich tylko, które są potrzebne, rozumiesz? dla interesów. U baronowej bywam, bo krewna blizka i... baron jest mi potrzebnym...

— Wzgląd drugi ważniejszy zapewne od pierwszego — uśmiechnął się znowu Roman.

Domunt jakby obudził się ze snu.

— Ale nie! Proszę cię, nie bierzże mię znowu za takiego już materialistę... Owszem, owszem, chciałbym nieraz bardzo, ale czasu nie mam... Do ciebie, na przykład, wpadłbym z rozkoszą, choć na chwilę... a gdybyśmy tak zeszli się na cały wieczór, we dwóch... o dawnych czasach, o Kaniówce, o różnych tam rzeczach naszych, pogawędzić... dobrze by było, co? Może i ukradnę kiedy parę godzin! Ale nie, nie, nie będę mógł, z pewnością nie będę mógł... Czasu zabraknie... Żałuję bardzo, ale czasu mi zabraknie... Co robić? Na to życie!

— Co robić! — powtórzył Roman — któżby się spodziewał, że ty także, Marceli, wyraz ten powtarzać musisz...

Zadziwił się bardzo.

— A toż czemu, mój drogi! Więcej niż ktokolwiek, wierzaj mi, więcej niż ktokolwiek inny powtarzać go muszę! Niewolnikiem jestem... Do ciężkiej taczki zaprzężonym... Gdyby mi się udało choć jeden cały tydzień z żoną spędzić, mego niepoznawalnego poznać i uściskać — rad byłbym... potem znowu marsz... na drugi koniec świata.. Ahaswerus!

— Argonauta! — poprawił Roman.

Domunt głowę podniósł.

— A no tak, jeżeli chcesz, Argonauta!... Czyż kiedykolwiek ludzie robili co innego, oprócz pływania po runa złote? Wszystko do tego dąży, mój kochany, wszystko! Runa złote pod postaciami rozmaitemi! Ztąd królestwa, wojny, wielkie miasta, odkrycia, wynalazki...

— Miłość — z lekką ironją wtrącił Roman.

— Naturalnie, o tyle cenna, o ile rozkoszy dostarcza... Potęga, rozkosz — dwie osie świata... potrzeba jej światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej... Dziś więcej, niż kiedykolwiek, i do tego przystosować się trzeba koniecznie, bo inaczej krach! Trudno czasem, ciężko, głowa pęka... ale trzeba... Na to życie!

W salonach zapanował ruch wielki. Powstawano z miejsc i łączono się w pary, które łańcuchem długim, krętym, szeleszczącym jedwabiami, szemrzącym rozmowami, skierowywał się ku ogromnej, naocież otwartej sali jadalnej. Wkrótce Domunt i Roman, ze zwieszonymi u ich ramion istotami strojnymi i świetnymi, zajęli miejsca w tym łańcuchu, dość daleko od siebie, bo Domunt, już prawie milioner, znajdował się bliżej początku, Darnowski, jeszcze skromny urzędnik, bliżej końca.

W parę godzin później wielki apartament baronowej był już pustym i prawie zupełnie ciemnym. Do saloniku z parawanikiem chińskim i lampą, palącą się pomiędzy palmami, lokaj wniósł na tacy dwie filiżanki mocnej herbaty i postawiwszy je na stole, odszedł, cicho stąpając po kobiercu.

— Może napijesz się herbaty, Romanie; po takim zmęczeniu, to orzeźwia... Czuję się bardzo zmęczoną. Jestem nadzwyczajnie rada z dzisiejszego wieczoru, udał mi się, jak może nigdy... ale czuję się bardzo zmęczoną... Czy widziałeś, jak przy wieczerzy podziwiano moje kosze poziomek i czereśni... w tej porze je mieć, to nie łatwo! Księżna powiedziała mi dziś, że nikt nie ma takich pięknych kwiatów, jak moje; szczególnie pasi-flora wprawiła ją w zdumienie... Ale czuję się zmęczoną i wiesz co? teraz, gdy wszystko już minęło, udało się, dzięki Bogu, ucichło, znowu mi płakać chce się... Niema już mego biedaka! Mogę rozrywać się i bawić, jak mi się podoba, nie wskrzesi to go ani na chwilę! Biedny, kochany, dobry mój kakadu, nie wstanie no już nigdy, nie przemówi! Chodź, zobacz, popatrz trochę na tego nieboszczyzka mego!

Poprowadziła go do stojącej na marmurowym postumencie trumienki szklanej, w której, pod wieczkiem przezroczystym i w bronz oprawnym, na białych atlasach i koronkach leżała papużka nieżywa, z czerwonymi skrzydłami, z szarym czubem nad głową, z garbatym dziobem, żałośnie opadłym na pierś puszystą.

— Zabalsamowany — szepnęła baronowa. Kiedym wróciła, żył i był zdrow zupełnie; podskakiwał, podlatywał, gawędził ze mną nieustannie, jakby nie posiadał się z radości, że zobaczył mię po niewidzeniu długim. I tak było najpewniej, bo był ogromnie, szalenie przywiązany do mnie. Nazajutrz, nagle, nie wiedząc od czego zachorował i w kilka godzin... w kilka godzin...

Nie mogła dłużej powstrzymać się, a przyłożywszy chustkę do oczu zwilżonych, zaraz szeptała dalej:

— Ty go nigdy bardzo nie lubiłeś i zblizka nie znałeś! Gdybyś wiedział, jakie to było miłe, rozumne, przywiązane stworzonko. Nadewszystko przywiązane! Biedny, dobry mój kakadu! Sześć lat go miałam, ileż godzin spędziliśmy we dwoje tylko, w tym samym pokoju. Bawił mię i... pocieszał! Gdy umarł, powiedziałam sobie zaraz, że pozostanie tu na zawsze, kazałam go zabalsamować, zrobić tę trumienkę i niech sobie śpi tutaj, pod mojem okiem, a w testamencie napiszę... muszę przecież kiedykolwiek napisać testament... aby go razem ze mną... ze mną...

Znowu lzy, cisnące się do oczu, mowę jej przerwały. Z chustką przy oczach, umilkła.

Roman spoglądał to na zwłoki papużki, nieruchomo spoczywające pod szklanym wieczkiem, na białym atlasie; to na kobietę trochę otyłą, w białej mantyli, zarzuconej na gors obnażony, z ogromnym trenem aksamitnym, który leżał za nią, na wzorach kobierca, z pękiem piórek strusich we włosach bardzo jasnych i szmatką batystu przy oczach. Śmiać mu się chciało i litość go brała. Z uśmiechem powściąganym, ale tonem pocieszającym, mówić zaczął:

— Ale jakże można! jak można tak bardzo martwić się z powodu tak błahego! Stworzonko było... przypuścimy... bardzo miłe... ależ czy podobna, aby strata jego przyprawiała mogła o taki smutek... o lzy...

Nie mógł dłużej mówić, bo czuł, że się roześmieje i że wobec kobiety płaczącej byłoby to nieprzyzwoitem, albo nawet i niedobrem. Ona jednak w dźwięku głosu dosłyszała śmiech tłumiony i odejmując chustkę od oczu, spojrzała na niego wzrokiem oschłym nagle i błyszczącym.

— Śmiejesz się! Masz mię za warjatkę! Nie rozumiesz, jak można tak pokochać papużkę, aby po niej gryźć się i płakać! Zapewne! Dobrze ci to mówić, kiedy jesteś sam szczęśliwy i masz jeszcze wszystko przed sobą! Ja, cóż? Co ja mam? jakie moje życie? Co mię czeka?

Szybko postąpiła kilka kroków, usiadła na jednym z ulubionych foteli, wzięła ze stołu filiżankę herbaty, a drugą Romanowi podała:

— Usiądź przy mnie i napij się herbaty... Mam podniebienie spieczone i gardło wyschłe od gorąca i mówienia... Wcale niepotrzebnie dziwisz się, że ja tak bardzo żałuję mego kakadu i gdybyś kiedykolwiek zastanowił się nad mojem życiem, zrozumiałbyś pewno, że to nie jest żaden idjotyzm... Ale któż, choćby i najlepszy, zastanowi się kiedy

nad czyjem życiem, zajrzy do czyjego serca? gdzie tam! Każdy dla siebie tylko żyje, już ja to wiem bardzo dobrze. I ty tak samo. Choć nieraz widziałeś i słyszałeś różne rzeczy, choć i sama ci o nich mówiłam, masz mię za kobietę szczęśliwą, prawda? Naturalnie, jestem bogatą, na stanowisku, mam wygody, zbytki, stosunki... czegoś więcej potrzeba? Otóż widzisz, potrzeba, potrzeba...

Porywczym ruchem postawiła na stole filiżankę w połowie wypróżnioną i splatając na kolanach ręce drobne, pełne pierścieni, od ciasnych rękawiczek i gorąca zaczerwienione, mówiła prędko, prawie gorączkowo, że przecież Roman wie bardzo dobrze, jakim jest jej życie domowe, ile musi znosić i jak nie ma żadnej pociechy od męża, ani od dzieci. Baron zaniedbuje ją od niepamiętnych już czasów, a czyni to nietylko dla dyplomacji, którą wszyscy poczytują za jego jedyną pasję. Myli się każdy, kto myśli, że metresy barona są dla niej tajemnicą. Miał je, ma i mieć będzie, wie o tem dobrze i nie byłoby to dla niej udręczeniem żadnym, gdyby nie sprawiało upokorzenia. Upokarza to ją, ale i o to mniejsza! Z baronem od bardzo dawna zamieniają sześć słów na dzień i ani on, ani ona nie doświadczały do rozmów obszerniejszych ochoty najmniejszej. To bardzo dobrze... to nawet daleko lepiej, niż gdyby ją, broń Boże, amatorami swemi, albo towarzystwem swoim prześladował. Ale trzeba czegoś wzamian? Nieprawdaż? trzeba koniecznie czegoś wzamian...

— Świat, zabawy, hołdy, znaczenie — spróbował wtrącić Roman, ale ona zamachała szmatką batystu, jakby od much się opędzała.

— Pewno, naturalnie, jakże inaczej! Bez tego to już chyba wprost do rzeki, albo paczkę zapalek w herbacie wypić! To tylko jeszcze daje możliwość życia, ale są chwile, godziny, dni, w których nie wystarcza. Dzieci! Aha! Miła pociecha! Znasz dobrze Brunona i Marję, cóż? pomijam charaktery... pasję i nałogi niepomiarowane Romana, interesowność i lekkomyślność Marji, ale czy oni mię szanują? czy oni mię kochają? Powiedz sam, Romanie, znasz ich, wiesz o wszystkim, powiedz sam, czy oni mię choć trochę szanują i kochają? czy choć trochę...

Rączki silnie splecione, czerwone, pierścionkami połyskujące wyciągała przed siebie i oczy, które znowu łzami nabiegły, wlepiła w Romana z wyrazem zapytania naglącego. Spuścił powieki, milczał. Wobec oczywistości, jak dzień jasnej, kłamać nie śmiał. Tak, były to dzieci nie kochające i nie szanujące matki. Może tam zresztą kochały i szanowały cokolwiek na świecie, ale że nie matkę, to nie ulegało wątpliwości. Wiedział, że tak było i dlaczego tak było. Nie mógł przecież mówić jej tego; milczał.

— A widzisz, widzisz, nie zaprzeczasz, milczysz, wiesz dobrze, że jestem matką najniezwyklejszą i że z dzieci nie mam pociechy żadnej... Zresztą, prawie ich nie widuję. Marja z mężem w Paryżu, Bruno... ach, Bruno, nawet na moje wieczory przychodzić nie chce, bo mu weselej w klubie i przyjemniej z tą baletnicą, z którą popisuje się przed całym światem, nawet w obecności mojej. Cóż tedy pozostaje...

— Zawsze to samo — wtrącił Roman — pozycja, przyjemności towarzyskie, zadowolenia takie, jak, na przykład, z wieczoru dzisiejszego...

Nieruchomy wzrok wlepiając w kobierzec, głową wstrząsnęła.

Wyrazy tłumnie cisnęły się jej do ust, ale wahała się z ich wymówieniem. Skurczyła się jakoś, przygarbiła, w rękach mięła chusteczkę od łez wilgotną. Nakoniec wyszeptwała:

— Dopóki się jest młodą, wszystko dobrze, za jedną boleść dziesięć pociech, za jedną łzę sto uśmiechów... ale ja... nie jestem... nie jestem... no trzeba to sobie raz powiedzieć, nie jestem już... pierwszej młodości.

Roman pomyślał, że wszystkie możliwe młodości już dla niej przeminęły; ale patrzył na nią uważnie. Było w niej coś, co go zaciekawiało i niepokoić zaczęło. Przepląnąwszy Rubikon wyznania, że „nie jest już pierwszej młodości”, zwierzała się dalej, a im dłużej mówiła, tem wyraźniej przed oczyma Romana zachodziła jakaś metamorfoza, stawał się jakiś tajemniczy akt życia, którego znaczenia jeszcze nie mógł zrozumieć dokładnie. Przyznawał w myśli, że uskarżała się nie bez słuszności. Mówiła nawet rzeczy, które jemu samemu nieraz już na myśl przychodziły.

Świat, zabawy, towarzystwo... ależ to tylko nałóg, jak każdy inny! Ludzie upijają się rzeczami rozmaitemi: winem, narkotykami, hołdami, to już zależy od gustu i możliwości. Ale wszystko jedno; po każdym upiciu się następuje wytrzeźwienie, a wtedy co? czło-

wiek poznaje swoją nędzę. Bo czyż nie jest nędzą to konieczne przemijanie wszystkiego tego, co byśmy chcieli rękoma i nogami przy sobie utrzymać? Młodość przemija, ludzie i uczucia przemijają... Tak to zdaje się niedawno, niedawno jeszcze przyjechała do stolicy z baronem Lamoni, młodziutka, tryumfująca, poprostu pijana swoim losem, niespodziewanie wielkim... jednak, od tego czasu, ileż zmian zaszło w niej i wokoło niej! Pierwsza jej młodość minęła... i prawie wszyscy ludzie, którzy ją wtedy otaczali, przeminęli. Gdzież są ci, którym od jednego jej spojrzenia „kręciły się” głowy, którzy gotowi byli skakać dla niej w ogień i w wodę, z którymi dnie i godziny zlatywały jej, jakby na skrzydłach motyli? Poznikali, jak cienie. Albo niema już ich wcale na świecie, albo są daleko, albo przemienili się na ludzi zupełnie innych... niby żyją jeszcze, ale tylko z nazwiska, zaś z uczuć i nawet z wyglądu są zupełnie kim innym. Ma już za sobą cały szereg takich pogasłych twarzy, i radości, które nie wrócą nigdy, a które w latach ostatnich coraz częściej przychodzą jej do pamięci. Dawniej nie myślała o tem, teraz myśli ze zdziwieniem i przerażeniem. *Tout passe!* to straszne słowo! Wprawdzie napływają wciąż na miejsce dawnych nowe rzeczy, nowi ludzie, ale dla niej przynajmniej, przeminionych zastąpić nie mogą, może dlatego, że są inne, a może dlatego, że ona stała się inną. Dawniej świat ją porywał, teraz ona musi gonić za światem, pracować nad tem, aby nie zostać zupełnie usuniętą z pomiędzy tych, którzy jeszcze żyją, aby choć niekiedy pochwycić jeszcze kawałeczek życia i upić się nim choć na chwilę. To fatyguje bardzo i zostawia po sobie takie medytacje, jak te, które ją teraz ogarnęły. Ogarnęły ją one dziś więcej, niż kiedykolwiek, pod wpływem dwu wypadków: śmierci kakadu i blizkiego wyjazdu Romana. To stworzonko było dla niej prawdziwą pociechą, bo prawdziwie ją kochało. Człowiek potrzebuje widocznie tego, aby go ktokolwiek prawdziwie kochał. W żadnej porze życia niepodobna znajdować się ciągle w świecie i w towarzystwie, a jej teraz zaczyna być o to coraz trudniej. Są więc godziny, nawet dnie samotne. Wtedy trzeba mieć kogoś... Tym kimś był dla niej kakadu. A teraz go niema. Przeminał. Do Romana przywiązała, się jak do... do...

Tu znowu stanął przed nią Rubikon. Właściwie chciała powiedzieć: „jak do syna”, ale nie mogło to jej przejść przez usta. Bruno wprawdzie był daleko starszym od Romana, ale to co innego. Młodzieńcowi mniej więcej obcemu dać nazwę syna... Niepodobna! Więc przywiązała się do Romana, jak do... brata, przez dziesięć lat widywali się często... chociaż i on także zaniedbywał ją w czasach ostatnich; nic to, wiedziała, że jest blisko, że lada chwilę przyjść może, mogła też zajmować się jego losem. A teraz on także wyjedzie i chociaż żyć nie przestanie, dla niej go już nie będzie na świecie. Przeminie. *Tout passe.* Ten nieboszczyzek, który teraz w szklanej trumience spoczywa, rozrywał ją do tego stopnia, że, będąc z nim, zapominała nieraz o bólach, które jej sprawia ten obrzydły reumatyzm w nodze i w ręku. Nabyła go nie wiedzieć jak i kiedy, ale od lat paru dokucza jej coraz mocniej. Co ona teraz robić będzie, kiedy ją bóle te napadną, sama jedna?... Wyjeżdżać, ani przyjmować wtedy nie może; żadnej *demoiselle de compagnie* nie chce za nic w świecie, bo nie cierpi tych istot, najczęściej wyglądających, jak zmokłe kury, nudnych, zawistnych, podglądających i podsłuchujących. Chciała wziąć tę Irenę z Darnówki, ale ona nie zgodziła się na jej propozycję i dobrze się stało, bo jakąż korzyść miećby mogła z takiej, jak się pokazało, gęsi! Przyszła już do tego, że czasem, wstając, lęka się dnia, który przebyć trzeba... Tak jest biedną!

Umilkła. Roman przypatrywał się jej ciągle z ciekawością i uczuciem zaniepokojenia szczególnego. Metamorfoza, której przez czas zwierzeń czynionych ulegała stopniowo, teraz była już zupełną. Boże wielki! Co się z nią stało? Jakąż to istotę nieznaną ma on przed sobą? Stopniowo, w miarę jak mówiła i mówiąc płakała, zsuwała się z niej suknia, w której dotąd widywał ją zawsze. Zaledwie mógł wierzyć oczom własnym, świadczącym, że była to ta sama baronowa Lamoni, która przed godziną zaledwie, zwieszona na jego ramieniu, szła przez rzeszście oświetlone salony i tłum pochylających się przed nią, uśmiechających się do niej gości, strojna, tryumfująca, jeszcze piękna, z piersią, falującą od uciechy i tryumfu. Teraz, w głębokim i niskim fotelu, na tle złotego smoka, wyciągniętego w bambusowych ramach, wydawała się skurczoną, przygnębiającą, jakby zgniecioną w swojej białej mantyli, niezupełnie okrywającej nagość gorsu i ramion. Te nagości, przeglądające z pomiędzy atlasu i łabędziego puchu, wobec skurczenia się i przygnębiania postaci, miały w sobie coś szczególnie przykrego i rażącego. Batystowa szmatka, którą po wielekroć ocierała zwilżone powieki, uszkodziła w wielu miejscach białą emalję i wymalowane na niej róże;

przez powstałe ztąd szczyby wyglądała skóra żółta, tworząca pomiędzy resztkami emalii plamy, mające pozór chropowaty i brudny. W dole policzków i u podbródka utworzyło się kilka głębokich fałd i dołków, a brylant, spinający naszyjnik z wielkich pereł, migotał we wgłębieniu, które powstało na szyi. Powieki, od niespania i płaczu zaczerwienione i opuchłe, z trudnością podnosiły się nad oczyma przygasłymi, na których białka wstąpiły siatki czerwonych żyłek. Nad tą postacią biedną i twarzą okaleczoną, we włosach bardzo jasnych, kępka piórek czarnych rozluźniona, rozchwiana, przypominała zmokłe na deszczu i przez wiatr rozrzucone czubki ptasie. Skoczywszy¹ mówić, baronowa pochyliła głowę tak nisko, że dwa piórka rozkołysane wysunęły się naprzód i zawisły nad samem jej czołem. Stała się w tej chwili bardzo podobną do kakadu, spoczywającego w szklanej trumience, z dziobem u piersi i rozczochraną nad nim kępką pierza.

Roman doświadczał uczuć litości i żalu. Jakkolwiekbydz, miał dla tej kobiety przywiązanie niejaki i bardzo szczerą wdzięczność. Więc z prawie synowską czułością ucałował jej ręce, wymawiając jakieś słowa pociechy, o których wiedział sam, że nie mają żadnego sensu, bo od kilku chwil już myślał, że pociechy prawdziwej i skutecznej niema dla tej nędzy. Jakto nędzy? Baronowa Klara Lamoni i nędza? Tak; i nad wszystkimi uczuciami, obudzonemi w nim przez jej widok, panowało to uczucie, że był świadkiem aktu życia, dokonanego przed jego oczyma; aktu życia, w którym, z za woalu, z za sukni, z za maski, ukazała się jego prawda! Jakaś prawda życia tajemnicza, niepokojąca, sroga, ukazała mu się z za znikłej damy światowej, bogatej, szczęśliwej, w postaci tej biednej, skurczonej, chorej, smutnej babiny.

Prawda życia? jaka? Byłażby nią powszechna nędza ludzka, wiecznie żyjąca, wszędzie zaczajona, skacząca ludziom na plecy nawet z za najładniejszych w świecie parawaników chińskich?

W kwadrans potem jechał do domu, przez ulice jeszcze ludne, ożywione, zalane potokami elektrycznego światła. Ta późna godzina nocna była porą opuszczania klubów, wielkich restauracyj, modnych zabaw publicznych i prywatnych. Środkiem ulicy mknęły i krzyżowały się z sobą roje sań mniejszych i większych; pomiędzy nimi ogromne i ciężkie karety toczyły się na kołach, skrzypiących po twardym śniegu. Gdzieniedzie chodniki roily się od przechodniów biegnących, spieszących; za szeregami okien oświetlonych widać było festony firanek i przemykające cienie tańczących par ludzkich. Tony muzyki, głuche i niewyraźne, z jakąś czasem jedną nutą głośną i przenikliwą, wpadały w hałas, sprawiany przez niezliczone, drobne dzwonki, przez brzęki uprzęży, turkoty i skrzypy kół, szelesty stapań gromadnych i spiesznych. Nieskończone szeregi latarni gorzały światłami białemi i czerwonemi; wicher miotał wokół nich mgłę drobnego szronu, porywanego z drzew i dachów, leciał ulicą, z gwizdem uderzał się o domy, biczami ostremi smagał twarze i na usta kładł słońność, przynoszoną z blizkiego morza.

Roman, z twarzą wtuloną w kołnierz futrzany, mknąc na małych sankach, które skrętami wężowemi przewijały się wśród mnóstwa innych, rozpoznając, jak we dnie, rysy mnóstwa krzyżujących się z nim twarzy, wzrok zatapiając w niedoścignionych galerjach światła, uchem wylawiając z gwaru ulicznego przeszywające go niekiedy nuty muzyczne, stuki hałaśliwe, wykrzyki ostre, myślał, że jest kropelką strumienia, który wartko i popędliwie toczy się w żyłach organizmu, zdjętego gorączką. W dzień i w nocy, bez przestanku i spoczynku, strumień ten kipi i toczy się — ku czemu? do jakiego portu? ku jakiemu ujściu? Przyszły mu na myśl słowa Domunta: „Runo złote pod postaciami rozmaitemi; ztąd królestwa, wojny, wielkie miasta, wynalazki i — miłość także, bo i ona daje rozkosz, a potęga i rozkosz — to osie świata, których potrzeba światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej?”

Smutno mu było; nie mógł pozbyć się obrazu biednego kakadu, który tylko co był wielką panią świetną i uwielbianą, a przed jego oczyma przemienił się na papużkę skurczoną i zbiedzoną, z brylantem, migocącym we wgłębieniu szyi starej, z czubkiem żałośnie zwieszonym nad maską popękaną i łzami zmoczoną. Czy to ku takim portom i ujściom toczy się ten strumień wartki i kipiący, którego on jest kroplą? Znowu głos Domunta zabrzmiał mu w uszach: „Co robić? Na to życie?”

¹Skończywszy. [przypis redakcyjny]

— Na to życie! — powtórzył i myślał dalej: — Na to! na co? na co życie? Właściwie, na co życie?

Sanki skręciły w ulicę węższą, więc jeszcze rojniejszą, hałaśliwszą, więcej zapchaną ludźmi i końmi. Roman pomimowoli podniósł wzrok w górę i długo już nie spuszczał go ku ziemi.

Nad ulicą rojną, dzwoniącą, turkocącą, grającą, nad domami wysokimi, w których gorzały rzędy oświetlonych okien, nad szeregami latarni i bijącą od nich ku górze luną biało-różową, rozpościerało się w głębi nieskończonej niebo tak ciemne, że prawie czarne, ze stojącą na niem bardzo bladą twarzą księżycy.

Łuna, bijąca od latarni gazowych, czyniła bardzo bladym światło niebieskiego globu. Wyglądał on jak oko łagodnie i spokojnie spoglądające na ziemię z odległości niedoścignionej, wśród niezmaconej ciszy. Otaczała go cisza niezmacona, a spokój wielki, wraz ze świeżością nieśmiertelną, zdawał się panować na tych wysokościach niezmiernych, mrocznych, gdzieś tam poblyskujących małymi gwiazdami.

Roman doświadczył znowu uczucia takiego, jakby odsłaniała się przed nim jakaś prawda życia daleka, wysoka, ale której wyrozumieć nie mógł. Czuł, że jest, że być musi, chwilami zdawało mu się, że już pochwytuje ją myślą, ale wnet umykała znowu i stawiała się dla umysłu jego tak niewyraźną, jak bladym było wobec latarni gazowych światło globu niebieskiego.

I

Pociąg kolei żelaznej zatrzymał się przed stacją małą, samotnie stojącą wśród pól żółtych i przestronnych. Mężczyzna młody, wykwiśnięty ubrany, oko w oko spotkał się z chłopakiem wiejskim w szarej świtce, który, kłaniając się, zapytał:

— Czy to pan do Darnówki?

Wątpliwości być nie mogło; nikt więcej nie opuścił pociągu, który już ze świstem lokomotywy pędził dalej. Przybyły wskazał parobczakowi parę wyrzuconych na platformę skrzynek eleganckich, skórą obitych, a w dziesięć minut siedział już na wózku, zasłanym kraciatym kilimkiem, powożonym przez parobczaka w szarej świtce, zaprzężonym parą kasztanów niedużych i tłustych. Ekwiπαż ten przypominał mu coś dalekiego... Ach, tak! Bardzo podobnymi końmi i z woźnicą zupełnie takim samym, odjeżdżał do miasta, z ostatnich wakacji, u stryja spędzonych. Dziesięć lat temu, tak, dziesięć... a tyle rzeczy, tyle rzeczy dzieli go z porą ową, że sam sobie wydaje się snem. Jednak był wówczas bardzo realnym, dziewiętnastoletnim młodzieńcem, który w przeddzień zaledwie zdjął mundur gimnazjalny, a z uciechą wielką przywdział akademicki. Uciecha ta przecież, w dniu odjazdu, bez śladu zniknęła mu z serca. Siadając na taki sam wózek, takimi samymi końmi zaprzężony, miał wąsik tak drobny, że zaledwie widzialny, ale w oczach lży duże i z wielką trudnością powstrzymywane. Gdyby nie wstyd przed samym sobą, byłby płakał... Kto wie, może nawet trochę i zapłakał po tej wiosce opuszczanej, po złotej swobodzie złotego lata, nadewszystko po pewnych oczach dużych, szarych, których spojrzenie smutne spotkało się z jego wzrokiem wtedy, gdy wózek odjeżdżał z przed ganku.

No, ale doprawdy to są te same konie i ten sam woźnica!

— Słuchaj, kochanku, ile lat mają te konie?

Chłopak profilem zwrócił się ku pytającemu.

— Jednemu, panie, pięć skończyło się po Jerzym, a drugiemu sześć chyba będzie na Zielną.

Zielna! Co to takiego? Ta nazwa coś mu przypomina, coś bardzo plastycznego i zarazem niepochwytnego... jakby w blasku słonecznym rozlegały się dzwony i rozlewały się mocne zapachy. Zdaje się, że jest to nazwa dnia świątecznego... ale co to przy jej wspomnieniu dzwoni i pachnie?

Więc konie podobne do tamtych, ale nie te same; naturalnie. No, a woźnica?

— Czy dawno u stryja mego służycie?

— Ja? Ihi! tak jakby zawsze, bom i urodził się w Darnówce. Ale co furmanem, to dopiero dwa lata będzie na Gromniczną, jak zostałem.

Gromniczna! Aha! Śnieg skrzypi pod płozami sanek, noc od gwiazd wyiskrzona, ludzie gadają o wilkach...

Więc i woźnica nie ten, co wówczas, tylko bardzo podobny. Naturalnie.

Ale pola, to już z pewnością te same: równe, szerokie, zżęte, zasłane ścierniskiem złotem, tu i owdzie zaróżowionem przez smugi zachodzącego słońca. W tym świetle bławatki i ostróżki nabierają barw i połysków drogich kamieni; dziwnie są podobne do szafirów i ametystów, rozrzuconych garściami po morzu złotem. Wózek toczy się drogą białą pomiędzy dwoma szlakami zielonemi, ciężko podskakuje po koleinach i kamieniach, zdaleka mija grusze dzikie, rozproszone zrzadka po ściernisku, gdzie zielenieją też tu i owdzie pojedyncze, lub w małe gromadki skupione głogi, berberysy, leszczyny i róże dzikie. Berberysy i róże dzikie teraz właśnie są okryte czerwonymi jagodami, a po ciemnych leszczynach migocą jasno seledynowe centki orzechów dojrzewających.

Po paru kwadransach, droga skręca na łąkę wilgotną, z ługiem niedużym, w którym, jak w szkłe czystym, odbijają się obłoki rumiane i srebrne. Brzegiem ługu kroczy bocian z długim dziobem, na wysokich nogach. A! jest tu ich więcej! Drugi, trzeci, piąty, dziesiąty... Stoją z dziobami w trawie, albo chodzą po wilgoci, wypluskującej im z pod nóg kroplami wody, o czemś głęboko dumając, zapewne o odlocie blizkim w strony dalekie... Zerwą się i odlecą!

— Tak, jak ja! Odleciałem i teraz dopiero powracam — na chwilę. Odleczę znowu i kto wie, czy kiedykolwiek już powrócę? W każdym razie chyba przelotem... Taką wodę nazywają tu ługiem, ale jakże się ten ług nazywa? Wiedział niegdyś. Na łące tej bywał, strzelał do jakichś ptaków. Jakże się nazywają te ptaki? Nie pamięta, ale wie, że wieczorami grywają tu dwie orkiestry: żab i ptaków jakichś, których nazwy nie pamięta...

Wyraz orkiestra przypomniał mu cyrk, który po całorocznej nieobecności wrócił do stolicy, na parę miesięcy przed jego odjazdem. W tym to cyrku znajdowała się woltyżerka Aurora, ta, która była na niego łaskawą, dopóki pewnego wieczoru nie odbił mu jej ten grubas-miljoner. Gdy wróciła, widywał ją znowu. Popadł był w usposobienie takie, że musiał szukać rozrywek, upojeń... Bywał w cyrku; Aurorę spotykał i poza cyrkiem. Nagle porzucił wszystko i odjechał. Może źle zrobił. Ta Aurora... na arenie ptak, motyl, zjawisko nadprzyrodzone, a za areną... No, niech ją tam! Szkarada!

Wiatr powiał od lasku, do którego zbliżał się wózek, i napełnił mu płuca świeżością, lejącą od brzoź i osin, od wiecznej rosy, w której, pomiędzy wilgotnemi kępami, stały rozszczepione na kilka pni olchy. Na olchach tu i owdzie, jak czapki ogromne, wisiały gniazda gawronie; w brzezynie rzadkiej, czystej, gładkiej jak sala balowa, tańczyły po trawie, po pniach białych, po liljowych brunelkach i bratkach promyki, esiki i kółka słoneczne.

Za brzezina, nieco zdała, pomiędzy polami i laskami, widać jedną wieś blizką, drugą dalszą i dużą gęstwinę zieleni, z której dobywają się ku górze strzały topoli włoskich. Po tych drzewach już poznać można, że jest to dwór, ale jadący wie nawet, jak on się nazywa.

— Darnówka? Co? — zwraca się do woźnicy.

— Tak jest, panie — odpowiada chłopak i zlekka zacina batem kasztanki, które biegną tak zwawo, że z pod kół wózka bić zaczynają kłęby kurzawy. W tej kurzawie, która kłębami wybija się zpod kół wózka, a na ziemię opada deszczem prawie złotym, jest coś bardzo znanego: jakiś zapach piasku i gliny, jakiś powiew suchy i gorący, coś niewyraźnego, ale co nagli do rozpoznania, przypomnienia, nie wiedzieć czego... Byłoby to prawdą, że nawet kurzawy, wznoszące się nad drogami, snują pajęczyny prawie niepochwytne, w których, jak muszki prawie niewidzialne, brzęczą wspomnienia?

W pobliżu dworu ze strzelistemi topolami, na tle już rumieniącej się na zachodzie zorzy wieczornej, posuwa się powoli czarny profil konia, pługą i idącego za pługiem człowieka. Śród rozległej przestrzeni jedyny to w tej chwili objaw życia ludzkiego; odpowiadają mu z oddalenia ryki bydła, piania kogucie, stuki siekiery i pieśni chłopskie, tu i owdzie omdlewające, u wiosek, nad którymi kręte dymy kreślą na błękitnie wstęgi blade-złote. Zresztą cicho; tylko jeszcze drobne ptaki szczebiocą w gruszach na miedzy i w wierzbach przy drodze.

Ciszę przerwało głośnie wołanie z pola.

— Stój, Marcinek! hej, stój! Jak się masz Romku! Zaczekaj, kotku, nie włącz na ściernisko, bo nie dla ciebie kobierce takie! Jam przywykł, dobiegnę, co tu robić? No, bywaj powitan, bywaj pozdrowion, co tu robić, mój drogi, dawno niewidziany chłopcze!

Pług przewrócony i para koni nieruchomych pozostały na zagonie; stary oracz, wysoki i barczysty, siwy i łysy, w ramionach, okrytych rękawami białej jak śnieg koszuli, dość długo trzymał młodzieńca wysmukłego, w paltocie zgrabnym i w błyszczącym jak szkło obuwiu. Potem wypuścił go z objęcia i do parobczaka, siedzącego na koźle, zawołał:

— Jedź do domu, Marcinek, i powiedz tam Jaśkowi, aby skoczył tu żywo i pług z pola do domu sprowadził. Ja pójdę z gościem...

Roman z ukrywanym zdziwieniem powiódł wzrokiem ku pługowi; stary to spostrzegł.

— Dziwisz się, że znalazłeś mię przy oraniu, dawniej tego nie było, a? To prawda, bo widzisz, kotku, dawniej, co tu robić, byłem z innego ciasta, z takiego delikatnego, rodzynkami natykanego...

— Zapewne środek higieniczny — wtrącił Roman.

Stary zaśmiał się.

— A tak, kotku, higieniczny... Masz słuszność... pewno że higieniczny, co tu robić... Ale co tam o tem! Więc przyjechałeś do nas! co tu robić! przyjechałeś jednak...

Szli ku dworowi aleją nie szeroką, z dwu stron drzewami osadzoną, i wzajemnie przypatrywali się sobie, starając się tego nie okazać. Romuald Darnowski niewiele zmienił się przez lat dziesięć: ten, sam co dawniej, wzrost duży i ramiona szerokie, to samo czoło wielkie i przez łysinę uczynione jeszcze większem, ta sama ognistość ciemnych oczu pod brwiami szpakowatemi, ten sam wyraz jowialny, chwilami trochę przebiegły na twarzy dużej, długiej, ogorzalej i czerstwej, chociaż bardzo już pomarszczonej. W grubych, wysokich, okurzonych butach, w surducie z siermiężnego sukna, który Marcinek podniósł z brzegu pola i włożyć mu dopomógł, wyglądał na zdrowego, silnego rolnika, na wesołego i roztrzonego prostaka. Od lat dziesięciu zmienił się niewiele; jednak Romana uderzało w nim coś, czego dawniej albo nie było, albo on tylko nie spostrzegł, a co go teraz dziwiło i trochę niepokoiło. Ta praca własnoręczna, ta odzież gruba, ta skóra na twarzy i rękach zgrubiała i ogorzała? byłaby zrujnowanym, pomimo posiadania Darnówki zmuszonym do zejścia na poziom życia tak niski? Jednak zgnębienia nie było w nim ani śladu. Raźnie i wesoło rozmawiał z synowcem.

— Przyjechałeś więc, kotku! Wiesz co? list twój otrzymałem, konie po ciebie na stację posłałem i jeszcze nie wierzył, co tu robić, że przyjedziesz? jeszcze myślał, co tu robić: ej! w ostatniej chwili zatrzyma go coś pewnie...

Roman, z niejakim zmieszaniem mówić zaczął:

— Winien jestem przed tobą, mój stryju, bardzo winien, czuję to sam i nie dziwię się, jeżeliś zwątpił o przywiązaniu mojem, które jednak...

— Dlaczego? — zawołał Darnowski — dlaczegoż winien, kotku? Czy dlatego, że odzywałeś się do nas rzadko, a od lat sześciu, co tu robić, nie odzywałeś się już zupełnie? Ej, kotku, wiem ja dobrze, co było tego przyczyną! Świat, stosunki, roztargnienia, zabawy, zajęcia, karjera... *force majeure*, kotku... czy ja dobrze jeszcze pamiętam znaczenie tego wyrazu? *Force majeure*... siła główna, nakazująca, najważniejsza... prawda? co tu robić? Co się zaś tyczy przywiązania, to ono, kotku, może i było, może tam gdzieś i tłało na spodzie, co tu robić, przez *force majeure* przygniecione... widać, że było, skoro jednak, co tu robić, przyjechałeś... Ale wiesz ci, kotku, bardzo wiesz ci... Posadę otrzymałeś świetną! pi, pi! wysoko stanąłeś, a co tu robić, staniesz wyżej jeszcze! Ślicznie, ślicznie! Ale bo już i sama gałąź nauki, którą sobie obrałeś, chroniła cię przed tem, abys został grzybem... tej nauce się oddając, najtrudniej zostać grzybem...

— Jakto: grzybem? — uśmiechając się zapytał Roman.

— Ot, takim, jakimi naprzykład my jesteśmy... takim sobie, co tu robić, lichym grzybem, siedzącym wiecznie na tem miejscu, na którym Bóg go posiał... Ty, co tu robić, lecisz sobie jak liść od drzewa oderwany, wolny, lekki... to daleko przyjemniej i ładniej...

Stanął, wpatrzył się w jakiś punkt trochę oddalony i zawołał:

— Iruś, Iruś! a chodź-no tu, kotku, gościa naszego powitaj... widzisz! przyjechał!

Do Romana się zwrócił:

— Bo to, widzisz, kotku, oni także... Stefan, Irenka, wąpili, abys naprawdę przyjechał. Po coby miał przyjeżdżać? mówią, interesu przecież nie ma tu żadnego, a i tak, co tu robić, czeka go podróż ogromna... Iruś! a cóż bo tam pomiędzy tem zielskiem tak marudzisz! Chodźże prędzej przywitać się z krewnym!

Przed ogrodzeniem i bramą dziedzica, w obszernym ogrodzie warzywnym, rozdzielonym od drogi niskim płotkiem, Roman zobaczył kobietę, której, idąc obok stryja, przedtem nie dostrzegł. Z pomiędzy kilku rosnących gromadą słoneczników weszła na ścieżkę, wydeptaną pomiędzy rzędami warzyw zielonych, amarantowych, brunatnych, i nagłona wołaniem starego szła coraz prędzej ku bramce w niskim płotku; wysmukła i prosta, ale z głową pochyloną, w sukni jasnej i z koszem w ręku tak napelnionym, że liście zielone, amarantowe, brunatne, zdawały się wylewać zeń przez brzegi.

Doprawdy? to ona! ona! ta sama Irenka, to samo dziewczę, niegdyś takie miłe i — kochane! Urosła... tak, wyższą jest, niż była wówczas i kosy na plecach już niema. Czarna, jak heban i lśniaca, jak jedwab, zwinięta jest teraz z tyłu jej głowy pochylonej, którą, stanawszy przed dwoma oczekującymi na nią wśród drogi mężczyznami, zwolna podnosi. W jednym ręku trzymając kosz, wylewający przez brzegi liście lśniące i pachnące, drugą podał gościowi, i rumieniec oblał jej twarz od brzegu czarnych włosów do opasującego szyję kołnierzyka sukni perkalowej, w błękitne i białe kratki. Przez jedno mgnienie oka Roman widział jej szare źrenice tkwiące w jego twarzy i miał w dłoni rękę, którą wnet cofnęła, poczem znowu ku ogrodowi odeszła.

Stary Darnowski śmiał się.

— Języka w gębie zapomniała dziewczyna, jak Boga kocham, co tu robić, kawalera światowego i dygnitarza takiego zobaczywszy, języka w gębie zapomniała... jak trusia dygnęła i uciekła... A! cóż to dziwnego? My tu nie codzień, co tu robić, nie codzień, takich, jak ty, ludzi widzujemy...

— Żartujesz, stryju — odrzekł Roman i po chwili z niejakim wahaniem dodał:

— Mówiła mi baronowa Lamoni, że Irenka jest zawsze w Darnówce... dziwiłem się...

— Czemuś się dziwił, kotku?

— Że... że dotąd zamąż nie poszła!

Stary wybuchnął swoim różnym i dobrodusznym śmiechem.

— Zamąż? a za kogóż, kotku, wyjśćby miała? Za koguta chyba? cha, cha, cha! co tu robić? Chyba za koguta! Bo tu nikt nie żeni się i nie wychodzi zamąż!

— Dlaczego, stryju?

Zdziwiło go to pytanie bardzo.

— Nie wiesz? Co tu robić! A no, to się dowiesz, gdy trochę tu pobędziesz!

Spoważniał, śmiać się przestał.

— Ale to nic nie szkodzi, kotku! Jeżeli rodziny nie zawiązują się w jednym miejscu świata, za to w innym mnóstwo ich zawiązywać się musi; ludzkości przez to nie ubędzie i dla ogólnej jej ekonomiki to, co tu robić, wszystko jedno.

Teraz Romanowi śmiać się chciało. Rozumowanie było istotnie dość szczególnem!

— Ależ, kochany stryju, rozumowanie to wcale pocieszać nie może, że takie wdzięki i zalety jak kuzynki Ireny...

— Jakie tam wdzięki! bardzo łaskaw! — przerwał Darnowski. Bardzo łaskaw, bo pewnie tam na świecie szerokim spotykałeś mnóstwo piękności, do których nasza Iruś, co tu robić, ani się umywała! Co zaś do zalet, to są, kotku, zalety, z przeproszeniem twojem, głupie! Bo gdyby to miało posag, ale gdy się jest bez posagu, to, co tu robić, trzeba być i bez przesądów, a także mieć wolę i inicjatywę. Ona zaś jest przesadną, a woli i inicjatywy za grosz niema. Przecież mogłaby wyprawić się w świat po los i męża! Guwernantki trzymałem do niej, na pensji była, tak samo wychowana, jak wszystkie, niczego jej nie brak i okazję miała... co tu robić... okazję śliczną... baronowej podobiała się bardzo, chciała ją z sobą wziąć, pensję dużą dawała, na wielki świat wprowadzić obiecywała...

— Wiem o tem — wtrącił Roman.

— Aha! wiesz? mówiła ci o tem Lamonjowa? A no, widzisz, kotku, widzisz sam, czy nie dziwactwo? czy nie brak zupełny woli i inicjatywy? Nie chciała, co tu robić, nie chciała! Choć ty jej kolki na głowie strugaj... Kobieta jak miljon, cała ze złota, mówi do niej: „w świat cię wprowadzę, stroić będę, zamąż wydám!” A ona jak czeczotka: cha, cha, cha! chi, chi, chi! śmieje się i powtarza swoje: nie, nie, nie! nie, nie, nie! No powiedz sam, kotku, jak to świadczy o niej? czego to dowodzi?

— Ależ, mój stryju, zdaje mi się... że świadczy to o kuzynce Irenie jak najlepiej i dowodzi... dowodzi jej serca najlepszego, które musi być do was bardzo przywiązane!

Darnowski ze zdumieniem zawołał:

— Doprawdy? tak znajdujesz! takim jest zdanie twoje! Dziwi mię to, co tu robić, bardzo mię to dziwi! Bo jakże! Mogła była przecież zrobić karierę, pi, pi! i jaką jeszcze, a nie chciała, wołała zostać sobie na zawsze, co tu robić, takim grzybem, którego nikt nie zdybie...

— Ależ dlaczego nikt? dlaczego nikt? — zaprotestował znowu Roman.

Tym razem stary nie odpowiedział; spojrzenie jego tylko, przesuając się po twarzy synowca, błysnęło i zaśmiało się, a jednocześnie i po raz pierwszy usta pod siwym bujnym wąsem zwarły się z wyrazem surowym i bolesnym.

Przez szeroko otwarte wrota, weszli na dziedziniec okrągły, napelniony zapachem świeżo skoszonej trawy. W głębi dziedzińca, dom z gankiem, którego cztery słupy zachodzące słońce maluje na różowo; z obu ich stron bzy i spiree przysłaniają rząd niedużych okien. Z ganku schodzi powoli kobieta szczupła i zgrabna, z siwiejącymi włosami, i dziewczynka może dwunastoletnia. Idą na spotkanie nadchodzących, którzy, spostrzegłszy je, przyspieszają kroku.

— Widzisz, Paulinko, otóż i przyjechał! Mówiliście: nie, nie! Otóż, co tu robić, serce nie sługa... przyprowadziło go tu jeszcze raz... pewno ostatni! Pamiętasz, Romku, żonę moją? Przypomnijcie się sobie państwo! A to jest, kotku, najmłodsze czupiradelko moje, Bronia, która za ostatniej bytności tu twojej dwa lata miała. Starszy od niej, Leoś, dziś właśnie do szkół z wakacyj odjechał, a najstarszy, Stefek — czy pamiętasz go? co tu robić, dryblas ogromny i jakiś tam magister, z parobkami na łące otawę kosi. Gdy wróci z łąki, przypomniecie się sobie... A teraz, co tu robić, Paulinko, daj gościowi naszemu herbaty...

Szczupła, zgrabna kobiecina, z siwymi włosami, z twarzą mizerną, łagodną i jakby żalowaną, w sukni trochę jakby czemś nastrzępionej, przystrojonej, ściskając jeszcze w obu chudych, żółtych rękach rękę Romana, podniosła na męża oczy żalowane i tonem żalownym przemówiła:

— Kiedy Irusia jeszcze z ogrodu nie wróciła...

— Aha! A bez Irusi nic być nie może, co tu robić? Więc tymczasem, kotku, do Stefka pójdziemy... On tu bliźutko za ogrodem kosi... Przypomnisz sobie ogród nasz... hej! jakże po tym dziedzińcu hasaliście konno ze Stefkiem! Zmienił się i on dużo, co tu robić, ot, zobaczysz go zaraz... tymczasem kobiety herbatę przyrządzą... Bronka niech idzie z nami!

Dziewczynka, jak na komendę, zawiesiła się u ramienia ojcowskiego, z roześmianą twarzą drobną, okrągłą i różową, z roześmianymi oczyma błękitnymi, ale obecnością gościa onieśmielona, więc milcząca i poważna, pomimo mnóstwa filuternych kędziorków złotych, rozsypanych po czole i szyi. Miała na plecach, zwyczajem snadź tradycyjnym, gruby, krótki warkoczyk, co nie przeszkadzało kędziorkom rozsypywać się wszędzie i swawolnie.

Szli przez kilka minut alejami i drogami ogrodu, który przed Romanem odsłaniał się stopniowo, jak obraz oddawna niewidziany, ale dobrze znany. Na jednej z dróg, ciągnącej się równoległe z ogrodzeniem, u którego rosły szeregiem brzozy płaczące, dały się słyszeć zblizka, wyraźnie, dźwięki ostre, metaliczne, rytmiczne.

— Co to tak dzwoni? — zapytał Roman.

Darnowski, przerywając opowiadanie o zmianach, które w ogrodzie porobił i jeszcze porobić zamierza, odpowiedział.

— Kosa, kotku; ktoś tam kosę sobie stępił i teraz ją ostrzy...

Jednocześnie Roman spostrzegł, że dziewczynka ze złotymi kędziorkami podniosła na niego oczy, jakby pytające, jakby zdziwione. Ale nie powiedziała nic i była ciągle bardzo poważną.

Przez furtkę w ogrodzeniu weszli na łąkę, porosłą gdzieniegdzie drzewami i krzakami, rozciągniętą pasem dość wązkim, a bardzo długim, na którym w dali połyskiwał sznur wody cienki i kręty. W pobliżu, o paręset kroków od furtki ogrodowej, kilku ludzi, w rzadko rozrzuconym szeregu stojących, rytmicznymi ruchami przesuwało kosy po trawie. Słońce, już niewidzialne, rzucało jeszcze trochę rumianego światła na białe koszule kosarzy i krwisto zarumieniało pod ich stopami szczawie i mietlice. Ale pod drzewami błędziły już cienie wieczoru i spośród zarośli podnosił się opar biały, oddech nocny miejsc bardzo wilgotnych. Stary Darnowski zatrzymał się u furtki.

— Dalej nie pójdziemy... łąka mokra... w twojem obuwiu, kotku, co tu robić, zespsułyś je sobie kapitalnie.

Potem zawołał:

— Stefek! pójdz-no, kotku! Rzuć robotę, już późno! chodź, brata powitaj!

Ale i bez wołania, tylko na widok osób, wchodzących z ogrodu na łąkę, jeden z kosarzy rzucił na ziemię kosę i szerokimi krokami ku nim zmierzał. Tak jak ojciec wysoki i silnie zbudowany, jednak znacznie szczuplejszy, silny brunet, z cerą śniadą i ciemnymi oczyma pod brwią kruczą, równie jak u ojca ognistemi. Stefan Darnowski stanął przed bratem stryjecznym, ale ręki ku niemu nie wyciągnął.

— Przepraszam — rzekł — nie mogę podać ręki... od kilku godzin jest już w ogniu...

— Roboty! cha, cha, cha! co tu robić, w ogniu roboty — zaśmiał się stary; no, jak toaletę zrobisz, to go ucałujesz i uściśniesz... co tu robić! teraz, chodź z nami do domu...

— Jeszcze nie mogę, ojczu, za kwadrans przyjdę, razem z nimi...

Na kosarzy wskazał. Wydawał się trochę ponurym; po pierwszym spojrzeniu na Romana, krótkim i bystrem, wzrok spuścił ku ziemi. Czoło jego, pięknie zarysowane, śniade i gładkie, połyskiwało od potu, który miejscami występował na nie w postaci kropel bujnych. Roman doświadczył uczuć zadziwienia i zawodu; pragnął i ciekaw był spotkania z tym bratem prawie rodzonym, niegdyś towarzyszem nauk szkolnych. Rówieśnikami byli, wspólnie uczyli się roili, broili, rezonowali, postanawiali. Spodziewałby się raczej wszelkich rzeczy niespodziewanych, aniżeli takiego z nim spotkania. Ukazał się mu w postaci i roli szczególnej; objawiał względem niego obojętność także bardzo szczególną.

— Za kwadrans przyjdiesz?... co tu robić, niech i tak będzie, kotku... Wiem już ja to, że w każdej rzeczy zapalczywym jesteś, jak Grabowiecki w tańcu. Niechże, co tu robić, brat i gość przez ten kwadrans na ciebie poczeka... Czy przypominasz sobie, Romku, tę łąkę?

Niewiele ją sobie przypominał, trochę, jak przez sen. Wzamian przypominał coś innego: ten ług, około którego przejeżdżał.

— Czy stryj nie wie, wypadkiem, jak się ten ług nazywa?

— Jakże mógłbym nie wiedzieć? toż od Darnówki o trzy wiorsty! Hrodzicki ług, kotku, Hrodzicki... od Hrodziszcz, wioski najbliższej!

Prawda! a tak! teraz już i Roman przypominał sobie to nazwanie. Ale jeszcze jednej rzeczy nie pamięta. Jak nazywają się te ptaki, które w wieczory letnie, jednocześnie z żabami, krzyczą po łąkach... z czego tworzą się formalne dwie orkiestry?

— Derkacze, kotku, przypuszczam, nawet pewny jestem, że derkacze masz na myśli...

Tak, tak; Roman wybornie przypominał sobie teraz, że ptaki, których głosy pamiętał, nazywały się derkacze. W tej chwili też spotkał znowu oczyma wzrok Bronki, wlepiony w niego z wyrazem zadziwienia. Tylko tym razem na ustach dziewczynki drgał uśmiezek powstrzymywany. Roman pomyślał: „Czego ten dzieciak dziwi się ciągle, patrząc na mnie, i nawet zdaje się, że w duchu wyśmiewa się ze mnie? Ale pomimo to milutkie jakieś stworzonko!”

Wtem, po łące, w powietrzu szarzącym, choć jeszcze różowem, rozległ się wielki chóralny wybuch śmiechu. To kosarze zaśmieli się tak z czegoś, już zbierając na trawach odzież porzuconą i gotując się do odejścia. Od furtki ogrodowej, w której dwaj Darnowscy i Bronia stali jeszcze, patrząc na łąkę, widać było Stefana, który z szerokim gestem, coś przemówiwszy do towarzyszy, zaśmiał się z kolei głośno, z całego gardła, długą gamą tonów męzkich i wesołych. Przywtórzył mu chóralny wybuch śmiechu kilku kosarzy. Stary Darnowski rękę do wąsa podniósł, musnął go i trochę podkręcił... W kilka minut potem Roman siedział w małej bawialni sam na sam ze stryjenką. Nie była wcale zajmującą; była raczej nudną, albo zabawną ze swoją miną żalną i sposobem mówienia trochę przez nos, trochę przez zęby, co wzmagало w niej pozór wiecznego niezadowolenia. Jednak w oczach jej było wiele słodczy i teraz, patrząc na nią, Roman przypominał sobie wyraźnie jakieś noce dalekie, ponure, w czasie których te blade-błękitne oczy pochylały się nad nim z litością serdeczną, a te długie, żółte ręce, podawały mu do ust lekarstwa. Był wówczas dzieckiem biednym, osieroconem, chorem, a ta kobieta, czuwając nad nim, odbierała go chorobie i śmierci. Może to przypomnienie sprawiło, że pomimo jakiegoś zabawnego nastrępienia w ubiorze i prawie niecierpliwącego sposobu jej mówienia,

nietylko rozmawiał z nią cierpliwie, ale nawet z niejaką przyjemnością, zaczął na jej żądanie opowiadać różne rzeczy o stolicy, jej pięknościach, zabawach, zwyczajach. Słuchając go wdychała i parę razy ze splecionymi rękoma westchnęła: Ach, ach, ach! ach, ach, ach!... Zaraz jednak potem z uśmiechem poklepała po różowym policzku Bronię która, jej i gościowi przyniosszy herbatę, na stole ją postawiła, a sama przyklękawszy, matkę w kolano pocałowała, poczem, śmiejąc się, w podskokach wybiegła do jadalni po sucharki do herbaty. Pani Paulina zwróciła się do Romana z zapytaniem:

— A dziewczynek takich, jak ta moja, czy dużo tam widywałeś? pewno nie, pewno nie!

I wazkie, poźółkłe usta jej zaśmiały się szeroko, bładz błękit żrenic pociemniał. Ale w minutę potem wdychała znowu:

— Ach, ach, ach! jak ja teatr lubię! ach, ach, ach! W młodości bywałam czasem w teatrach... teraz oddawna nie bywam już nigdy, nigdy... ach, ach, ach!...

Spojrzała w okno i zupełnie już innym głosem zawołała:

— Stefek wraca! Broniu! Broniu!

— A co, mamusiu? — zadzwonił w drzwiach głosik podlotka.

— Poproś Iruś, aby wieczrę dawała prędzęj, prędzęj... Stefek głodny być musi, a także tatko już ze stodoły wyszedł i do domu idzie!

Roman widział przez okno, jak Stefan szerokimi krokami przechodził dziedziniec i na ganku przemówił kilka słów do Broni, która na jego spotkanie wybiegła. Zniknął potem w głębi domu, ale wkrótce wszedł do bawialni i z ukłonem, trochę ceremonjalnym, uprzejmie, ale bez cienia serdeczności i wylania powitawszy Romana, usiadł w pewnym od rozmawiających oddaleniu. Na tle okna, jasnym wśród zapadającego zmroku, profil jego ze spuszczonej powiekami rysował się w linjach surowych, prawie twardych.

Przy wieczry Roman, oglądając się po jadalni, przypomniał sobie słowa baronowej: „stary dom, stare meble, stare zwyczaje!” Wszystko tu było, jak przed dziesięciu laty. Nie miał jednak wiele czasu na przypatrywanie się rzeczom i siedzącym przy stole osobom, bo uwagę i ciekawość jego pochłonęła od razu rozmowa ze stryjem. Nakładając sobie na talerz potrawę ze stojącego przed nim półmiska i, wracając do kilku słów, przed chwilą z synowcem zamienionych, stary Darnowski mówił:

— Półtora tysiąca wiorst! Phi! Koniec świata! co tu robić, na koniec świata zajedziesz, Romku, i oko ludzkie nigdy cię tu już nie zobaczy...

Roman żywo podjął.

— Wraca się zewsząd, mój stryju, teraz, wobec środków komunikacji, dawniej nieznanych, sprawdziła się bajka o butach siedmiomilowych. Wkładać je muszą szczególnie ci, którzy potrzebują i szukają kawałka chleba.

Darnowski przestał jeść i z wyrazem zadziwienia patrząc na synowca, zawołał:

— Kawałek chleba! co też ty wygadujesz, kotku. Sobie i wszystkim takim, jak ty, ubliżasz! Kawałek chleba! wielka rzecz! wielka sztuka. Kawałek chleba, co tu robić, może mieć każdy, kto nie jest kaleką, ani, z przeproszeniem, głupcem ostatnim. Kawałek chleba ma, jak w Biblii pisze: „ten, który drzewo rąbie, i ten, który wodę nosi”. W miastach, co tu robić, buty i odzież szyją, pieprz ważą, różne tam inne rzeczy robią, po wsiach orzą, sieją, młócą, mielą i kawałek chleba mają...

— Ale jaki? — wtrącił Roman.

— Otóż to! jaki? Masz słusność, kotku! To właśnie, co tu robić, powiedzieć chciałem. Mają kawałek chleba suchy, albo, w wypadku najlepszym, jakim tam masłem posmarowany. Niewielka sztuka i niewielka mądrość! To dobre dla prostaków, co tu robić, ale nie dla ludzi wyższych. Ludzie wyżsi, co tu robić, rozumieją swój czas i jego wymagania, swoją wartość i cenę, którą za siebie mogą otrzymać na rynku. Im niepodobna, co tu robić, ograniczyć się na chlebie suchym i chociażby posmarowanym masłem. Oni dążą wyżej, coraz wyżej, oni, kotku, dążą... ku pasztetowi!

Myśląc, że źle usłyszał, Roman ze śmiechem zapytał:

— Ku czemu, stryju?

Darnowski powtórzył z powagą:

— Ku pasztetowi, kotku. Ale, poprawił się zaraz, ja tak mówię tylko... tylko... *au figure!* Iruś, czy ja pamiętam jeszcze, co znaczy *au figure?* a?

— Pod przenośnią, tateczku! — zadzwonił filuterny głos podlotka, i po dwu twarzach, z których jedna była jeszcze dziecinna i przypominała zorzę poranną, druga już kobiecą i podobną do pogodnego lata, przemknęły błyskawice wesołych uśmiechów. Ale Romuald Darnowski nie tylko wcale się nie uśmiechał, lecz ze wzrastającą powagą i zapałem, mówił dalej:

— Paszтет — to przenośnia. Rozumiem pod nią, kotku, wszystko, co postępowanie ludzkiego wytworzył dla ludzi rozumnych i bez czego, co tu robić, nie może się obejść nikt, kto nie jest ani chłopem, ani osłem. Prostak jestem i nie potrafię wyliczyć, nawet, co tu robić, nie wiem, i nie znam pewno wszystkiego, czego potrzeba człowiekowi, który nie jest ani chłopem, ani osłem. Uważam tylko za rzecz prostą, jak amen w pacierzu, jeżeli człowiek rozumny, wyższy dąży wszelkimi sposobami do tego, co pod przenośnią nazywam pasztetem. Bo pracować dla kawałka chleba, siły wyęczać, energję i rozum zużywać dlatego, aby zjadać kawałek chleba suchy, albo byle czem przyprawiony, to, co tu robić, nie opłaca się, wprost nie warto. Dla takiego rezultatu półgłówek chyba ślęczy nad naukami, a potem pracuje. Ślęczy się nad naukami, a potem pracuje się na polach wszelkich, sposobami wszelkimi i z sił wszystkich, dla tego, aby wzrastać i postępować, dla tego, co tu robić, aby ciągle pod górę iść, zdobywać rzeczy coraz lepsze i piękniejsze, coraz wyżej wznosić się, coraz wyżej i piękniej stawać... *excelsior!* Stefek, czy ja pamiętam jeszcze co znaczy *excelsior?* Wyżej, wyżej...

— Ku pasztetowi! — dokończył Roman ze śmiechem, którego powstrzymać nie mógł, chociaż zarazem czuł, podrażnienie jakiegoś przykre i niepokojące. Ale Darnowski tego wtrącenia się jego nie zauważył. Ostatnie zdania mówił z takim przejęciem się, z taką mocą przekonania i zapału, że aż mu piwne oczy z pod brwi szpakowatych rzucać zaczęły błyskawice, a na ogromnem od wyłysienia czole, pod światłem palącej się u niskiego sufitu lampy, zmarszczki falowały, jak morze wzburzone.

Pani Paulina od kilku chwil okazywała niepokój pewien, patrzyła z kolei na męża i na gościa, widocznie chciała czemuś zaprzeczać, lub czemuś potakiwać. Teraz, zwykłym sobie tonem żalonym, trochę przez nos i trochę przez zęby, przemówiła:

— To pewno, że chociaż teraz bardzo jest trudno robić karierę, ale starać się o nią trzeba koniecznie, bo inaczej człowiek, mający nawet edukację najlepszą, nie może żyć dobrze...

Chciała mówić dalej, ale jak bywało zwykle coś zupełnie przeciwnego na myśl jej przyszło, więc niespokojnie poruszyła się na krześle, na Stefana spojrzała i umilkła. Roman pomyślał: „Ta przynajmniej powiedziała jasno i wyraźnie!” A głośno, z rozdrażnieniem wzrastającym, powtórzył:

— Zapewne, karjera jest konieczną... bo... co tu robić?

Uśmiechnął się, spostrzegłszy, że pomimowoli powtórzył przysłowie stryjowskie, ale zaraz mówił dalej:

— Jednak, stryjenczko, życie byłoby... byłoby niewiele wartem, a może i bardzo smutnem, gdyby za cel jedyny miało karierę!

Stary Darnowski ze zdumieniem brwi podniósł i wpatrzył się w synowca oczyma zdumionemi.

— Nie jedyny? — zapytał, a jakież inny, kotku? co tu robić, jaki inny?

Roman nie odpowiedział. W głębi jego myśli, jak echo w lesie uspionym, powtórzyło się zapytanie: Jaki inny? jaki inny? jaki inny?

Darnowski rozważał dalej:

— Może jeszcze miłość... Wy, młodzi, powtarzacie często: miłość! miłość! bardzo pięknie, bardzo miło! Kochać się w jakiej tam mężateczce, aktoreczce... co tu robić? w Irmie, w Aurorze... nawet tam kogo może i do ołtarza poprowadzić, to, co tu robić, bardzo pięknie, bardzo miło. Pewno, pewno! I to cel — ale, kotku, wsunięty w tamten, jak szuflada, w komodę. Trufel w pasztecie...

Roman od zdziwienia odejść nie mógł.

— Mój stryju... Irma... Aurora... zkadże tu te imiona?

Darnowski palce w górę podniósł.

— A baronowa! przecież była tu, opowiadała, co tu robić...

Pani Paulina filuternie gościowi pogroziła i potwierdziła:

— Opowiadała! opowiadała! Ach, ach, ach! Jaka ja rada jestem, jaka szczęśliwa, że Stefek w domu siedzi!

Roman poznał, że wiedzą tu o nim daleko więcej, niż przypuszczał.

Stary Darnowski, z apetytem człowieka, który mało wie o pasztetach, zjadał mięsa jakiegoś, dość pierwotnie przyrządzone i kaszę ze słoniną. Jedząc, do syna przemówił:

— Stefek, a jakże tam dziś rzeczy stoją z naszym pasztetem? Czyście na tej łące skończyli już kosić? Barometr na deszcz pokazuje, szkoda byłoby, aby, co tu robić, zmarnował się ten nasz trufel!

Po raz pierwszy, odkąd zasiedli do wieczerzy, twarz Stefana stanęła w uśmiechu, który z ponurej prawie uczynił ją świeżą i wesołą.

— Przepraszam ojca — rzekł — otawa nie jest truflem w pasztecie naszym, tylko kawałkiem ciasta... nasze trufle są inne!

Zaśmieli się obaj i zaczęli rozmawiać o rzeczach gospodarskich zrazu, a potem i o innych, ale dla Romana zarówno niewiadomych. Wmieszały się wkrótce do rozmowy Irena i Bronia, bo mężczyźni zwrócili się do nich z zapytaniami, o jakichś ludzi, którzy przyjechać mieli, o jakieś papiery, Irenie do schowania dane, o jakieś dzieci, których gromadka codziennie tu z kądźmi przychodzi. Przy jednej z odpowiedzi, dłuższej od innych, ściągnęła twarz Ireny zajaśniała wielką świeżością bladawej cery, a szare oczy jej wypełnione blaskiem, odbiły w sobie uśmiech ust rumianych i delikatnych. Roman nie mógł przez chwilę oczu od niej oderwać. Jakiś sen jego dawny, dawny, zapomniany, stawał się rzeczywistością. Ładna jest, ładniejsza, niż była dawniej. Zupełnie rozkwitła i dziwnie pogodna. Tę pogodę jej, wielki spokój, panujący w jej ruchach i rysach, spostrzegł ze zdziwieniem, z pewnym też wzruszeniem zapytując siebie w myśli: „czy też ona nie czuje całego smutku i całego niebezpieczeństwa położenia swego? Ma już pewno lat 25, tak, tak, bodaj dwudziesty szósty... Patrzyć tylko, jak starą panną zostanie! Dlaczego?”

Myśli te przerwała mu pani Paulina, która spostrzegłszy, że od chwil kilku gość w rozmowie, toczącej się przy stole, nie bierze udziału, mówić do niego zaczęła. Zapytała go, czy pamięta jeszcze trochę sąsiadów Darnówki, Rosnowskich? Pamiętał wybornie dwu Rosnowskich: Bohdana i Zygmunta. Otóż Bohdan bawi teraz w tych stronach. Od miesiąca już jest w Zawierciu. Gdzież przebywa stale? Romuald Darnowski wmieszał się do rozmowy żony z synowcem.

— W Muromie, kotku; w puszczy Muromskiej, co tu robić, jest leśniczym... Bardzo rozumny, dzielny, zupełnie wyższy człowiek... Pensję dużą otrzymuje... prawie dygnitarzem już jest, co tu robić...

— A Zygmunt Rosnowski?

— O, ten, także wyższy, kotku, także człowiek wyższy, choć mniej od brata, bo, co tu robić, nie tak wysoko jeszcze stanął... Górnikiem jest, coś tam kopie w górach Uralskich.

Roman wspomniał o spotkaniu swoim z Marcelim Domuntem i zapytał o Kazimierza.

— Ten w Kaniówce siedzi tymczasem. Katastrofa go spotkała, o której pewno sam ci opowie. Wszakże się z nim zobaczysz...

— Niezawodnie. Roman z uciechą myślał, że się tu spotka z dwoma ulubionymi towarzyszami pierwszych lat życia. Czy Domuntówny nie powychodziły za mąż?

— Żadna... ach, ach, ach, żadna dotąd nie wyszła... — westchnęła pani Paulina.

— Chyba za kogutów, kotku — głośno zaśmiał się stary Darnowski — chyba za kogutów wyjśćby mogły!

— Dlaczego?

Nikt nie odpowiedział. On pytał dalej o osoby rozmaite, stosownie jak mu do pamięci przychodziły, a raczej wracały. Wtem spostrzegł, że Bronia patrzyła na niego znowu tak samo, jak w ogrodzie, gdy zapytywał o znaczenie dźwięków, wydawanych przez kosę ostrzoną, o nazwę ługu i derkaczy. Ładne, wesołe dziecko patrzyło na niego z trochę komicznym zdziwieniem i z mnóstwem uśmiezków, biegających po ustach, oczach, policzkach i tuż tuż mających złąć się w wybuch śmiechu niepodobny do powstrzymania. Jemu także, patrząc na nią, śmiać się zachciało. „Ten dzieciak najwyraźniej wyśmiewa się ze mnie w duchu! No, proszę! Co jej się we mnie wydaje takim śmiesznym?”

Ale myśli te przerwał mu cichuteńki szept pani Pauliny. Korzystając z nowego związania się rozmowy ogólnej i odwołania przez nią uwagi obecnych, prawie do samego ucha mu zaszeptęła:

— Bohdan Rosnowski stara się o Irusię... ach, ach, ach! jak ja tego pragnę... Taka partja... to szczęście dla niej!

I nagle, zaledwie domówiwszy wyrazy ostatnie, załamała swoje chude, żółte ręce i zaszeptęła:

— Ach, ach, ach! jak ja się tego boję! Jej odjazd tak daleko byłby dla nas takim smutkiem... takim smutkiem!...

Roman ostatniego tego cichego wykrzyku nie słyszał. Patrzył na Irenę i myślał:

— Więc jednak... ma konkurenta nakoniec! To dobrze, szczęśliwie! Szkodaby jej było, gdyby...

Jednocześnie uczuł smutek, połączony z gniewem, do wytłómaczenia niepodobnym. Pomyślał, że zaczyna być tak konsekwentnym, jak stryjenka, która w tej chwili właśnie dawała hasło do powstania od stołu.

W bawialni niedużej, staroświeckimi meblami napełnionej, okno było otwarte na wieczór sierpniowy cichy i gwiazdzisty. U okna stała Irena, rozmawiająca z Bronią, Roman zbliżył się do nich.

— Czy pamiętasz, kuzynko, jakieś po tym pokoju zapalczywie tańczyli walca?

Spojrzała na niego swemi dużemi, szaremi oczyma i spokojnie odpowiedziała!

— Pamiętam, kuzynie.

— Czy od czasów owych wiele tańczyłaś?

— Nie tańczyłam wcale.

Zdziwił się bardzo.

— Dlaczego?

Znowu ze spokojem zwykłym odpowiedziała:

— Nie miałam sposobności.

— Dlaczego? — zadziwił się więcej jeszcze, niż przedtem.

Ale kibic Ireny, wysmukłą i prostą, objęły teraz dwa szczupłe ramiona, i twarz drobna, różowa, deszczem złotych kędziorków zalana, kryjąc się na jej piersi, wybuchnęła głośnym, niepodobnym do powstrzymania śmiechem. Nakoniec! Nakoniec wszystkie uśmieški, przez cały wieczór igrające po ustach, oczach, policzkach Broni, zwały się w głośny wybuch śmiechu. Walczyła z nim, ale pokonać go nie mogąc, ku drzwiom poskoczyła. U drzwi odwróciła się i, patrząc na Romana, zawołała:

— Australczyk!

Poczem, przestraszona zuchwalstwem swoim, za drzwiami zniknęła.

II

W pokoju, dla niego przeznaczonym, Roman przypominał sobie, rozmyślał, dziwił się i nie rozumiał. Ludzie tu nie byli dla niego zupełnie jasnymi. Stryj, tak jeszcze krzepki i czynny, ze swoim śmiechem dobrodusznym i spojrzeniem czasem drwiącym, przyjął go bardzo gościnnie i serdecznie, zamiary i cały sposób jego pokierowania się w świecie wychwalał... Otóż to... zanadto wychwalał; było w tych pochwałach coś drażniącego i niepokojącego. Stanowczo było w nich coś zbytecznego, coś, co budziło niedowierzanie. Ale to już widać taki sposób obejścia się i mówienia, może małe dziwactwo człowieka dobrze podstarzałego i w życiu wiejskim, prostem, sprościałego. Sympatycznym mu jednak jest, bardzo sympatycznym, może z powodu wspomnień, które o nim zachował z dzieciństwa. Inaczej ze Stefanem. Tego nie rozumiał już zupełnie i czuł nawet względem niego jakby początek urazy. Po wieczery, w czasie której rozmawiał z ojcem swobodnie i chwilami nawet wesoło, zapadł on znowu w milczenie obojętne i chmurne, przy stoliku odosobnionym przerzucał książkę, dopóki ojciec nie zwrócił się ku niemu z żądaniem, aby odprowadził gościa do przeznaczonego mu pokoju. Usłuchał natychmiast, ze świecą zapaloną w staroświeckim lichtarzu, po schodach wązkich, wprowadził Romana do sporego, niskiego pokoju, przez którego okno otwarte powiały od razu na wchodzących zmieszane wonie lewkonji, rezedy i świeżo skoszonej trawy. Umieściwszy świecę na stole, obejrzał się po pokoju, zapewne dla zobaczenia, czy znajduje się w nim wszystko,

czegooby gość mógł potrzebować. Wszystko było: łóżko, świeżością pościeli nęcące, szafa dla umieszczenia odzieży, kilka krzeseł, zręcznie rozstawionych dokoła stołu, na którym, obok lampy, karafki z wodą i dzbanka z mlekiem, leżało kilka książek. Wszystko to jednym rzutem oka obejrzawszy, Stefan uklonił się stryjecznemu bratu.

— Dobrej nocy — rzekł i już odchodził, gdy Roman, który patrzył na zawieszony przed oknem kawałek gwiaździstego nieba, żywym ruchem odwrócił się i zawołał:

— Już odchodzisz, Stefanie!

Zatrzymał się u drzwi.

— Czy jestem ci na cokolwiek potrzebny? — chłodno, ale uprzejmie zapytał.

— Myślałem, że pomówimy z sobą trochę. Jest jeszcze tak wcześnie. Nie widzieliśmy się od tak dawna.

— Owszem, służę ci chętnie.

Usiadł na jednym z krzeseł, przy stole stojących; milczał. Roman podał mu otwartą papierośnicę; była z kości słoniowej, z monogramem właściciela, prawdziwy i elegancki *article de Vienne*.

— Dziękuję — odmówił Stefan — pałę niewiele i tylko jeden gatunek tytoniu.

— Pamiętasz, jakeśmy w gimnazjum, w czasie zmiany profesorów, palili w otwartym lufciku klasy i jak przecież pedel złapał nas na gorącym uczynku?

Mówił to ze śmiechem; zarazem krzątać się zaczął około wydobywania ze skrzynek odzieży i drobiazgów. Skrzynki były ze skóry angielskiej, odzież z materiałów modnych, drobiazgi okryły spory stół przy łóżku i połowę tego, przy którym siedział Stefan. Zwierciadełko podróżne, pudzderko, pudełka, szczotki, szczoteczki, para flakonów kryształowych, ręcznik haftowany, chustka do nosa z monogramem, uwieńczonym koroną szlachecką. W czasie rozstawiania i rozkładania wszystkich tych rzeczy, pomiędzy dwoma młodzieńcami panowało milczenie, przerywane zrzadka zapytaniami lub uwagami Romana, na które Stefan odpowiadał paru krótkimi słowy. Był on obojętnym zarówno dla osoby gościa, jak dla elegancji, przez niego roztaczanej. Roman to uczuł, ochłódł także i spochmurniał. Nagle stanął i w postawie słuchającej wpatrzył się w okno. Słuch jego uderzył śpiew, czy świergot, sam nie wiedział, jak to nazwać, jakieś, słowem, odzywiania się gwarliwe, rojne, ostre, które podnosiły się za oknem z kądźci z dołu.

— Co to takiego? — zapytał.

— Świerszcze grają w trawach — spokojnie odpowiedział Stefan.

Roman zaśmiał się.

— Ach, tak! jakże mogłem nie poznać... Gdyby tu była twoja siostra, Bronia... Ach, tak! Świerszcze! Zapomniałem! Poznają teraz, pamiętam!

— Pamiętasz? — zapytał Stefan.

Wyraz ten wymówił w sposób zupełnie prosty, jakby nawet roztargniony, jednak Roman przestał mówić i uważnie w niego się wpatrzył. Po chwili z trochę urazy w głosie, rzekł.

— Posądzasz mię o krótką pamięć. Ja to raczej mógłbym zarzut ten uczynić tobie.

— Zarzut krótkiej pamięci? dlaczego?

— Boś zapomniał o starej przyjaźni naszej...

Po czole Stefana przepełnęła fala przykrego wzruszenia. Przez chwilę wahał się z odpowiedzią; potem z drgnieniem głosu, powściągniętem natychmiast, rzekł.

— Pamięci bywają różne. Jesteś tak dobry, że nie zapomniałeś o dawnej przyjaźni naszej. Ja także z czasów owych zapamiętałem wiele rzeczy...

— Przemennie zapomnianych? — pytająco wtrącił Roman.

— Sam o tem wiesz najlepiej — odpowiedział Stefan.

Wstał z krzesła.

— Ojciec gderać na mnie będzie, że tak długo spać ci nie daję, mnie też do spoczynku pora...

— Po takiej pracy, przy której cię zastałem na łące, zapewne...

Nagle, przerwał sobie i po krótkim wahaniu wybuchnął.

— Przepraszam cię, ale obchodzi mię to ogromnie! Dlaczego wy to robicie? Czy jesteście zrujnowani? Może już tylko cząstka Darnówki do was należy? Pamiętam, że stryj ma długi... a także i to, jakim było ich źródło!

Wszystko to, ale szczególnie wyrazy ostatnie mówił z uniesieniem tak szczerem, że twarz Stefana wypogodziła się i po raz pierwszy ukazał się na niej wyraz przyjazny.

— Ależ nie! — odpowiedział — bądź pod tym względem zupełnie spokojny. Ojciec od dość dawna już spłacił swoje długi. Nie były one zresztą wielkimi, a przyczyna, dla których je zaciągnął był niegdyś, napędza mnie zawsze dla niego wdzięcznością i szacunkiem wielkim, które mnie uszczęśliwiają...

— Dziękuję ci, Stefanie — ze wzruszeniem wyrzekł Roman.

— Co do Darnówki, ta całkowicie należy do nas tak, jak dawniej i jest majątkiem nie dużym, ale i nie małym...

— Więc dlaczego? dlaczego?... taka praca, taki sposób życia?... — nie mogąc opowiadać się, zapytał Roman.

Stefan uśmiechnął się.

— Dobrze, że nie ma tu tej swawolnicy Bronki...

— Bo znowu wyjechałby na stół Australczyk. Istotnie: pytam i pytam! Cóż chcesz? Tak długo, tak bardzo byłem oddalony...

— Ja zaś, aby odpowiedzieć na zapytania twoje, musiałbym zaczynać od potopu. Nie jestem pewny, czyby cię to nie znudziło i wątpię, aby się na cokolwiek przydało. U naszej szlachty zagrodowej jest przysłowie: „Každy ptak podług swego nosa śpiewa”. Bardzo mądre. Co do mnie, nie podjąłbym się przerabiać szczygłów na czyże, albo tam cokolwiek w tym rodzaju...

— Znajdujesz więc, że pieśń twoja i moja są tak bardzo różnemi?

— Radykalnie. Przekonasz się zapewne o tem, gdy przez czas jakiś u nas zabawisz. Ale tymczasem dobrej nocy ci życzę. Wolisz może lampę, niż świecę? Zaraz ci ją zapalę. Jutro zobaczymy się zaledwie około wieczora, bo bardzo wczesnie pojedę do jednego z folwarków, które budujemy, a potem na łękę dość oddaloną...

Od drzwi zwrócił się jeszcze ku gościowi:

— Jeżelibyś czego potrzebował, pokój mój znajduje się naprzeciw twojego...

— Więc ten sam, w którym mieszkałeś dawniej, przyjeżdżając ze szkół do domu!

— Ten sam.

— Pamiętam — dokończył Roman.

Teraz usiadł przy oknie i myślał: co to za ludzie? Jest w nich jakaś niejasność. Kim są? I czy naprawdę są kimś oryginalnym, czy też może pozory oryginalności okrywają w nich tylko gminność umysłów i uczuć? Nie; tego przypuszczać nie można w sposób żaden. Stefan był zawsze chłopcem niezwykle zdolnym i jednym z tych entuzjastów mąłomównych, skupionych w sobie, którzy zdają się zbierać i oszczędzać siły, przewidując lub przeczuwając, że przyjdzie im lecieć przed sznurem żorawi... Teraz ma trochę pozór fanatyka, chmurzącego się na... pieśni różne od tej, którą sam śpiewa. Fanatyzm zaś jest, podług Romana, naiwnością zkądiną, jeżeli tylko naiwne umysły namiętnie przywiązują się do idei jakichkolwiek, nie zdarza się to jednak nigdy umysłom gminnym. Przytem Stefan porusza się i mówi, jak człowiek zupełnie ucywilizowany. Cóż w tem dziwnego? Jest przecież magistrem jakichś tam nauk... No, mniejsza o niego! Jeżeli nawet odmówi mu swej przyjaźni, nie przyprawi go to o rozpacz. Rad jest, że, przyjeżdżając tu, dopełnił obowiązku względem stryja i zobaczył go, kto wie? może po raz ostatni. Bo człowiekowi temu zawdzięcza wiele i teraz już nie pojmuje, jak mógł przez lat tyle prawie zupełnie zapomnieć o nim. Z początku pisywał często i co roku wybierał się do Darnówki; potem odzywał się rzadziej i o odwiedzinach myśleć przestał, nakoniec umilkł zupełnie, prawie zapomniał. Upił się poprostu życiem i światem. Pamięć o ludziach i rzeczach dawnych wróciła mu podówczas właśnie, gdy napozór stanął u celu upragnionego. Dotąd jeszcze nie może zrozumieć dokładnie, dlaczego wieść o stanowczem już otrzymaniu posady nadspodziewanie wysokiej, nie uwolniła go od tego niepokoju, zniechęcenia, od tej zgryzoty tajemnej, a niczem wyraźnem nie usprawiedliwionej, których doświadczał już od dość dawna. Myślał przedtem, że uczucia te były wynikiem powolności, z jaką na swojej drodze posuwał się naprzód, szczupłości środków pieniężnych, monotonji zajęć i stosunków; że gdy to wszystko zmieni się na lepsze, zadowolenie jego będzie zupełnem. Zmieniło się, osiągnął cel pożądaný i zrazu ucieszył się bardzo. Uciecha trwała dni kilkanaście, poczem zaczęły powstawać na niej skazy. Nie rozumiał, zkąd się brały, nie rozbierał ich natury, ale

je czuł. Jakiś niepokój, czy żal, czy niepewność świdrowały mu serce i odzywały się w mózgu, niby coś niewiadomego, czy zapomnianego, co usiłuje przedrzeć się do świadomości i odpychane przez ruch, gwar, zamęt życia, pozostaje w głębiach jej ocienionych, mącąc jednak radość i spokój. Było to coś naksztalt szmeru w głębi muszli. Ale czym było? zkad? po co? Po co zwłaszcza w tej chwili, gdy osiągnął to, czego pragnął, o co starał się i prosił, co mu zabezpieczało przyszłość, wolną od trosk i niedostatku, łatwą, przyjemną, może nawet w perspektywach dalszych bardzo świetną? Machał ręką i myślał:

— Zdenerwowany jestem. Wszystko to robią nieznośne, głupie nerwy!

Czytał, przyspasabiał się do oczekujących go zajęć nowych, szedł tam, gdzie było wesoło: do ponętnej pani z trochę ptasim profilem i ognistymi oczyma, do wołyżerki Aurory, znowu na niego łaskawej. Szmer w muszli ustawał, lecz wkrótce odzywał się znowu... Czasem odrywał wzrok od książki z takim uczuciem, jakby o czemś niezmiernie ważnym zapomniał; czasem, wśród rozmów i śmiechu, ogarniało go coś takiego, jakby uczył nagle brak rzeczy najważniejszej i koniecznej. Machał ręką i powtarzał:

— Głupie nerwy!

Zaczął nawet miewać przywidzenia, które naprowadzały go na myśl, że jest chorym. Usypiał późno i w ciemności nocnej, we względnej ciszy stopniowo usypiającego miasta, słuchał tententu zegara, stojącego w pobliżu łóżka. Zrazu słyszał tylko zwyczajne tik-tak, tik-tak, które jednak przerabiało się w jego słuchu na coraz wyraźniejsze, zupełnie wyraźne: tak-nie, tak-nie! Z uśmiechem myślał, że to dziwactwo i wytwór wyobraźni, a pomimo to niepokoiło go pytanie: do czego zegar stosuje swoje twierdzenie i przeczenie? Czy będzie szczęśliwym tam, na krańcu świata? Tak-nie! Tak-nie! Czy dobrze uczyni, puszczając się w tę drogę daleką, z której powróci pewno po wielu zaledwie latach, może nie powróci nigdy? Tak-nie! Tak-nie! Dlaczegożby miało to być nie dobrem? Wszakże to jest pomyślność. Tak czynią wszyscy. On inaczej uczynić nie mógł. Tak-nie! Tak-nie!

Głupie nerwy!

Gdy miał wkrótce znaleźć się bardzo daleko, gdy baronowa to i owo powiedziała mu o Darnówce i jej mieszkańcach, coraz częściej przychodziły mu na pamięć miejsca i osoby znane i blizkie, długo zapomniane. Szczegółów bliższych nie mógł powziąć od baronowej, bo wkrótce po stracie kakadu i świetnym wieczorze owym wyjechała zagranicę leczyc się na reumatyzm. Ale te, o których się dowiedział, brzęczały mu w pamięci jak muchy, wplątane w pajęczynę. Ładna Irusia, towarzyszyca i ideał jego lat młodzieńczych, raczej pacholęcych, zjawiała się mu w postaci mętnej i niewyraźnej, ale przypominającej w zarysach głównych ów typ kobiecy, jakby pod niebem jego wyobraźni zawieszony, i o którym niekiedy myślał: „gdybym spotkał taką”...

Zaciekawiało go to, dlaczego nie chciała wyjechać w świat szeroki z baronową i dlaczego nie przyjęła od bogatej krewnej bransolety z brylantami? Bo istotnie baronowa miała słuszność. Komu to na całym świecie brylanty mogą być niepotrzebnymi? Oryginalna jakaś dziewczyna. Dzikus, gęś, albo... dusza czysta i dumna, która nie chce szerokiego świata i podarunków brylantowych!

Daleko jednak częściej myślał o stryju. Wspomnienia z dzieciństwa poprostu napastować go zaczęły. Dziś, gdy tylko ze stryjem rozmawiać zaczął, uderzyła go, jak błyskawica, myśl, że przysłowie jego: co tu robić? uwięzło mu w mowę wówczas, gdy... miał trochę więcej nad lat dziesięć, w tej porze pamiętnej i strasznej, kiedy w rękę lekkomyślnego ojca jego pękła fortuna, rozsadzona życiem zbytkownym i zbyt wesołym. Jednocześnie były jej właściciel, wyczerpany nadmiarem użycia, legł, obalony chorobą przewlekłą i ciężką. Wówczas do domu napełnionego niedostatkiem, nieporządkiem, łzami i złorzeczeniami tych, którym ta ruina zagroziła także ruiną i nędzą, przybył z dość daleka brat chorego i zaczął czynić usiłowania naprawienia, o ile było podobna, szkód, zrzędzonych honorowi brata i przyszłości jego dziecka. Nie było to łatwym; było to, owszem, tak trudnym, że wydawało się niepodobnym. Jednak Romuald Darnowski za wygraną nie dał. Krzątał się, jeździł, zapobiegał, porządkował i nieraz, zaskoczony trudnością nad możność, klęską bez ratunku, w zamyszeniu głębokim, z twarzą podówczas młodą jeszcze, lecz zachmurzoną, mówił do siebie: co tu robić? co tu robić? aż znalazł odpowiedź. Odłужиł Darnówkę, spłacił część znaczną długów braterskich, a potem dziecko, osierocone po ojcu, zabrał do siebie, cudem przemyślności i bezinteresowności ratując dla niego z rozbicia sumkę nie-dużą, lecz która była mu potem bardzo pomocną. O tem to źródle długów, które przez

czas jakiś ciężyły na Darnówce, Stefan mówił dziś Romanowi, że budzi w nim ono dla ojca szacunek głęboki i wdzięczność. Bardzo to jest szlachetnie ze strony Stefana. W tym fanatyku istnieje jakaś perła bardzo piękna!

Potem, dużo potem, dorastającym już chłopcem będąc, Roman słyszał nieraz stryja, powtarzającego, dla przyczyn zupełnie innych, swoje: co tu robić? Kiedy on, Stefan, kilku ich towarzyszy i Irusia pomiędzy nimi, w pokoiku pod strychem rezonowali, krytykowali, uwielbiali, postanawiali, poruszali ziemię z posad, na dole, w pokoju ustronnym i z prawie mniszą skromnością urządzonym, Romuald Darnowski, w obu dłoniach trzymając głowę już trochę siwiejącą i łysiejącą, powtarzał znowu: co tu robić? co tu robić?

Przerobiło się mu to w przysłowie. Jednak, w „głupich nerwach” drzemią niekiedy moce niezłomne. Wygląda to jak prawie nic; przez długie dni i lata ani tego czuć, ani słyhać. Aż nagle, nie wiedzieć dla czego, to coś, co drzemało w „głupich nerwach”, budzi się, przemawia, obudza w piersi żal i niepokój, w mózgu świdruje zapytaniem najdziwniejszemu „Tak? nie? Tak? nie?” Co to w głębi muszli tak wiecznie szemrze? Roman miał jeszcze miesiąc wolnego czasu. Napisał do stryja list oznajmiający i wyjechał w strony rodzinne niespodziewanie dla wszystkich, może najniespodziewaniej dla samego siebie. Przyjechał i nie doświadczył tego, czego pragnął. Ale czegoż on właściwie pragnął? Znaleźć się wśród swoich? tak, niezawodnie, tego pragnął. Wcale jednak nie czuje, aby znajdował się pomiędzy swoimi. Przeciwnie, ludzie ci są dla niego niejaśni i niepokojący, widzi też, że sam jest dla nich obcym. No, mniejsza o to! Jeżeli pobyt tutaj nie będzie wywierał na niego wpływów uspokajających i wrażeń przyjemnych, za dni parę odjedzie do swego! Do czego — swego? Jakto! Ma przecież przed sobą zajęcie nowe, pracę dużą. Zajęcia i pracę — dla czego? Jak owad zabrzęczały mu w uchu wyrazy: dla pasztetu! Uśmiechnął się. Zaczny, kochany oryginał! Trzebaż-to w taki sposób rzeczy określać! Niby wychwała, niby drwi. Trudno poznać czy myśli, czy też nie myśli tak, jak mówi.

Zgasił lampę i, stanąwszy przy otwartym oknie, do połowy przez nie wychylony, pełną piersią wciągać zaczął oddech cichej nocy świeży i wonny. Na sierpniowym niebie, wyiskrzonym gwiazdami, białeły gdzieniegdzie szlaki dróg mlecznych; gdzieniegdzie przysłaniały je cienie drzew wysmukłych lub rozłożystych. W dole kwiaty, rozproszone nad trawami, w których nieustannie grały świerszcze, wydawały się w wyiskrzonym świetle gwiazd niebieskich blademi gwiazdami ziemskimi.

Od dziesięciu lat nie był już na wsi, bo nie może nazwać wsią zamiejskich will baronowej i jej przyjaciół, w których czasem przepędzał trochę dni lub tygodni letnich. Było tam zawsze pełno gości, ruchu, stołecznej wrzawy i elegancji. Od dziesięciu lat po raz pierwszy znajdował się w miejscu ustronnem i cichem, z sercem, głową i umysłem zanurzonemi w ciszy nocnej, w świetle gwiazd i mgławic, w swoich własnych głosach wewnętrznych. Fala myśli przepływała mu przez głowę, przynosząc zapytania i rozważenia coraz nowe.

Człowiek jest stworzeniem ogromnie kapryśnym i nieloicznym, a przez to nieszczęśliwym; tak, dla tego właśnie nieszczęśliwym, że kapryśnym i nieloicznym. Ściga, walczy, zdobywa i potem nie umie cieszyć się zdobyczą dościgniętą i wywalczoną. On także dopóki nie posiadał pewności, że będzie miał lepszy, niż dotąd, kawałek chleba, stanowisko zaszczytne, możliwość posuwania się coraz dalej i wyżej...

Fala myśli, bez udziału woli jego, powielekroć powtórzyła w mózgu wyrazy: „coraz dalej i wyżej... coraz dalej i wyżej... coraz dalej i wyżej”... aż uwaga pochwyciła je i zatrzymała się nad nimi. Coraz dalej i wyżej... ku czemu? Jak to ku czemu? Ku formie życia lepszej i wyższej. Jakiego życia? Jakiego? Ależ bardzo naturalnie, że jego, jego osobnikowego, własnego życia. Tylko? Rzecz prosta, że tylko... bo cóżby więcej? co więcej?

Z oczyma, utkwionemi w ciemność, okrywającą dół ogrodu, jakby majającym wśród niej kwiatom powierzał rzecz jakąś nowoodkrytą i bardzo nie wesołą, kilka razy powtórzył: — Nic! Nic więcej... nic więcej...

Fala myśli zakolysała się znowu i zaszemrała w mózgu. Bagatela! czegoż więcej chcieć można? Przyszłość zabezpieczona, wygodna, przyjemna, znaczenie w świecie!...

Znowu dwa ostatnie wyrazy pochwyciła uwaga, zatrzymała się nad nimi, zgłębiać je zaczęła, aż po chwili wytrysnął z nich potok śmiechu, Roman powiódł oczyma po niebie gwiazdzistym, po szlakach dróg mlecznych, zawieszonych w odległościach nieskończo-

nych, płynących w przestworze niezmierzone, przesunął wzrok po ciemnych profilach drzew potężnych, okrytych tyłu może liśćmi drobnymi, ile globów ogromnych okrywało niebo — i roześmiał się głośno. Jego znaczenie w świecie! Od takich, jak on, roi się na ziemi. Znaczą wiele jedni wobec drugich, to prawda, ale po co tu świat mieszać?... Chyba za świat pocztywać wypadnie garść istot, chodzących w sukniach jednostajnych... a-no tak, zapewne, jest to właściwie świat jego, ale on wie bardzo dobrze, jakie tam ściany ciasne, popękane i miejscami brudne...

Czuł się usposobionym więcej gorzko i szydersko, niż kiedykolwiek. Nagła zmiana otoczenia fizycznego silnie wstrząsnęła jego widnokretem moralnym, zmieniając na nim rozmiary punktów różnych i okrywając je oświetleniem nowem. Przedmioty zamilowań jego dotychczasowych zmalowały, cel nadziei przygasł. I przedtem już lekceważył je niekiedy, teraz myślał, że ta piękna, tak, niewątpliwie piękna koncha zawiera w sobie perłę wcale nieosobliwej wody. Ale zapewne, wszystkie na świecie konchy są takie same. W pocie czoła i trwogach serca spuszczaś się po nie na dno morza, szukasz, znajdujesz, porywasz, otwierasz, i pod światłem słońca spostrzegasz kroplę gorzkiej wody! Jeżeli tak jest, pocóż zachody, starania, prace? Jeżeli tak jest, pesymiści mają słuszność, utrzymując, że żyć nie warto. Cóż ztąd, że nie warto, skoro żyjący są żyjącymi, a w dodatku chcącymi żyć, skutymi z życiem przez instynkt, unicestwiający się bardzo rzadko? On chce, nawet bardzo chce żyć. Czuje się pełnym energii i pragnień, tylko że teraz już nie wie, ku czemu je zwrócić. Jedno posiada napewno: pasztet, ale go to nie zadawalnia. Cała rzecz w tem, że są tacy, których on nasyci, i tacy, którzy, jedząc go pełną gębą, czują się Ugolinami. Czy on do tych drugich należy? Najpewniej. Byłżeby więc marzycielem? Przypuszczenie to prawie go oburzyło. Przywykł do słyszenia i myślenia, że marzycielstwo jest jedną z odmian obłąkania. On dotąd unikał choroby niebezpiecznej. Owszem, chwalono go powszechnie i sam siebie chwalił za praktyczność, za umiejętność stosowania się do warunków, położenia, za zręczność w zdobywaniu ułatwień i uprzyjemnień bytu. Jednak było w nim także coś zupełnie od praktyczności odmiennego, coś, co udawało umarłego, ale żyło i w pierwszym przełomowym momencie jego życia zaczęło go niepokoić, zniechęcać, dręczyć...

Wiedział, był zupełnie pewnym, że ten stan niepokoju, niezadowolenia trwać będzie i wtedy, kiedy już zajmie stanowisko, tak przedtem upragnione. Teraz, na samą myśl o niem, ogarniała go nuda. Tak, nuda! Był to wyraz, dokładnie określający uczucie, towarzyszące myśli o tem stanowisku i przywiązanych do niego zajęciach. Myśląc o nich, nudził się z góry. Może mu tam nie jedna Irma lub Aurora, nie jedno widowisko, nie jedna muzyka, nie jeden przysmak przyniosą rozrywkę, nawet upojenie. Ale czy to będzie szczęściem? Czy to będzie celem? Wie dobrze, że nie. Ale gdzież szukać tego szczęścia i tego celu? Czy wogóle istnieją one na ziemi? Bardzo być może, iż każde istnienie ludzkie jest takim kompromisem pomiędzy pragnieniami, których człowiek ani zaspokoić, ani nawet wyrozumieć jasno nie jest w stanie, a rzeczywistością jasną, ciasną, żelazną, niezbędną. Cóż robić, skoro inaczej nie można? Trzeba przyjąć życie takim, jakim jest, jakim w ręce włoży, chociaż nawet nie zaspakaja pożądań jakichś dziwaczych i niezrozumiałych. Inaczej nie można. Trzeba to wszystko w garść zebrać i za okno wyrzucić, a żyć tak, jak żyją wszyscy, jak pozwalają warunki i stosunki, wśród których człowiek urodził się i obraca. Inaczej nie można.

Późno usnął i, obudziwszy się śród nocy, ze zdziwieniem słuchał odgłosu, który z za okna zamkniętego dochodził wyraźnie, podnosząc się z dołu ogrodu, jakby z odległej głębi. Był to odgłos ostry, przenikliwy, złożony jakby ze strunek drobnych i drżących. Było to monotonne i zarazem rozmaite: skwierczało, świegotało, śpiewało, napępniało powietrze milionami drgań dźwięcznych i przyszywających, jak strzałki zaostrome. Roman usiadł na łóżku, ale wnet położył się znowu.

— To świerszcze w trawach grają!

Przez parę minut jeszcze, dopóki nie zasnął znowu, świerszcze z traw niskich i zroszonych grały mu w uszach: „tak-nie! tak-nie!”...

III

Kiedy obudził się, zobaczył falę światła złotego, zalewającą pokój i stryja, który, siedząc przy łóżku, patrzył na niego we właściwy sobie sposób, dobroduszny i zarazem przenikliwy. W szarem odzieniu, barczysty i wysoki, z prawie jowjalną dobroduszością w spojrzeniu i uśmiechu, na pierwszy rzut oka mógł być wzięty za upostaciowanie siły fizycznej zdrowej, tęgiej, nie mąconej żadnymi kaprysmi, ani subtelnościami ducha. Jednak obfite światło godziny przedpołudniowej uwydatniało snop zmarszczek, który, poczynając się pomiędzy brwiami, przerzynał mu czoło w kierunku pionowym i rozstrzelał się nakształt promieni ukośnych u początku łysiny, okrywającej środek czaszki. Te zmarszczki, oraz pewne wklęsnięcia na policzkach podłużnych i kościstych mąciły harmonję tej powierzchowności na pierwszy rzut oka tylko silnej i wesołej, wlewając w nią nutę cierpienia. Było to jednak niestałe i do pochwylenia trudne; błyskało z głębin ukrytych i zniknęło, pozostawiając tej postaci, prawie potężnej, i tej twarzy dużej, grubej, czerstwej, cechy jej stałe: siłę i dobroduszość żartobliwą, czasem tajemnie drwiącą.

— Dzień dobry, śpiochu! Już może od kwadransa siedzę tu i rozmyślam: obudzić, czy nie obudzić? Obudziłeś się sam, co tu robić, to i dobrze! Pożegnać cię muszę na kilka godzin i przeprosić, co tu robić, że pozostaniesz na łasce bab, bo i Stefka w domu niema. Rozpoczęliśmy interes ważny i, co tu robić, dopilnować go musimy. Podzieliłiśmy Darnówkę na kilka części i zabudowujemy każdą...

Roman, ubierając się spiesźnie, z ręcznikiem w ręku, stanął jak wryty.

— Parcelujesz Darnówkę, stryju, więc ją sprzedajesz?

— Sprzedaję! ja, Darnówkę! — z głośnym śmiechem zawołał stary. Co ci też, kotku, do głowy przyszło? Cha, cha, cha, cha! A cóżby na świecie robił taki jak ja parobek, gdyby kawałek ziemi nie miał! Cha, cha, cha, cha! Dobrze to ludziom wyższym bujać po świecie i złote motyle łapać, ale ja, co tu robić, tylko na swojej grudzie ziemi czemś jestem, coś mogę... a Stefek po mnie poszedł. Obaj my, co tu robić, parobcy boscy, wołę Bożą pełnim, jak mogę... do niczego wielkiego ani sławnego nie zdadni... Dzielimy Darnówkę na części, aby je poosobno wydzierzawiać.

— A ty, stryju, i Stefan, z waszem zamięłowaniem do gospodarstwa?

— My, z naszym zamięłowaniem, pozostaniemy, co tu robić, na jednej z tych części... Nie bój się, lwia część pozostawiliśmy dla siebie; bo każdy sobie rad... co tu robić? Druga będzie dla Leosia, gdy szkoły skończy... na dwóch innych niech tam, co tu robić, uczciwi ludzie siedzą, kawałek chleba jedzą i prawom boskim parobkują... co tu robić...

Ogniste oczy jego z chwilowem zamyśleniem skierowały się kędyś za otwarte okno.

— Czy to jest dobry interes, stryju? — zapytał Roman.

Stary popatrzył na niego śmiejącymi się znowu oczyma, ale z powagą w głosie odpowiedział:

— Mogę ci, kotku, sumiennie powiedzieć, że interes ten jest dobrym. Jabym go nawet sam nie wymyślił. To pomysł Stefka. Gdybym miał dług, nie mógłbym go wykonać. Miałem je, ale z pomocą boską spłaciłem, więc, co tu robić, robię, co mogę. Interes jest dobry.

Roman nie odpowiedział. Szczotką, w srebro oprawną, czesząc swoje bujne włosy, myślał, że, jeżeli ten interes jest równie dobrym, jak tamten, dla którego Romuald Darnowski zaciągnął był dług, to przyszłość majątkowa jego synów wyjdzie na nim nie najlepiej. Jednak to dawne zadłużenie Darnówki nie było w znaczeniu pewnem interesem dobrym? Do tego wyrazu, jak do każdego innego, przywiązywać można znaczenia różne. Gdyby ten człowiek nie zrobił był podówczas tego interesu, dla siebie wielce nieosobliwego, co stałoby się z Romanem, czem byłby teraz i nadewszystko, jak zhańbione i przekleństwami ludzkimi obarczone nosiłby imię! Pod wpływem tych myśli rzucił srebrną szczotkę na stół, haftowany ręcznik na ziemię i pochyliwszy się złożył na rękę stryja pocałunek mocny i długi. Kiedy przyciskał usta do grubej i ciemnej skóry tej ręki, uczył dokoła szyi szorstki rękaw surduta, a na czole dotknięcie twardych wąsów. Jednocześnie wyprostowali się obaj i prosto, długo popatrzyli sobie w oczy. Stary Darnowski pierwszy przemówił:

— Podobnyś do ojca swego, bardzo podobny...

Spostrzegłszy na twarzy synowca wyraz zmieszania, spiesźnie dodał:

— Z powierzchowności i obejścia się. Wzrost, uśmiech, ruchy te same, co tu robić, serdeczność taka, dla której trzeba mu było wszystko przebaczać... co tu robić... ale mniejsza o to! Kiedy patrzę na ciebie, staje mi jak żywa przed oczyma młodość moja... młodość jego i moja... piękna, różna, czysta młodość nasza, dopóki... dopóki... co tu robić...

Zmieszał się, umilkł, snop zmarszczek na czole i wklęśnięcia policzków pogłębiły się i uwydatniły na twarzy wyraz cierpienia, zazwyczaj prawie niedostrzegalny. Spoglądał na rozłożone i rozstawione po stołach graciki połyskujące i eleganckie, aż zwykły uśmiech począł mu występować na usta i do oczu. Po chwili, cały już w tym uśmiechu, z dłońmi złożonemi na kolanach, zawołał:

— Nietylko z powierzchowności, co tu robić, nietylko z powierzchowności...

— Z czegoż jeszcze, stryju? — odwracając się od szafy, z której wyjmował odzież, zapytał Roman.

Ale stary na to pytanie uwagi nie zwrócił. Gestem szerokim wskazał na toaletowe przybory synowca.

— Śliczne rzeczy... prawdziwe cacka... cały kram galanteryjny... Jakie to wszystko ładne, zgrabne, gładkie, oko i rękę pieści... Co to się teraz dzieje na świecie, co się dzieje! Wszystko, czego się ludzie dotykają, na co patrzą, czem się posługują — czyste złoto! Bajka Midasowa, co tu robić, Midasy! I dobrze! Są trzy przykazania najważniejsze, które człowiek wyższy rządzić się powinien; pierwsze: dbaj o siebie samego; drugie: wiedz, co się tobie od świata należy; trzecie: egzekwuj swoją należność od świata bezwzględnie, co tu robić, bezwzględnie...

Roman stał przed mówiącym z twarzą trochę wzburzoną.

— Mój stryju — przerwał — zmieniłeś niby przedmiot rozmowy, jednak myślisz o tem samym i ja to rozumiem bardzo dobrze. Ale myślisz się, mój stryju. Zamiłowania mego ojca miały koniec bardzo smutny dla niego i dla ciebie. Stracił nietylko swoje mienie, ale tyle cudzego, to nieogłędność i niepraktyczność wielka. Ja zaś, mój stryju, poczytywany jestem przez wszystkich znajomych moich za człowieka praktycznego. Na to, co tu widzisz, starczyło mi środków bez uszczerbku dla własnej przyszłości mojej, lub kogokolwiek innego. Mam też nadzieję, że gdy poznasz mię bliżej...

— Ależ wierzę, kotku, bez bliższego poznania wierzę i nawet wiem o tem — z twarzą w uśmiechu i ramionami do protestu podniesionemi przerwał Darnowski — wiem, wiem... co tu robić, praktyczny jesteś, nad możność nie wydajesz, przyszłości swojej na szwank nie wystawiasz... wiem i pochwalam, co tu robić, bardzo pochwalam, bardzo mię to cieszy... tylko, że, kotku, gruntu rzeczy to wcale nie zmienia...

— Jaktu: gruntu rzeczy?

— A pewnie; bo budżet swój urządzić praktycznie lub niepraktycznie, ogłędnie lub nieogłędnie, to, kotku, proceder... Różni różnie go wykonywują. Zależy to od temperamentu i okoliczności. Ale gruntem rzeczy jest przedmiot procederu. Zaś przedmiotem procederu, prowadzonego przez ojca twego niepraktycznie, przez ciebie praktycznie, jest, jakby to powiedzieć... Co tu robić... jakby to powiedzieć... jest...

Jąkał się, ogniste oczy jego, wlepione w twarz Romana migotały, snop zmarszczek na czole stał nieruchomo jak znak zapytania. Roman, z rumieńcem, wytryskującym mu na twarz, dokończył:

— Pasztet!

Stary wybuchnął wesołością nadzwyczajną.

— Tak, tak, tak, kotku! tak, tak! trafnie, jak Boga kocham tak trafnie powiedziałeś, jakbyś, co tu robić, w myśli mojej czytał! cha, cha, cha! akurat tak samo myślałem! Pasztet. Tak, paszтет. Czy zaś kupiony od razu za całe mienie i przyszłość, czy kupowany potrochu, rozsądnie, przez całe życie, to różnica procederu. Jeden jest gorszy, drugi lepszy — w skutkach, ale przedmiot obu, przedmiot obu, kotku, jednostajny. I w tem podobieństwo, cha, cha, cha, kotku, co tu robić, w tem podobieństwo!

Przestał śmiać się, wstał i poważnie, nawet ostro powtórzył jeszcze:

— W tem podobieństwo.

Poczem, synowca na kilka godzin pożegnawszy, odchodził, ale ode drzwi jeszcze przemówił:

— Jeżeli znudzisz się z kobietami, w pokoju Stefka znajdziesz książki; drzwi naprzeciw twoich zawsze otwarte. A gazety u dziewcząt w schowaniu. Niech ci je Irusia albo Bronka ze swojej spiżarni wydadzą.

Odszedł, a Roman stał jeszcze chwilę pośrodku pokoju trochę rozśmieszony, trochę niezadowolony i niespokojny. „Grunt rzeczy ten sam; u twego ojca i u ciebie proceder inny, ale grunt rzeczy ten sam. Pasztet!” Może to i prawda. Mądry stary!

Wtem, z za okna, z dołu doszedł go głosik młodziutki i donośny, wołający:

— Proszę na śniadanie! proszę na śniadanie!

Roman skoczył ku oknu i, wychylony przez nie, zobaczył u stóp wielkiej lipy klomby pełne kwiatów, które iskrzyły się barwami rozmaitemi i rosą, niedobrze jeszcze oschłą. Pomiędzy klombami stała Bronia, trzymając w obu rękach grabie, oparte o ziemię, z twarzą ku jego oknu podniesioną. Tylko co znać oczyszczała z trawy ścieżki pomiędzy klombami, bo u samych jej stóp słońce krzesło iskry stalowe w żelazie rzuconego na ziemię rydla. Roman, przez okno wychylony, odpowiedział:

— Wypowiadam wojnę Broni. Jestem bratem stryjeczno-rodzonym i żądam, aby Bronia nazywała mię po imieniu.

Zmieszana trochę, głowę spuściła, a po chwili cienki głosik z obłoku złotych kędziorków odpowiedział.

— Kiedy jeszcze nieznajomy...

— To nic nie szkodzi. Niech Bronia zawoła: Romku, chodź na śniadanie! bo inaczej nie pójde!

W tej chwili z za węgła domu, inny głos kobiecy, czysty i bardzo przyjemny, ozwał się niezbyt głośno, ale wyraźnie:

— Kuzyn ma słuszość. Powinnaś, Broniu, nazywać go po imieniu, ponieważ jest twoim bratem.

Na dźwięk tego głosu, Roman uczył słodycz, zmieszaną ze smutkiem. Wspomnienie wiosny życia nadleciało i zatrzepotało mu w sercu, jak motyl mdlejący. A głosik dziecinny, z pomiędzy kwiatów, po chwili milczenia ozwał się znowu:

— Niech już sobie... Proszę Romka na śniadanie...

Z wązkich schodów wchodząc do przedpokoju, Roman spotkał się z wchodzącą innemi drzwiami dziewczyną wysmukłą, z czarnym warkoczem, zwiniętym z tyłu małej głowy, z dzbanem szklanym pełnym mleka w obu rękach. Miała na sobie suknię w kratki szare i niebieskie i duży fartuch biały, okrywający ją od szyi aż prawie do stóp. Zobaczywszy go, przyjaźnie skinęła głową.

— Dzień dobry, kuzynie.

— Dzień dobry — odpowiedział — ale byłby lepszym dla mnie, gdybyś, kuzynko, tego dzbana nie miała w obu rękach...

— Czy tak nie lubisz mleka, kuzynie?...

— Wcale nie; ale mogłabyś mi na dzień dobry rękę podać.

Zaśmiała się.

— Zaraz to uczynię. Proszę za mną.

Zrobiło się mu wesoło. Wszedł za nią do jadalni i po chwili, siedząc przy stole obok pijącej kawę stryjenki, ścigał wzrokiem jej spokojne ruchy, gdy krzątała się dokoła stołu, nalewając, krając, przynosząc, podając. Główną cechą jej powierzchowności był spokój. Miała ruchy i rysy spokojne, a uśmiech nie częsty i krótki, ale bardzo świeży i zawsze odbijający się w oczach, które wnet potem odzyskiwały wyraz zamyślenia. Sprawiało to zawsze wrażenie niespodzianki, bo zrazu nie można było przypuszczać, aby istota tak spokojna umiała uśmiechać się tak promiennie, ani też, aby ten uśmiech mógł zniknąć tak rychło.

Stryjenka, pijąc kawę, powoli, trochę przez nos i zęby, lecz prawie nieustannie opowiadała synowcowi, który niegdyś był jej ulubieńcem, o tem, jak przez ten czas dziesięcioletni do ostatka straciła zdrowie, jakie ją dręczą migreny i bezsenności, jak niezdolną się stała do wszelkich zajęć gospodarskich i domowych. We wszystko to łatwo było uwierzyć, patrząc na twarz jej żółtą i kibić chudą, chociaż dotąd jeszcze zgrabną. Ale Irena, stawiając przed nią talerz z sucharkami, przemówiła:

— Wujenczka ogaduje się trochę. Kiedy trzy lata temu Stefek był ciężko chory, cudów wytrwałości dokazywała. Nikt z nas nie był tak czujny, tak żwawy, i tylu nocy bezsennych nie mógł spędzać, ile wujenka...

Uczucie błogości nappełniło blade oczy p. Pauliny, które wzniosła ku wysokiej dziewczynie, stojącej przy niej z dłonią pieszczotliwie opartą na jej ramieniu.

— Ach, ach, ach! co tam... co tam! że raz się zdarzyło... ale ty, Iruś, ty zawsze chcesz mię pocieszać!

— Pamiętam także — ozwał się Roman — jaką dobrą i miłą dozorczynią chorych bywasz stryjenko...

Rozpromieniła się jeszcze więcej.

— Pamiętasz? doprawdy? Bardzo, bardzo chorym byłeś podówczas... ach, ach, ach... jakie to dawne czasy!... tak, tak! Nie byłam przecie zawsze taką, jak dziś jestem. Romuald pamięta dobrze, jakeśmy niegdyś razem pracowali... ale teraz...

Nastąpiło znowu długie uskarżanie się na to, co było z nią teraz, poczem jednak, splatając chude ręce, z rozpromienioną od uciechy twarzą, westchnęła.

— Ale to wszystko nic... kiedy się ma taką rodzinę... Romuald jest zawsze najlepszym i najzacniejszym mężem... a Irusia... ach, ach, ach, to moja lekarka, wyręczycielka, pocieszycielka... chociaż chora jestem i brakuje mi wielu rzeczy... ach, ach, ach! wielu rzeczy, to jednak Bogu dziękuję, tak mój Romku, rano i wieczór Panu Bogu dziękuję za swoje szczęście!...

Roman trochę słuchał, a trochę udawał, że słucha. Myślał, że chciałby bardzo poznać zblizka tę skromną, czynną, zamyśloną dziewczynę, którą znał i kochał, gdy była dzieckiem swobodnym i wesołym. Nie, nie była już i wówczas zupełnie swobodną ani wesołą. Coś poważnego i smętnego kielkowało w jej dziecinnej główce. Ciekawość, w co właściwie urosło!

— Kuzynko Ireno — przemówił — czy pamiętasz jakeśmy przed dziesięciu, czy jedenastu laty czytali wspólnie pod lipą żywoty wielkich mężów Plutarcha i jakie one na ciebie czyniły wrażenie?

Blady rumieniec oblał jej policzki, ale wnet zniknął.

— Przed dwoma laty — odpowiedziała — po raz drugi czytałam tę książkę wujowi.

— Bo Irusia jest lektorką tatki — zaszczebotała Bronia — mego czytania tatko nie lubi, mówi, że pędzę, jak sztafeta.

— Wyobrażam to sobie — uśmiechnął się Roman.

— Niech Romek nic sobie nie wyobraża! — zawołała — mamie czytuję, mama takie prędkie czytanie lubi...

— Obraziłaś się i w uniesieniu zaczęłaś mię nareszcie nazywać Romkiem. To bardzo dobrze.

— Cóż w tem dobrego, że troszeczkę ponazywam Romka po imieniu? Przecież za parę dni pojedzie sobie na koniec świata i będzie po całej znajomości naszej.

— Dlaczegoż za parę dni? — drażnił się jeszcze Roman — może za parę tygodni...

— To wszystko jedno — odpowiedziała.

— Jakto: parę dni i parę tygodni, to wszystko jedno?

— Naturalnie...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zawahała się; nie wytrzymała jednak i z ukośnem spojrzeniem na brata, zachichotała zcicha.

— Australczyk i za parę tygodni będzie australczykiem!

— Masz słuszność — potwierdził i nagle zachmurzony spojrzął na Irenę, która ze szklanką mleka w ręku stała przy stole. Powieki jej były spuszczone, a po ustach przewijał się uśmiech, który jednak znikł zaraz. Postąpiwszy ku szafie kredensowej, coś z niej dobywać zaczęła. Z podniesionemi w górę ramionami i spokojną kibicią wydawała się bardzo zgrabną; w profilu jej, nieco w tył odgiętym, była wielka czystość linji i wyrazu. Nie odwracając głowy, rzekła żartobliwie:

— Przestań klócić się z bratem, Broniu, i idź do naszego pokoju, gdzie i ja zaraz przyjdę, aby ci lekcję zadać...

Pani Paulina szepnęła do Romana.

— Irusia uczy Bronię. Ja i Romuald chcieliśmy wziąć dla niej nauczycielkę, bo przecież... przecież, niech nas Bóg broni, abyśmy mieli obarczać ją nad siły. Ale sama nie zgodziła się na to za nic. Ciągłe powtarzała: „a cóż ja robić będę?”

Roman myślał teraz, że chciałby bardzo wiedzieć, czy spokój jej jest rzeczywistym, lub tylko udanym. Ochmistrzyni, lektorka, guwernantka, wiecznie tylko w tym kącie zapadłym! Co za los dla kobiety młodej i ładnej! Czy ona nie wie o tem, że jest powabną i że życie ma powaby? Śniadanie trwało krótko, dziewczęta opuściły jadalnię, Roman czuł także wielką ochotę wybieść z domu i pójść drogą, która od wrót dziedzica biegła białym szlakiem przez pole pod las sosnowy. Ta droga, której szlak przepadający za drzewami i znowu się ukazujący widział przez otwarte okno, wabiła go, poprostu wołała ku sobie, a nietyle jeszcze ku sobie, ile kędyś, kędyś, gdzie biegła sama; ale p. Paulina zaprosiła synowca, aby usiadł przy niej. Sama siedziała u jednego z okien jadalni i zabierała się do tkania koronki.

Przed nią na stoliku leżała poduszka, stercząca mnóstwem wetkniętych w nią szpilek i okryta nićmi, rozsnutymi pomiędzy szpilkami. Ręce p. Pauliny, chude i żółte, bardzo starannie utrzymywane, z wielką zręcznością i wprawą przerzucały pomiędzy osnową klocki również nićmi owinięte.

— Widzisz, Romku... ach, ach, ach! do niczego już więcej zdatną nie jestem, oprócz do tej robótki, którą zresztą bardzo lubię. Chodzić i krzątać się nie mogę; Irusia za mnie wszystko robi... Jużbym nieraz i umrzeć chciała, takem marna i nieużyteczna... ale znowu... ach, ach, ach... oni wszyscy są tacy dobrzy dla mnie, pobłażliwi, tak ich kocham, że rozstać się z nimi nie chcę... a śmierć to rozstanie...

— Pocóż myśleć o takich ponurych rzeczach! — pocieszał Roman.

Zauważył, że suknia jej z bardzo taniego materiału była suto przybraną takiemi koronkami, jak te, które w tej chwili robiła, co właśnie nadawało jej pozór nastrzępiony i trochę zabawny. W tem ubraniu, ze starannie ułożonemi włosami, do których jasnej płowoci gęsto mieszała się siwizna, z kibicią drobną, chudą, jeszcze zgrabną, miała pewien wdzięk delikatny, chorobliwy i trochę zabawny. Było w niej szczególniejsze zmieszanie pretensjonalności i słodyczy, wiecznego lamentowania i jednoczesnego cieszenia się swoim losem, coś niezgodnego, nie zharmonizowanego, jakby dwie razem istoty, dwa serca, czy dwa momenty czasu. Mówiła powoli, jak leniwie ciekąca woda. Opowiadała Romanowi, jaki to kąt pusty i senny zrobił się z okolicy, w której znajduje się Darnówka. Sąsiedztwa stopniały; domy, chociaż niezupełnie opuszczone przez właścicieli swoich, stoją prawie pustkami. Mieszkają w nich tylko ludzie starzy, zrzadka chyba jakiś jeden właściciel młody lub w średnim wieku.

— Pamiętasz pewno sąsiadów Darnówki, a jeżeli nie pamiętasz, to sobie przypomnisz. Drzewieccy, naprzykład, mniej więcej rówieśnicy twoi i Stefana. Trzech braci... Lucjan do Azji wyjechał i świetną karierę robi; Aureli, naturalista, gdzieś w Niemczech siedzi; Feliks urzędnikiem jest, nie pamiętam gdzie, czy tylko nie w Kurlandji. Rodzice w domu, staruszkowie, we dwoje tylko, jakby dzieci nie mieli wcale. Majątek, po śmierci rodziców, synowie pewno sprzedadzą, albo może dostanie się temu z nich, który najwięcej pieniędzy uzbiera i braci spłaci. To tak, jak z Domuntami. Marcelli już braci spłacił i jest jedynym właścicielem Kaniówki, ale buja po świecie i podobno miliony kuje...

— Do Kaniówki obiecuje sobie wrócić na starość — wtrącił Roman.

— Ach, ach, ach! któż to może być pewnym, że dożyje starości — westchnęła pani Paulina. O braciach Marcelego wiesz już podobno.

— Jaka to katastrofa stała się z Kaziem?

Machnęła ręką, zasępiła się.

— Niechaj ci to już on sam opowie, albo Stefan... bo ja nie mogę... Jest to okropna historia... ach, ach, ach! co się to czasem dzieje na świecie... co się dzieje! Dwóm braciom młodszym dobrze podobno...

— Dość dobrze — potwierdził Roman.

— A widzisz! Wszystkim, którzy starają się, szukają — dobrze, chociaż czasem tak, jak z Kaziem Domuntem, zdarzają się i okropności... Niecińscy też niebardzo są zadowoleni... Pamiętasz ich?

— Wyśmienicie. Gdzież są Niecińscy?

— Mój drogi, czyż ja to wszystko spamiętać mogę? Ach, ach, ach, nie pamiętam... ale gdzieś daleko... Niebardo się im powodzi... Narzekają w listach do brata...

— Więc jeden z trzech w domu?

— Dotąd, dotąd, ale już nie będzie, już na wylocie... Zdarza się mu jakieś miejsce doskonale z wielką pensją, rządcy dóbr jakichś ogromnych, nad morzem Białym.. Zalesie w dzierzawę wypuszcza i wyjeżdża...

— Pocóż? skoro dotąd...

Pani Paulina żółty palec podniosła w górę.

— Pensja duża, mój drogi, pensja duża, większa, niż dochód z całego Zalesia, które przecież pomiędzy trzech się dzieli. Teraz takie czasy, taki świat, że pieniądze — to grunt...

— To prawda — zgodził się Roman i zaraz zapytał:

— A Rosnowscy? Bohdan bawi teraz w Zawrociu. Jakże się powodzi jemu i Zygmuntowi?

— Tym się powodzi, o, tym to świetnie się powodzi! — z przejęciem się objaśniła pani Paulina. Bohdan karierę robi, już zrobił... Bardzo rozumny, bardzo miły człowiek... nawet Romuald i Stefek dość go lubią i daleko lepiej uważają, niż innych...

— Niż kogo, na przykład?

— Niż, na przykład, Marcelego Domunta, albo tego Niecińskiego, który za miesiąc wyjedzie nad morze Białe... Oni, mój drogi, to jest Romuald i Stefek, mają swoje wyobrażenia i przekonania... oni są bardzo uczciwi, szlachetni, ach, ach, ach! jacy szlachetni!

— Wiem o tem. Ale dłaczegóż stawia wyżej Rosnowskiego nad Marcelego Domunta...

— Bo widzisz, mój drogi, oni mówią, że Marceli żyje tylko dla pieniędzy, a Bohdan więcej dla nauki, daleko więcej dla nauki, niż dla pieniędzy...

— Prawda, że jest w tem różnica gruba — zgodził się Roman i zaraz dodał:

— Muszę koniecznie zobaczyć się z Bohdanem.

— Ach, ach, ach! jaki miły, jaki rozumny! — zachwycała się pani Paulina. Tylko... tylko... wiesz? dziwna rzecz! dostał małego, maleńkiego, malenieczkiego bzika...

— Bzika? Bohdan? taka, o ile pamiętam, głowa tęga i pozytywna...

— Ach, ach, ach! doskonała głowa... to samo mówią Romuald i Stefek... ale dostał maleńkiego bzika...

— Ależ jakiego?...

— Na punkcie psa...

— Co stryjenka mówi...

— A tak, ma takiego psa... Swoja... Swoją się nazywa... ale sam to zobaczysz, bo pewno lada dzień przyjedzie do Darnówki... teraz jeszcze skończę o sąsiadach...

Dość długo jeszcze mówiła o sąsiadach. Ten tam, tamten owdzie. Temu na szerokim świecie powodzi się doskonale, tamtemu tylko nieźle, owemu wcale nieosobliwie, ale wszyscy mają nadzieję szukają, zabiegają, starają się o życie lepsze. Tak, o życie lepsze...

— Bo widzisz, Romku, gdyby dzielili się majątkami, na każdego przypadłaby taka mała cząstka, że nie mogliby z niej żyć dobrze... Romuald i Stefek powiadają, że to nieprawda. Ja tam nie rozstrzygam. Ach, ach, ach! gdzie mnie tam do rozstrzygnięcia! Tylko też i nie dziwię się. Cóż robić! Chcą żyć dobrze... Na to przecież uczyli się, aby do czegoś dojść... I Stefek doszedłby, gdyby chciał. Ale nie chce. W myśli mu to nawet nie powstało. Czasem serce mi się kraje, kiedy patrzę, że on się tak marnuje... ach, ach, ach! bo jakie to życie? w samotności, w kłopotach, w pracy chłopskiej i... prawdę powiedziawszy, tylko w chłopskim towarzystwie, bo innego tu niema... nie, niema... kropli rozrywki i zabawy niema. Co to dziwnego, że tamci szukają lepszego życia? Starą jestem i chorą, a jeszcze, zdaje się, że szukałabym sama, gdybym tylko mogła. Stefek zaś nie chce...

Rozlamentowała się na dobre i trwało to przez kilka minut, po których jednak inne wcale myśli i uczucia strzeliły jej do głowy i do serca.

— Chociaż z drugiej strony, wiesz Romku, jakie to szczęście dla matki mieć przy sobie syna dorosłego, patrzeć na jego pracę, rozum, szlachetność... Ach, ach, ach! Biedna Domuntowa! Ileż to razy zalewa się ona rzewnymi łzami, mówiąc, że jest wdową po swoich synach! Sama to nieraz widziałam i słyszałam. Trzy córki ma wprawdzie, ale cóż z tego? Więdną, starzeją się, o zamążpójściu nawet myśleć nie mogą... bo za kogoż? chyba, jak Romuald mówi, za kogutów? Matce żal patrzeć na nie... Ze starą Drzewiecką to samo...

Albo i siostra Rosnowskich, wdowa, Zawróć od braci w dzierzawie trzyma i coraz to popłakuje. A ja wtedy tryumfuję... Mój przy mnie, ja szczęśliwa matka i moja Bronia hoduje się w domu, dzięki Bogu, nie opuszczam...

Teraz znowu uradowanie od niej biło, jak blady blask od słońca jesiennego. Po minucie milczenia jednak westchnęła.

— Ach, ach, ach! ale jemu źle jest żyć, Stefkowi źle... choć nie mówi tego nigdy, ale czyż może być inaczej? Szukać jednak dobrego życia nie chce... nie chce...

Umilkła nareszcie; ręce z klockami beczynnie złożyła na poduszce, szpilkami najezonej, zamyśliła się, z wyrazem zadziwienia na twarzy. Roman, z głową pochyloną, wpatrzony w deski podłogi, milczał także. Rozmowę, która zrazu nudziła go i trochę niecierpliwiła, prowadził potem z coraz większym zajęciem. Ludzie, których nazwiska obijały się mu o uszy, byli mu dobrze znani, pamiętał ich wszystkich wybornie. Tego Kazia Domunta, którego spotkała jakaś historia okropna, niegdyś bardzo lubił; ten Rosnowski, który dostał bzika, starszy od niego, był mu zawsze bardzo sympatycznym, a parę razy, w czasie wakacji, przyjacielsko i skutecznie dopomagał mu w uczeniu się łaciny. I ci, i tamci, i owi, należeli do tego samego kółka rezonerów, Donkiszotów, małych obrońców niewinności, w którym on i Stefan rej wodzili. Sympatyczne ich twarze przesunęły mu się teraz przed wyobraźnią wieńcem widm rozwiewnych. Ale były to widma braterskie, budzące żal. Gdzież teraz oni wszyscy i gdzie wszystko, co ich było? Donkiszoci i donkiszotyzm, bracia i braterstwo — bańka mydlana! Gdzie podziały się jej tęcze? Pyłki samotne, błędzące po przestrzeniach niezmiernych; liście, lecące z wiatrami. Wszystko razem: jakieś unicestwienie wielkie, jakaś klęska, podobna do trąby powietrznej, rozbiłającej w perzynę wszystko, co znajduje się na jej drodze. Żyją dobrze. Tak, tak. Alboż nie widział Marcelego Domunta? alboż sam nie żył dobrze? Śmiać mu się chciało. Miał ochotę wyskoczyć przez okno i pójść drogą, wijącą się po polach, gdzie oczy poniosą, aby w ciszy pól, bez przeszkody myśleć, myśleć, myśleć o czemś niesłychanie zawikłanem, bardzo ważnem, bardzo smutnem.

Ale stryjenka wymówiła kilka słów, które go z zamyślenia obudziły.

— Czy Irusia wyjdzie za Bohdana Rosnowskiego, czy nie wyjdzie? Jak myślisz, Romku!

Zkądże on mógłby wiedzieć o tem cokolwiek. Kuzynka Irena jest mu już teraz prawie zupełnie obcą i nieznaną. Ale czy to rzecz pewna, że Bohdan stara się o jej rękę? O, najpewniejsza! Zanim przyjechał, już siostra jego mówiła, że przyjedzie po żonę. Po żonę, to jedna przyczyna, a druga — ażeby tu febrę zgubić. Bo w jakiejś błotnistej części puszczy, której jest dozorcą głównym, na febrę zachorował. Lekarze doradzili mu zmianę klimatu na czas pewien. Dlatego wziął urlop i na parę miesięcy do Zawrocia przyjechał. Zaraz po przyjeździe, Kazia Domunta zobaczywszy, powiedział mu: „przyjechałem dlatego, aby febrę tu zostawić i żonę ztąd zabrać”. Kiedy Kazio w Darnówce słowa te powtarzał, Irena zaśmiała się i powiedziała: „Pan Rosnowski zna się na handlu. Chce stronom naszym dać febrę, a wziąć wzamian żywą duszę!” Niewiadomo, co ona przez to chciała powiedzieć, ale on spotkał się z nią u Domuntów i od tego czasu wiele razy już był w Darnówce. Naturalnie, że przyjeżdża dla niej, wszyscy to widzą...

— A ona? — zapytał Roman.

— Ona! grzeczną jest dla Rosnowskiego tak, jak dla każdego... ale co czuje i myśli, o tem nikt nie wie, bo do zwierzeń skłonną nie jest. Może i pójdzie za niego... ach, ach, ach, pewno pójdzie. Dlaczegożby pójść nie miała? Rosnowski jest przystojny, miły, przytem świetna partja... Gdyby za niego poszła, byłaby pewno szczęśliwą i żyłaby dobrze. Ale może i nie pójdzie, tak samo, jak nie chciała jechać z baronową. Romuald i Stefan nie wpływali na nią wcale, nie namawiali do niczego, ja trochę doradzałam, trochę odradzałam, bo i sama nie wiedziałam doprawdy, jak lepiej... okropnie trudno mnie byłoby z nią się rozstać... Ale kiedy już tak postanowiła, Romuald tak ją całował w rękę, aż mu się łysina zaczerwieniła, a ja rozplakałam się z radości, że ona od nas nie odjedzie...

Baronowa była obrażoną i powiedziała do mnie: „wiesz co, *chérie*, ta wasza Irena to geś, która nie rozumie, co to jest dobre życie!” Może to trochę i prawda, ale też i nieprawda, bo Irusia wcale, wcale głupią nie jest.. Ta baronowa to bardzo miła kobieta... a jak żyje! Ach, ach, ach, takie życie jak jej, to prawdziwe tysiąc nocy i jedna. Starsza odemnie,

a jak jeszcze ładnie wygląda! jak stroi się i bawi! Jeszcze nawet kochają się w niej ludzie. Ach, ach, ach! szczęśliwa! Jakże różne są losy ludzkie na ziemi! Ale z drugiej strony nie chciałabym być na jej miejscu. Podobno męża nie lubi i dzieci ma niedobre. Powiedziała raz, że najwięcej na świecie kocha jakąś papugę...

— Która już nie żyje — wtrącił, śmiejąc się Roman.

— Nie żyje! kakadu baronowej nie żyje! Ach, ach, ach, nieszczęśliwa kobieta! bardzo nieszczęśliwa! Nie chciałabym być na jej miejscu. Chociaż z innej znowu strony takie życie, jak jej, takie apartamenty, zabawy, przyjemności różnego rodzaju, to raj ziemski! to ach, ach, ach, coś tak ponętne, czarodziejskie, że ztąd, z tego kąta zapadłego, wygląda, jak bajka. Jednak Darnówka, pomimo, że jest kątem zapadłym, posiada wiele uroku. Nieprawdaż? Jakie tu są drzewa stare...

Długo jeszcze mówiła, Roman patrzył w otwarte okno. Za niskim płotkiem, rozdzielającym dziedziniec od ogrodu, za drzewami, rozproszonymi po trawniku, daleko, kilka kobiet wiejskich coś pełło, czy zbierało, bo chustki ich czerwone i żółte świeciły nisko nad ziemią, jak piwonje i słoneczniki. Pomędzy temi formami przysadzistemi i jaskrawemi ukazał się ktoś wysmukły, w ubraniu jasnym, przez blask słońca pobielonem. Ta jasna postać przesunęła się kilka razy pośród robotnic, zniknęła za krzewami, po chwili, bliżej już ukazała się znowu i wnet drzwiami, wychodzącemi na ogród, weszła do oficynki. Nad tą budową, niedużą i pobieloną, wznosiła się z komina wstęga dymu, na ciemnym tle lipy blado-żłota.

Roman wstał.

— Pójdę przypomnieć sobie różne kąty Darnówki.

— Idź, mój Romku, idź! po wielkim świecie, ach, ach, ach, nasza Darnówka wyda ci się bardzo maleńką... chociaż z innej strony, to kącik miły... ach, ach, ach, jaki miły i kochany!

Jak to pocziwy stryj ma zwyczaj mówić o tem? „Za kogóżby wyszła? chyba za koga!” Naturalnie; teraz Roman rozumie, co te słowa znaczą. Jednak, znalazł się przeciw konkurent... Wprawdzie „Australczyk”. No, skoro jednak innych niema!

Po świeżo skoszonej trawie dziedzińca, w której wędnące girlandy powojów wydawały woń migdałową, szedł szybko, ale ze spuszczoną głową i zsuniętymi brwiami. Niebo stało całe w błękicie i złocie, powoje pachniały, w szmerzących liściach drzew ptaki szczebiotały, jednak dla niego, w błękicie, złocie, woniach i szmerach pogody najpiękniejszej było w tej chwili coś, co kark zginało i czoło marszczyło. Temi samemi drzwiami, co Irena, wszedł do oficyny.

Oryginalnie wyglądała w dwu blaskach, które padały na nią od ognia, płonącego w wielkim piecu i z okna, przysłoniętego z zewnątrz zielonością, napojoną złotem słonecznym. W tej dużej izbie kuchennej, albo czeladnej, znajdowała się spora garść ludzi. Parę kobiet krzątało się około ognia, parę innych, z dziećmi na rękach stało u okna; w głębi kilku mężczyzn jadło przy długim stole. Roman usłyszał w progu słowa, wymówione tonem trochę żartobliwym, trochę upominającym:

— Jeżeli tego same nie zrobicie, jutro rano ja i Bronia przyjdziemy z miotłami i oczywiście wymiemy wam mieszkania! Mam nadzieję, że będziecie się wstydziły.

Stosowało się to widocznie do kobiet, stojących z dziećmi u okien, bo parobcy, jedzący przy stole, spoglądali na nie z uśmiechem, młodzi nawet z głośnym śmiechem. Romanowi także śmiać się chciało, ale z czego innego. Irena odwróciła się zaraz i, zobaczywszy go, uprzejmie zapytała:

— Czy potrzebujesz czego, kuzynie?

— Chciałem prosić cię, kuzynko, o trochę dzienników, których, jak mi stryj mówił, jesteś strażniczką i rozdawczynią.

— Są one w pokoju moim i Broni. Pójdę tam zaraz.

— Pójdziemy razem.

— I owszem.

Zaraz za drzwiami izby gorącej i ludnej, Roman zapytał z uśmiechem:

— Pochwyliłem cię, kuzynko, na gorącym uczynku obietnicy czy groźby, niepodobnej do spełnienia.

Spojrzała na niego trochę zdziwiona, ale zaraz domyśliła się, o czym mówił.

— Stosuje się to zapewne do miotły i zamiatania. Dlaczegoż myślisz, kuzynie, że tej obietnicy czy groźby spełnićbym nie mogła?

— Alboż umiesz zamiatać?

Zaśmiała się.

— Czy masz mię za taką niedołągę, abym takiej bagateli robić nie umiała.

— Sama pewno nie możesz o tem wiedzieć.

Szare oczy jej aż iskrzyły się od uśmiechu, w którym Romanowi się wydało, że obok wesołości była ironja.

— Przeciwnie, wiem bardzo dobrze, bo czynię to codziennie...

— Po co? dlaczego?

Przestała uśmiechać się i ze zwykłym już spokojem odpowiedziała:

— Służby mamy bardzo niewiele... ci w kuchni, a w domu dziewczynka niedorośła i chłopak, którzy zarazem są moimi uczniami. Sami służymy sobie.

Uczuł prawie politowanie.

— Czyżże to jest kaprys? — smutnie zapytał.

Ten smutny ton rozśmieszył ją znowu.

— To system, kuzynie — odpowiedziała.

— Jaki?

— Gospodarski.

Myślał chwilę, a potem, patrząc na nią, zapytał:

— Tylko?

Ona spojrzeniem spokojnym i błyszczącym wytrzymała jego spojrzenie i odpowiedziała:

— Nietylko.

Chciał skierować się ku głównemu gankowi domu, ale ona wskazała mu drzwi boczne.

— Pójdziemy drogą krótszą, przez pokój wuja.

— Mnie do dzienników nie jest tak pilno — zażartował.

— Ale Bronia siedzi nad książką i na mnie czeka — odpowiedziała.

Przez drzwi, wychodzące na ogród, weszli do pokoju, za którego oknem rosły duże krzaki akacji. Pokój zaś miał kształt szuflady, było w nim łóżko, biurko stare, kilka jeszcze sprzętów starych i najstarszy ze wszystkich fotel głęboki, jeden z tych, które niegdyś nosiły nazwę wolterowskich.

— To pokój wuja. Tu czytuję mu głośno, w zimie więcej, w lecie mniej, ile można i jak się zdarzy... Wuj siaduje na tym fotelu, ja na tym taborecie, tu pali się lampa i — czytamy...

— Plutarcha? — podchwycił Roman.

— Różne rzeczy... czasem dzienniki i powieści, czasem Plutarcha, albo Biblię...

Ożywiła się i kiedy gestami żywymi, choć zawsze spokojnymi wskazywała przedmioty wymieniane, oczy Romana były do niej przykute. Teraz dopiero spostrzegł, że ma w warkoczach lewkonję, której błada różowość odbijała wdzięcznie od krucznej czarność jej włosów.

— Pokój wujenki jest znacznie większym od tego... a nasz, mój i Bronki, tu, obok wuja, abym mu była zawsze pod ręką.

Otworzyła drzwi staroświeckie, niskie, o jednych tylko odrzwiach wapnem wybielonych. W pokoju, do którego weszli, ściany były także pobielone, białe firanki przystrajały okna, u ścian stały dwa łóżka biało zasłane. Przy stole, stojącym po środku pokoju, Bronia siedziała nad książką. Powitała wchodzących skinieniem głowy i znowu zanurzyła się w czytaniu. Irena otworzyła szafkę oszkloną, Roman podszedł do dziewczynki i pochylając się nad nią, zapytał:

— Czy to jeografję Bronia studjuje?

Podniosła ku niemu spojrzenie roztargnione.

— Dlaczego to ma być koniecznie jeografja?

— Bo w tej nauce zaszłaś już daleko, aż do piątej części świata...

— Bardzo trafnie Romek zgaduje. Właśnie teraz uczę się o Australji...

— Ztąd to właśnie przyszło jej do głowy przewisko, które, kuzynie, dała ci wczoraj.

— Za które Romka bardzo przepraszam — tonem skruchy i oczu nie podnosząc z nad książki, szepnęła dziewczynka.

— Cóż znowu? z kądże się wzięły te przeprosiny?

— Wszyscy kazali mi Romka przeprosić. No, już przeprosiłam, a teraz niech sobie Romek ztąd idzie i nie przeszkadza...

Roman zwrócił się do Ireny.

— Czy i ty, kuzynko, powiesz mi to samo?

— Bardzo grzecznie przeproszę, ale powiem... bo teraz nie mamy czasu...

— Na próżne gawędy z włóczęgami...

— Tak.

Podawała mu paczkę gazet, które on wziął z ukłonem dziękczynnym; ale przez pół minuty jeszcze nie odchodził. Oboje stali, nagle zmieszani, z tajonemi wspomnieniami wspólnej wiosny życia. Umilkli, spoważniali, ale oczy ich przez tę połowę minuty nie rozłączały się z sobą i śmiały się do siebie.

Kiedy nakoniec Roman odszedł, Irena stanęła u okna, plecami zwrócona do pokoju i stała tak długo, że Bronia, kilka razy wzrok na nią podniósłszy, zawołała:

— Iruś! zróbmy już lekcję, bo do obiadu trzymać mię tu będziesz i nie będę miała czasu pójść do gołębi...

Irena odwróciła się, a dziewczynka, popatrzwszy na nią swemi żywymi, roztroptymi oczyma, zawołała:

— Iruś! czego ty taka smutna?

Była istotnie tak smutną, jaką Bronia nigdy jeszcze jej nie widziała.

Na parę godzin przed wieczorem Roman wszedł do pokoju Stefana. Miał zamiar wziąć ztamąd książkę, ale to, co w tym pokoju zobaczył, tak go zajęło, że pozostał w nim dłużej, niż zamierzał. Były tam jednak tylko rzeczy bardzo proste: żelazne łóżko ze szczupłą pościelą, dwa stoły, obciążone papierami, spora szafa oszklona z szeregami książek, na ścianach para map dużych, kilka litografowanych kopij obrazów sławnych i krzyż duży z czarnego drzewa. Jeszcze kilka krzeseł obitych kraciastym kilimkiem, więź kwiatów polnych w dzbanku glinianym, ściany pobielone, sufit z grubemi belkami, dwa okna nieduże otwarte na widok dość rozległy — nic więcej. Rzeczy niezmiernie proste, ale Roman uczuł odrazu, że ta prostota posiada dno, na którym spoczywa jej pochodzenie i znaczenie. Bo środki majątkowe pozwalałyby młodemu Darnowskiemu na wcale inne urządzenie mieszkania. Nie mogło tu być przepychu, mógł być komfort. Roman, oglądając się po pokoju, myślał. Zwarjował na kamedulstwie! Mieszka jak mnich, z wyjątkiem książek i papierów zabazgranych. Więc jeżeli nie kameduła, to benedyktyń.

Zajmował go szczególnie krzyż tak duży i w taki sposób umieszczony, że zdawał się panować nad tym pokojem, stanowić jego godło. Kilka razy powracał do niego wzrokiem, aż spojrzął na papiery, okrywające jeden ze stołów. Mnóstwo kartek okrytych pismem tak wyraźnym, że odrazu rzuciły się w oczy imiona własne wsi, miasteczek, okolic, może rodów. Obok tego bez ładu porozrzucane i w części pootwierane książki, broszury, zeszyty z notatkami. Książki gospodarskie i rachunkowe znajdowały się na drugim stole, bliżej okna, przy którym stanąwszy, Roman patrzył długo na krajobraz niezbyt wspaniały, ani osobliwy, ale pełen szczegółów, składających całość ponętą. Za ogrodem darnowskim łąka ta sama, którą widział wczoraj, ciągnąca się pasem długim pomiędzy borem i polem, ubrana w rozrzucone zrzadka drzewa i krzewy. Przepływała ją rzeczka wązka, co chwilę chowająca się w olchy lub leszczyny i co chwilę znowu z za nich wyblyskująca cieniutką nicią srebrną. Na ciemnym tle boru najrozmaitszemi odcieniami zieloności odrzynały się drzewa liściaste. Na polu bieląca w oddali płachta gryki kwitnącej zielonością majową, świecił łanek niezbranego jeszcze końskiego zębu, tu i owdzie na żółtych próżniach wzbijały się krótkie dymy z małych ognisk pastuszków. Nad całym tym obrazem panował punkt z wielką gromadą drzew wysokości rozmaitej i wdzięcznie wychylającym się z niej pałacykiem, w blasku słońca olśniewającym białym. Było to niebardzo blisko, ale też niezbyt daleko. W powietrzu, mającym już trochę kryształowej przezroczystości pierwszych dni jesiennych, wzrok dobry mógł dostrzegać wyraźnie zarysy pięknego budynku i dwie baszty nieduże, u góry go przyozdabiające. Wyglądało to zdala wdzięcznie i wytwornie. Białość pociągała wzrok; patrząc na krajobraz, trzeba było powracać ciągle wzrokiem do pałacyku, który stanowił jego punkt ogniskowy i wydawał się czasem jego strażnicą, a czasem ukoronowaniem. Roman nie mógł przypomnieć sobie, do kogo miejsce to należało i kto w nim mieszkał.

Sam nie wiedząc kiedy, usiadł na krześle, stojącym u okna i, spoglądając na pokój Stefana, to na krajobraz za oknem, wpadł w zamyślenie długie i kamienne.

Irena jest ładną, ale więcej jeszcze miłą i przedewszystkiem ma dla niego urok takiej świeżości kobiecej, jakiej oddawna już nie spotykał. Tej twarzy nie dotknął nigdy ani pyłek bielidła i różu, tem ciałem nie wstrząsała nigdy burza zmysłów. Czysta, świeża, pomimo spokoju ruchów i rysów swobodna w obejściu się, nawet wesoła. Wprawdzie wesołą widział ją tylko zrana, kiedy szła z nim przez dziedziniec, a potem pokazywała mu pokój wuja. Przy obiedzie była już milczącą i zamyśloną, a wnet po nim zniknęła pod jakimś pretekstem, nie chcąc towarzyszyć jemu i Broni do gołębnika, w którym dziewczynka hodowała swoje ulubione ptaki. Naturalnie, musi bywać często smutną. Nigdy w to nie uwierzy, aby mogła czuć się zadowoloną z położenia swego i nie lękać się przyszłości, która ją oczekuje. Wprawdzie mogła być z łatwością odmienić tę przyszłość. Chciał bardzo zapytać ją o przyczyny, dla których odrzuciła propozycję baronowej, ale nie śmiał. Rzecz dziwna, ale wobec tej skromnej dziewczyny czuł się daleko mniej śmiałym, niż wobec kobiet, zajmujących w świecie pozycje wysokie. Bo takie istoty nie wiedzieć z jakiej strony zaczepiać, aby ich nie zranić, nie obrazić, nie zrazić. Ogromnie lękałby się zrazić ją do siebie, chociaż i bez tego czuje, że jest pomiędzy nimi rozdział wielki, a niema żadnej wspólności. Jak to? a przeszłość? Długie dni i tygodnie przed laty wspólnie spędzone? Wspólne czytania, rozmowy, uniesienia, marzenia? Ciekawość, czy ona to wszystko pamięta choć trochę? Bo co do niego, rozumie doskonale, że mógł kochać się w niej bez pamięci. Teraz jeszcze to wspomnienie czyni mu ją bliską. Patrząc na nią, doświadcza uczucia odnajdowania czegoś, co kiedyś było mu drogiem, a potem gdzieś przepadło. Gdy raz zacznie myśleć o niej, nie może przestać. Dziś przez krótką chwileczkę, kiedy brał z ręki jej dzienniki, zdawało mu się, że była wzruszoną. Ale musiało to być złudzenie. Byłby zarozumiałcem, albo głupcem naiwnym, gdyby od niej i od Stefana spodziewał się czegoś innego, oprócz zdawkowej uprzejmości, do której obowiązuje gościnność. Jednak szkoda! Jednak wolałby wywieźć w świat daleki wspomnienie ich przyjaźni, niż obojętności. W ten sam świat daleki, po którym rozsypali się, jak garść piasku, dawni jego towarzysze i przyjaciele. Dobrze, że choć z dwoma z nich spotka się tutaj! Co tak straszego spotkać mogło tego Kazia Domunta, który był takim ładnym, żywym, miłym chłopcem? Bohdan Rosnowski, starszy od niego, wyprzedził go też na drodze życia. Ale obaj idą jedną drogą, więc może zbliżą się i zaprzyjaźnią z sobą choć na ten czas krótki. Nie wiedzieć dlaczego czuwa potrzebę zbliżenia się z kimś rzetelnego, takiego, które napełnia duszę ciepłem i otwiera ją zaufaniem. Chce wywieźć ztąd, koniecznie ztąd, iskrę ciepłą, którąby miał schowaną w głębi serca tak, jak się czasem chowa w głębi skrzyni sztukę złota — na czarną godzinę. Po co mu to było, skoro prawdopodobnie nigdy już nie wróci, albo wróci na chwilę po długich latach... Brak konsekwencji i logiki! Wieczna zagadka duszy ludzkiej, napełnionej sprzecznościami losu ludzkiego, który, dając jedno, musi koniecznie odbierać drugie...

Wstał z krzesła i parę razy przebiegł pokój. Coś go niepokoiło. Stał u okna, spojrzenie jego padło znowu na piękny pałacyk, jaśniejący w oddaleniu wielką białością z pomiędzy drzew ciemnych.

— Śliczne to być musi miejsce! Temu, kto tam mieszka — dobrze! Ma gniazdo własne, kanwę życia gotową. Może nie wyrzekać się niczego, nie rozstawać się z niczem, nie żałować niczego i — żyć dobrze!

Od łąki niedalekiej, od dalszego boru, od szmaty pola za łąką i skłonu nieba, zasnutego fioletową mgłą oddalenia wiała niezmierna świeżość i głęboka cisza zieleni, błękitu, wody srebrnej, ściernisk błado-żółtych. Nie przerywał tej ciszy, owszem, zlewał się z nią i dodawał jej głębi turkot młockarni monotony, głuchy, toczący się w dość znacznej odległości. Odpowiadało mu z wnętrza domu warczenie inne, daleko słabsze. To ktoś w dalszych pokojach domu szył na maszynie. Raz dała się słyszeć kędyś na dziedzińcu krótka rozmowa dwu głosów męzkich, która wnet ustała; raz także głos kobiecy świeży i czysty z otwartego okna zawołał:

— Broniu! Broniu! Broniu!

Roman podniósł głowę i pomyślał:

— Miły, śliczny głos!

Zresztą, cisza panowała we dworze darnowskim i dokoła niego. Zwierzęta z pastwisk, ludzie od prac rolnych jeszcze nie wracali. Od więzi roślin, stojącej na stole w dzbanku, rozchodziła się woń leśna, przypominająca mchy wilgotne i sosny. Garść wrzosu przemałała w niej liljowością delikatną, z pośród której złota różga, niby palma mistyczna wznosiła wysoko kiść jaskrawo-żółtą. Paproć zielona, wypadając z bukietu, opuszczała się na zapisane papiery; po koronkowych jej tkankach promyk słońca biegał złotym esikiem. Kilka takich esików i kólek błyszczowało na białych ścianach i migotało, w miarę poruszania się z wiatrem liści wielkiego wiązu, rosnącego za oknem.

Roman zwolna opuścił się na krzesło i z głową w tył odrzuconą, z rękoma nad nią splecionymi długo pozostał. Uczuł prostą, fizyczną błogość, idącą od rzeczy prostych i czystych. Z błękitu, z zieleni, z mgły, zasuwającej daleki kraniec nieba, z milczenia pól, z turkotu maszyn, z łagodnego szmeru liści za oknem i swawolnego migotania światełek na ścianie, spływała w niego słodycz ukojenia i cisza spoczynku... Z temi uczuciami przyglądał się znowu pokojowi Stefana ciekawie i uważnie. Ślicznym jest ten pokój w porze błękitów, zieleni, wrzosów liljowych i tańczących po ścianie esików złotych! Ale jak to wygląda w porach roku innych: twardych, surowych, długich? Tu doświadczył widzenia bardzo wyraźnego.

Wieczór jesienny, albo zimowy, mniejsza o to! lecz z czarną ciemnością za oknem, a w pokoju ze światłem lampy, które nie może rozproszyć mroku we wszystkich jego kątach. Ciemność okrywa krajobraz, obłany deszczem czy okryty śniegiem i wydaje się otchłanią, w której uwięziona melancholja szumi, jęczy i wzdycha głosami wiatrów. Światło lampy skupia się nad stołem, przy którym na tle rembrandtowskim, to jest na płachcie światła, otoczonej ciemnością, uwypukła się głowa młodzieńca, pochylonego nad papierem, którego powierzchnię ręka jego okrywa pismem szybkim i bujnym. Dokoła ręki piszącej leżą mapy, książki, broszury. Nie jest ona białą, ani delikatną; owszem dość na nią spojrzeć, aby przypomnieć sobie skwary i roboty letnie; niemniej przecież pisze. Jest to ręka, która od młodu przędła promień z gwiazdy wiedzy i teraz przędzie go w dalszym ciągu. Ciemność za oknem szumi i wzdycha, w domu cicho, tylko ktoś na dole czyta głośno. Jakiś głos kobiecy czysty i świeży głośno czyta. Zresztą nic. Młody benedyktyn z twarzą wypukłą na płachcie światła otoczonej zmrokiem, jak ton na akordzie z tonami innemi, zlewa się z ciszą, samotnością, z zimą i nocą. Świat ze swoim hałasem, z gorączką, z wirem, blaskiem i jego upojeniami tak ztąd daleko, że można mniemać, iż ciemność, wisząca za oknem, jest przestrzenią międzyplanetarną, która rozdziela dwa różne globy. On wyrzekł się tamtego. Mógłby znajdować się w jego blasku, wirze, gorączce i upojeniach, ale nie chce. Dla czego nie chce? Co przykuło go do ciszy, samotności, zimy i nocy? W kącie pokoju świeci iskra stalowa, którą światło lampy krzesze w żelazku kosy, opartej o ścianę. W innym miejscu, na ścianie, występują z mroku linie wielkiego krzyża, surowe i czarne.

Roman przetarł dłonią czoło i oczy. Powstawało w nim uczucie szacunku, zmieszanego z podziwieniem dla czegoś, czego jeszcze nie mógł wyrozumieć do dna.

Drzwi pokoju otworzyły się prędko i głośno. Przedtem jeszcze Roman mógł być usłyszeć szybkie stąpania po wschodach, ale był tak zamysłonym, że nie usłyszał. Teraz zobaczył we drzwiach człowieka wysokiego i bardzo szczupłego, który na pierwszy rzut oka wydał się mu nieznanym. Z ręką na kłamce, w postawie wahającej się, przybyły stał chwilę patrząc, poznając i niepoznając, aż na twarz uderzająco białą wytrysnął uśmiech z którym zawołał.

— Romek!

Potem dodał ciszej.

— Jeżeli się nie mylę!

Roman powoli wstawał z krzesła, ale potem rzucił się ku wchodzącemu z okrzykiem.

— Kazio Domunt!

IV

Wzajemne oświadczenia radości, zapytania i odpowiedzi zrazu ogólnikowe, bo długie rozłączenie uczyniło ich prawie nieznanymi. Mówili dlatego, że trzeba było mówić, ale przypatrywali się sobie ciekawie, jakkolwiek nieznacznie.

Kazimierz Domunt, odkąd Roman go nie widział, zmienił się bardzo. Przedewszystkiem wycieniał, poprostu schudł, ale to tak bardzo, że surdut czarny i mocno znoszony sprawiał na nim wrażenie odzieży, wiszącej na kołku. Oprócz tego było w nim coś, co dawało się określać przez jedno tylko słowo: spłowił. Białosc jego twarzy i rąk chudych sprawiała wrażenie delikatności nienormalnej i niezdrowej. Bardzo jasne włosy opadały na czoło, wstrząsane niekiedy w okolicach skroni krótkim drganiem nerwowym; wogóle zdawać się mogło, że pod opłatkiem skóry, twarz okrywającej, znajduje się sieć jakaś strun naprzężonych i nadczułych. Jednak, w uśmiechu szczerym, w błyskach oczu błękitnych, w żywości ruchów i silnem uściśnieniu dłoni ukazywał się dawny Kazio, chłopak wesoly i kolega dobry, trochę lekkoduch, trochę marzyciel, w gruncie zapalka, mogąca wybuchnąć płomieniem w zetknięciu ze słońcem, zarówno jak z łojową świeczką. Mówił prędko, mówiąc często pocierał czoło dłonią, ruchy i gesty miał wytworne, świadczące o długiem przebywaniu w towarzystwach wyborowych, ale chwilami nerwowe lub nieśmiałe. Postawił sobie krzesło u okna, tuż naprzeciw Romana, chude dłonie oparł na kolanach.

— Więc tak... więc tak... wyjeżdżasz dla zajęcia posady. Cóż? każdy probuje... każdy do czegoś dąży, naturalnie! Daleko?

— Trzy doby jazdy...

— Trzy doby jazdy, kolejami żelaznymi... można zjechać na koniec świata. Podróż ciekawa, miejsce interesujące, posada piękna, winszuję, winszuję... O dobrych życzeniach moich wątpić nie możesz, starzyśmy druhowie. Jednak szkoda, może...

Urwał trochę zmieszany, ale Roman podchwycił.

— Czego szkoda?

— Nic, nic, tak mi się to wymknęło. Naturalnie, teraz, gdyśmy się odnaleźli, wołałbym już z oczu cię nie tracić... abys znajdował się bliżej naszego kółka, kółeczka małego...

Roman ożywił się nagle, zaczął mówić dużo i prędko. Przedstawiał dawnemu koledze zupełną niemożność pozostania gdziekolwiek w pobliżu Darnówki. Sam tego żałuje mocno, ale człowiek nie powinien poddawać losu swego swoim uczuciom. Uczucia swoją drogą, a konieczność swoją. Grunt materialny pod stopami człowieka, to rzecz kardynalna; dopiero, gdy się go już posiada, można sobie haftować życie w różne wzory, choćby i fantastyczne. Cywilizacja, wzrastając, mnoży potrzeby ludzkie w nieskończoność, tak, że nie jest wcale łatwem uczynić im zadość. Mnożąc potrzeby, cywilizacja różniczkuje też upodobania i zadania, a to czyni niemożliwem kreślenie prawideł dla wszystkich. Co dla jednego jest dostatkem, dla drugiego może być nędzą i na odwrót. Jeden także czyni to, drugi tamto; jednemu dobrze na tem miejscu przestrzeni i hierarchji społecznej, drugiemu na innem. Nie należy zresztą sztucznie tamować potoków, które wylewają wody z brzegów ciasnych. Skoro dla tych wód łożysko potoku nie jest dość obszernem, muszą one spłynąć na okoliczne pola, a gdziekolwiek spłyną, przyczynią się do użyznienia kawałka jakiegoś gruntu, bo jak w naturze nie przepada marnie żaden atom materji, tak żadna siła ludzka, w jakimkolwiek kierunku działając...

Tu, niewiadomo dlaczego w połowie zdania urwał, niewiadomo dlaczego uczynił gest lekceważący i niewiadomo dlaczego wzrok wlepił w ziemię z zamyśleniem nagłem i prawie kamiennem. Domunt słuchał jego długiej mowy bardzo ciekawie i uważnie, parę razy żywo poruszył się na krześle, ale nie powiedział nic, tylko ze spuszczoną twarzą, ruchem nerwowym pokręcał końce jasnego wąsika. Kiedy Roman umilkł, po chwilowem jeszcze milczeniu ozwał się trochę nieśmiało.

— Co się tyczy możności, to pewno znalazłaby się jakakolwiek, ale że niezbyt świetna, ani wesola, to prawda! Takie zapadłe kąty potrzebują gwałtownie ludzi oświeconych.

— A cóżby tam w kątach takich robić mogli! — podnosząc głowę zaprotestował Roman.

Domunt z niejaką żywością odpowiedział.

— Ja ci tego tłómaczyć nie będę, bo najprzód sam jeszcze nie jestem bardzo biegły w znajomości zapadłych kątów, następnie...

Uśmiechnął się i trochę zawahał.

— Następnie, byłaby to fatyga nadaremna! Ty najpewniej w żadnej norze zamieszkać nie chcesz... chybaby cię do niej, tak jak mnie, zapędziły porządne ciągi!

Roman tak był zajęty swojemi myślami, że nie odpowiedział bezpośrednio, ale znowu zaczął mówić z coraz wzrastającą gorączką w ruchach i głosie. Mówił wiele o ciasnocie stosunków i ciemnocie umysłowej, które panują w kątach zapadłych i o tem, że człowiek oświecony żadnym sposobem pogodzić się z niemi nie może, a jeżeli się pogodzi, traci swoją wartość właściwą, której nic innego nie stanowi, tylko oświata. Człowiek, wtrącony w sferę życia, niższą od tej, w której może oddychać pełną piersią, kurczy się, znieczula, przestaje dopisywać swoją cyfrę do sumy ogólnych postępów ludzkości, ulega zanikowi stopniowemu, lecz nieuniknionemu. Nie jest to bynajmniej pożądanem z przyczyn ogólnoludzkich i społecznych. Ale są też względy indywidualne. Jednostka posiada swoje prawa. Jednym z tych praw, będących poniekąd obowiązkiem, jest zdobywanie dla siebie szczęścia na drogach wszelkich, byle godziwych. Człowiek nie może i nawet nie powinien być wrogiem samego siebie. Jeżeli u końca jednej ścieżki spostrzega jamę ciemną, a u końca drugiej wzgórze, okryte kwiatami, pójdzie drugą i uczyni słusznie, bo posiada prawo wyboru niezaprzeczone. Uczyni nawet dobrze, bo cyferka jego zdobyczy i zadowolnień pomnoży sumę powszechnego bogactwa i szczęścia. Może świat dzisiejszy zawiele upędma się za bogactwem i dostarczaniem przez nie użyciem, najpewniej nawet zawiele, jednak również zaprzeczycie niepodobna, że zabiegi, w tym kierunku dokonywane, są jedną z bardzo potężnych dźwigni świata. Nie należy stawać się ślepym bałwochwałcą prądów wieku, ale też nikt nie może ani ich przemódz całkowicie, ani bezkarnie im pierśi nastawiać! One miażdżą to, co im jest przeciwne; a ktokolwiek nie jest z niemi, jest przeciwko nim.

Mówił tak ciągle i z takim uniesieniem, jak gdyby zażarcie bronił tezy przed oponentami również zażartymi. Tymczasem jedyny słuchacz nie zaprzeczał wcale, ani razu nie przerwał mu mowy, słuchał. Kiedy prawie zdyszany od prędkiego chodzenia Roman umilkł nakoniec, Domunt rzekł:

— Mój drogi, na wszystko coś powiedział odpowiadać nie będę. Poprostu, nie mam prawa doradzać ani odradzać, bo jedna próba życia nie powiodła mi się fatalnie, a drugą zaledwie rozpoczynam. Próbuje ty także, czyn, jak ci wskazują twoje potrzeby i teorie. Zdaje mi się, że w tym wypadku potrzeby są matkami teorii, ale to do mnie nie należy. Prawa sądu nie mogę mieć nad nikim... ja, którym był sądzony...

Uśmiechnął się w sposób szczególny, krzywo, tak jakby z trudnością przelikał coś gorzkiego; pod opłatkami skóry struny nerwów poruszały się i drgały.

— Jedno tylko ci powiem... zdaje mi się, że nawet powinienem powiedzieć...

Zerwał się z krzesła i pochyłony, obie dłonie oparł na ramionach dawnego przyjaciela.

— Zmiłuj się, Romku, nie popadaj zbyt w ten taniec, za który już żydów na puszczy opadały węże jadawite!

— Co to znaczy? — zapytał rozśmieszony trochę Roman.

Ale uśmiech zniknął mu z twarzy na widok zmiany, która zaszła w powierzchowności Domunta. Jakby weń prąd elektryczny uderzył, tak cały zatrzęsł się i zawrzał. Fala krwi okryła opłatkową białosć jego czoła i policzków, pod nią zadrgała sieć nerwów nadwrażliwych. Rysy wykrzywiły się przykrem uczuciem bólu, zmieszanego z szyderstwem.

— To znaczy, mój kochany, że ja w tej sarabandzie, którą teraz świat tańczy, przyjmował udział zapamiętały, zapamiętały. Cielec złoty na piedestale wysokim aż pod niebo, rozumiesz? Ach, jakże tańczyłem, skakałem, szalałem dokoła niego! Byłem sługą świątyni, rozumiesz? urzędnikiem i współnikiem przedsiębiorstwa finansowego wielkiego, ogromnego. Ubierałem oltarz, celebrowałem, grałem... rozumiesz? na takim instrumencie co to: *baisse, hausse! baisse, hausse!* Zdaje się, cóż może być lepszego? Najprostsza droga do miliona, a milion, to ta cyferka zadowolenia osobistego, którą się dopisuje do cyfry szczęścia powszechnego. Cha, cha, cha! Niech mię djabli wezmą, jeżeli myślałem o szczęściu powszechnem i jeżeli... przepraszam cię, Romku, jeżeli ty teraz o niem myślisz! Ale swoje trzymałem już w garści. Wtem, krach! krach! krach! Runęło! Djabli musieli pękać ze złości, że stłukło się z kretesem jedno z najpiękniejszych ich narzędzi. Co się wtedy stało dokoła mnie... co ze mną! nie wiesz? tem lepiej! Powiem ci tylko to, że na sumieniu mam sto pudów. Ty nie rozumiesz, co to jest mieć sto pudów na sumieniu i niech cię Bóg strzeże, abyś zrozumiał kiedykolwiek. Później może opowiem ci wszystko... Były rzeczy straszne...

Obu dłońmi ścisnął czoło, ale zaraz potem wyprostował się i mówił znowu:

— Uniewinniono mię, a jakże? uniewinniono, bo działań umyślnych, świadomości jasnej tego, com uczynił, nikt dowieść mi nie mógł. Niewinnym wstałem z ławy oskarżonych, niewinnym uznano mię tego morza nieszczęść ludzkich, z którego wylawiałem sobie miljon. Niewinny jestem, rehabilitowany przez prawo, wolny jak ptak, ale w gruncie, w gruncie, w samym sobie, w uznaniu własnym, wiesz, Romek? co tam rzeczy owijać w bawełnę!... łachmanem jestem, łachmanem starganym i poplamionym w tem miejscu, gdzie sumienie, i w tem, gdzie honor i w tem, gdzie wspomnienia... Gdyby nie Stefan, dawno byłoby już po mnie, jużbyśmy z tobą spotkali się chyba na dolinie Józefatowej. Ale Stefan złapał mię za rękę. I wiesz, co on mi powiedział wtedy, kiedy złapał mię za rękę? Dziwny, kochany chłopiec! Powiedział mi wtedy: „Zbrudziłeś duszę, więc ją wypierz; zawiniłeś przeciwko Bogu, ziemi, ludziom, więc odpokutuj, spłać dług, wynagrodź!” Zrozumiałem. Całe moje szczęście w tem, że zrozumiałem. Nie wiem jeszcze, jak będzie, ale chcę duszę wyprać, spłacić długi, wynagrodzić!... Stefanowi wdzięczny jestem bez granic... nietylko za to, że jeszcze żyję, ale za to, że będę żyć dobrze...

Roman, z niewysłowionem zajęciem i współczuciem słuchając tych zwierzeń urywanych i niezupełnych, myślał, że ta sprężystość charakteru, którą Domunt odznaczał się w latach młodzieńczych, istniała w nim i teraz. Przed chwilą wzburzony i zrozpaczony, uśmiechał się już dość swobodnie, a w oczach świeciła mu nadzieja i energia.

— Mam nadzieję — mówił — mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie. Na innej wcale drodze, ale do czegoś dojdę, do czegoś, co nie jest byleczem... Skoro żyć nie przestałem, to i uszu nie opuszczę. Wyżej, dalej! Wyżej, dalej! Nie na tamtej już drodze, na wcale innej, ale zawsze wyżej i dalej! Czy długo zabawisz w Darnówce?

Po chwilowym milczeniu, Roman odpowiedział wymijająco:

— Mam jeszcze prawie miesiąc czasu wolnego.

— A potem w świat!

— Tak; na koniec świata!

Wyjął z bukietu gałąź wrzosu i przypatrywał się jej w zamyśleniu. Domunt patrzył na niego chwilę uważnie i przyjaźnie. Potem żartobliwie zauważył.

— Tak przypatrujesz się tej gałązce, jakbyś na niej coś wyczytywał!

Roman podniósł głowę.

— Czy myślisz, że takie rzeczy nie mają mowy? Mają! Niema nic, na czemby nie było czegoś wypisanego. Tak dawno tu nie byłem, że przyglądam się wszystkiemu i — czytam!

— Chciałbym wiedzieć, co wyczytujesz...

Roman ruchem popędliwym rzucił na stół gałązkę liljową.

— Co wyczytuję? A to przede wszystkim, że człowiek jest istotą nielogiczną, niekonsekwentną, złożoną chyba z kilku istot różnych, mówiących głosami różnymi i czujących sercami różnymi...

Domunt zażartował.

— Proste przysłowie mówi w wypadkach takich: zjeść gorzko, a żal porzucić! Rzecz w tem, aby stanowczo coś wybrać, a czegoś się wyrzec. Raz, dwa, trzy! to mam i w garści trzymam, a płacę tamtem, czego się już wyrzekam...

— Właśnie też; takie wybory, wyrzekania się i płacenia jednym za drugie są djabelnie uciążliwe i drażniące. To cierpienie...

Domunt zaśmiał się.

— A ty chcesz życia bez cierpienia... cha, cha, cha! Mój drogi! Wleźże lepiej pod niebo po gwiazdy... Gdybyś miljon razy schodził z ziemi i na nią powracał, za każdym razem spotkałbyś się z takim murem, którego niemógłbyś przebić głową, ale nie o to idzie!

— O cóż idzie? — zapytał Roman.

Domunt nie miał czasu na odpowiedź. Na wschodach dały się słyszeć szybkie kroki, Stefan wbiegł do pokoju.

— Kazio! — zawołał — już powiedziano mi na dole, że czekasz tu na mnie! Dobry wieczór, Romanie. Jeszcześmy się z sobą dziś nie widzieli. Niegościnnie to z mojej strony, ale przebac, miałem zajęcia bardzo pilne.

Zwrócił się do Domunta.

— Wracając z łąki spotkałem ojca i byliśmy razem w Kaźmirówce.

— Ja tam byłem od wczesnego rana, a teraz przyszedłem, aby cię zapytać, co będzie z temi ceglami, bo jeżeli ich wkrótce nie dostaniemy...

— Jak to nie dostaniemy! — przerwał Stefan — to tylko mała zwłoka, ręczę ci, że pojutrze rozpoczniemy już mularkę.

— Czy zauważyłeś, jak postąpił dach na stodole? To mój tryumf!

— I mój także; bo sposób, w jaki kryjemy twoją stodołę, zdobył aprobatę ojca i innych gospodarzy najwytrawniejszych. Zato ogrodzenie ani jeszcze zaczynane.

— To rzecz podrzędna. Idzie mi teraz głównie o roboty mularskie.

— Lękasz się być w zimie bez pieców! — zażartował Stefan.

— Nie lękam się niczego, tylko chciałbym jak najprędzej zacząć. W Kaniówce nie wcale do czynienia nie mam, a robotnik bez zajęcia, to materiał na szubienicę. Warsztatu potrzebuję.

— Wkrótce mieć go będziesz. Co się tyczy inwentarza, zrobiłem już rachunek, może teraz przejrzymy go razem.

Przy jednym ze stołów, okrytych papierami, zaczęli przeglądać jakieś rachunki i, pograżyli się w tem zajęciu całkowicie. Łatwo było odgadnąć, że przedmiot, któremu się oddawali, był dla obu bardzo ważnym i zajmującym. Stefan, od samego przybycia ożywiony i swobodny, teraz poweselał jeszcze więcej. Domunt znowu wydawał się pełnym energii i ochoty do tego, co tylko jemu i Stefanowi było wiadomem. W obejściu się jego ze Stefanem, obok poufności przyjacielskiej, był odcień uszanowania. Roman przypatrywał się i słuchał, ale chwilami uwagę jego odciągało od rozmawiających przyjaciół coś, co od razu nazwał ptakiem błękitnym. Była to piosnka, dochodząca z dołu, nucona przez głos kobiety świeży i czysty. Któs, zapewne na ganku domu, nucił, on łowił uchem nutę piosnki i porównywał ją do ptaka błękitnego, który od kwiatów, rosnących na dole wzbijał się ku gałęziom wiązu, poruszającym się w górze, za otwartym oknem. Gdy nucenie milkło, słuchał znowu rozmowy Stefana z Domuntem, aż kiedy przzerwali ją na chwilę, wstał z krzesła i zbliżył się do dwu przyjaciół.

— Moi drodzy — rzekł — bądźcie łaskawi wtajemniczyć mię w swoją magję. Bo tu jest jakaś magja. Rozmawiacie o płotach, piecach, krowach, koniach, dodajecie i mnożycie cyferki malutkie, a macie miny ludzi, zdejmujących gwiazdy z nieba.

— Albo łapiących za ogon miljon — zaśmia się Domunt.

— O czem właściwie rozmawiacie i co was tak żywo zajmuje!

— Ani gwiazda, ani miljon — odpowiedział Stefan. Rzecz niezmiernie prosta. Każmierz bierze od nas w dzierżawę jeden z folwarków, które wykroiliśmy z Darnówki.

Roman z osłupieniem spojrział na Domunta.

— Ty, Kaziu, masz być dzierżawcą małego folwarku, ty, taki dawniej ambitny i wysoko patrzący.

— A któż ci powiedział, że teraz nie patrzę wysoko? — z żywością przerwał Domunt.

— Ależ to być musi folwarczek bardzo mały!

— Mały, odpowiedział Stefan, jednak dziesięć razy przynajmniej większy od posiadłości naszych chłopów.

— Ależ to co innego...

— Naturalnie, że co innego; bo praca człowieka oświeconego wydobywa z piędzi ziemi to, czego człowiek ciemny z jej wielkiej płachty wydobyć nie potrafi.

Domunt zaś trochę złośliwie dorzucił:

— I wody potoku, wylewające się za brzegi, gdziekolwiek spłyną, użyźnią jakiś kawałek gruntu.

Były to słowa, przed godziną wypowiedziane przez Romana i on doskonale pamiętał, że to powiedział. Zastanowił się trochę nad nimi. To prawda, jeżeli o „użyźnianie gruntu” idzie. Machnął ręką i zaśmiał się z samego siebie. Puste słowa! Komu tam idzie o „użyźnianie” jakiegokolwiek! Stając przed przyjaciółmi zaczął znowu.

— Zawsze jednak w głowie pomieścić mi się nie może, jakim sposobem człowiek, mający prawo do wymagania od życia...

Domuntowi oczy błysnęły.

— Ależ wymagałem! wymagałem! zawołał, aż przyszedłem był do tego, że i życia samego już nie chciałem!

Potem, spokojniej mówił.

— Któż ci powiedział, że i teraz, osiadając na małej dzierżawce, nie wymagam od życia czegoś więcej nad kawałek chleba...

— Spodziewam się! przerwał Roman, masz prawo wymagać czegoś więcej.

Ale przerwał mu Stefan.

— Trzeba przedewszystkiem postawić kwestję jasno. Czem jest to, co daje człowiekowi prawo do czegoś więcej, niż kawałek chleba. Urodzenie? Majątek? Stosunki?

— Nie — zaprzeczył z pośpiechem Roman — oświata i nauka. Myślałem tylko o oświacie i nauce.

— Te dają mnóstwo praw, potwierdził Stefan, a przedewszystkiem jedno, najważniejsze prawo, rozróżniania zła i dobra.

Romana uderzyło to określenie. Możliwość rozróżniania zła i dobra, najważniejsze z praw udzielanych człowiekowi przez oświatę. To prawda. Pasztet potem już następuje. Pierwszą jest ta możliwość, ciemnocie mniej dostępna. Tylko znowu to zło i dobro, są rzeczami tak względnymi i podlegającymi zakwestjonowaniu...

Chodząc po pokoju powtórzył głośno.

— Zło i dobro... rzeczy względne i pod wpływami stref lub czasów rozmaitych są-
dzone rozmaicie. Ostatecznie, jeżeli się nikogo nie zabije, ani ograbi...

— Nie jest się kryminalistą, ściganym przez prawo, spokojnie przerwał Stefan.

— I po wszystkim! żartobliwie, lecz z rozdrażnieniem, do ukrycia nie podobnem, rzucił Roman.

— I po wszystkim! śmiejąc się potwierdził Stefan.

Umilkli. Roman rzucił się na krzesło u okna i, wypuszczając z ust nitki dymu papierosowego, patrzył na liście, poruszające się u szczytu wiązu. Stefan kreślił na papierze jakieś cyfry; Domunt, z głową, opartą na ręku, zamyślił się smutnie. W dole, na ganku domu, warczała maszyna do szycia, ale po chwili umilkła i ptak błękitny wzbił się ku liściom, poruszającym się na drzewie. Głos kobiecy nucił piosnkę, której nietylko nuta, ale i słowa dochodziły tu wyraźnie:

Latem brzózka mała
Z liściem rozmawiała:
«Rzucisz, listku złoty,
Mnie w jesienne sloty»...

I umilkła. Maszyna zawarczała znowu. Rzecz była dość dziwną, ale to nucenie głosu dobrze znanego, wzmagalo niepokój i rozdrażnienie Romana. Można by powiedzieć, że ptak błękitny dorzucał swoje słowa do rozmowy, toczącej się w pokoju na górze, i wplątywał się w jej przędzę. Roman wstał i, chodząc po pokoju, znowu mówić zaczął:

— Ostatecznie, może ja ciebie, Kaziu, i rozumiem! Po jakichś wielkich burzach i przygodach, które przeżyłeś... po jakichś rozczarowaniach wielkich, które znać po tobie, taki sposób życia, takie zajęcia, takie stanowisko, to przystań, port, odpoczynek... naturalnie, to rozumiem... ale czego nie rozumiem...

Uśmiechnął się.

— Czego nie rozumiem, to tego, że, dopływając do portu tak nadzwyczajnie, tak arcyskromnego, wydajesz się zadowolonym, prawie uszczęśliwionym, jakbyś przybijał do greckiego Sybarys...

Stefan wstał i po raz pierwszy od przybycia Romana poufale położył mu dłoń na ramieniu.

— Mój braciszku — rzekł — to już jest magja, to należy zupełnie do dziedziny tej magji, o której wspominałeś przed chwilą...

— Albo jeżeli wolisz — dodał, śmiejąc się, Domunt — jest w tym pasztecie, jak się twój stryj wyraża, taki trufel, który tak pachnie...

Śmieli się obaj, ale Roman, z rumieńcem wzburzenia na policzkach i z przekąsem w głosie rzucił:

— W tym małym paszteciku jest taki wielki trufel...

— A tak — potwierdził Stefan — historia to zresztą bardzo pospolita, że na dnie rzeczy małych można odkryć wielkie.

— Trzeba tylko znać magję — z kolei zaśmiał się Roman, ale śmiech jego brzmiał fałszywie. Nie chciał przecież okazać uczuć, których doświadczał, i po chwili spróbował zmienić przedmiot rozmowy. Wskazał na kartki, zapisane na stole.

— Co to piszesz, Stefanie?

— Prawie nic; gromadzę trochę wiadomości etnograficznych o tych stronach i uszczęśliwiam nimi niekiedy jakiś organ specjalny.

— Dziwię się, kiedy możesz znajdować czas na rzeczy takie.

Stefan wzruszył ramionami.

— Jest to przesąd, że rolnicy nie mają czasu na zajęcia umysłowe. Mamy całe miesiące bezrobocia prawie zupełnego, długie wieczory jesienne i zimowe... Istnieją już doświadczenia w tym kierunku na skalę szeroką. Są kraje, w których drobni nawet rolnicy czytują...

Znowu wszyscy trzej umilkli. Domunt przerzucił kartki przez Stefana zapisane, tu i owdzie przebiegając je oczyma. Roman stał u okna; patrzył na krajobraz, a po chwili przerwał ciszę pytaniem:

— Do kogo należy ten piękny pałacyk?

— Do Henryka Oławickiego — odpowiedział Stefan i może chcąc wynagrodzić gościowi to, co mogło być dla niego nieprzyjemnym w rozmowie poprzedzającej, uprzejmie ciągnął dalej:

— Może pamiętasz świetne kawalkady konne, z panów i pań złożone, które, przejeżdżając się po drogach, budziły w nas niegdyś ciekawość i zachwycenie. Urządzane właśnie były przez Oławickich z Górowa.

— Pamiętam. W tej chwili przypominam sobie także iluminację pałacu i jego ogrodów, której przyglądaliśmy się, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, z tego samego okna. Tak, tak! Oławicki! I nazwisko to przypominam sobie teraz, choć bodaj słyszałem je wymawianem nie często. Czy pomiędzy Darnówką a Górowem nie było nigdy stosunków bezpośrednich?

— Co za myśl! — zaśmiał się Stefan. Darnówka posiada wobec Górowa zupełnie taki cenzus towarzyski, jak zagroda chłopska wobec Darnówki. Jakież więc mogły być stosunki?

— Jesteśmy wszyscy równi przed Panem — uśmiechnął się Domunt.

— Jesteśmy chrześcijanami — dokończył Stefan, a wzrok jego, jakby siłą niewiadomą pociągnięty, pobiegł ku krzyżowi, na ścianie wiszącemu, i spochmurniał. Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy rysy jego powlekl wyraz surowości chmurnej i nieco nawet twardej.

W tej samej chwili z dołu, od niskich traw i kwiatów, ku gałęziom wiązu wysokiego, wzbily się słowa i nuta piosenki:

«Nie bój się, o, brzózko,
Choć za wolą Boską,
Ciebie ja porzucę,
Znów do ciebie wrócę»...

— Brzózka! — zawołał Domunt — panna Irena „Brzózkę” śpiewa, a ja nieszczęśliwy jeszcze się z nią nie przywitałem.

Dwoma skokami już był na schodach. Roman, zstępując z nich ze Stefanem, rzekł:

— Kaźmierz zawsze taki, jak był. Żywy jak iskra, przedsiębiorczy i sprężysty...

— Była jednak chwila, w której energia i sprężystość opuściły go zupełnie — odpowiedział Stefan.

Roman przypomniał sobie słowa Domunta: „Dawno byłoby już po mnie, ale Stefan złapał mię za rękę!” i, rozumiał, że pomiędzy tymi dwoma ludźmi zajść musiało coś tak ważnego, jak śmierć i życie.

Kiedy wychodzili na ganek, stary Darnowski wjeżdżał w bramę dziedzińca na koniku nie dużym, ale zgrabnym, i z którego grzbietem zdawał się być zrosniętym, tak silnie na nim siedział. Postawa jego prosta i razem swobodna, miała w sobie śmiałość i grację doskonałego jeźdźca. Zdala możnaby go było wziąć za młodzieńca, ale siwe włosy, dobywające się z pod czapki, bieleły na zielonem tle dziedzińca, jak lecący nad zgrabnym mierzynkiem płatek śniegu.

Pani Paulina, siedząca na ganku ze swemi koronkami, naprzeciw szyjącej Ireny, mówić zaczęła:

— Ach, ach, ach, jak ja się lękam dla Romualda tej jazdy konnej! W jego wieku i w ogólności nie trudno o jaki wypadek okropny. Ale z drugiej strony, dzięki Bogu, że on jest jeszcze taki zdrow i silny! Kiedy byłam młodą, uczył mię konno jeździć, ale nie mogłam, zawsze byłam słabą i trwożliwą... Ach, ach, ach, jaka to musi być wielka przyjemność. Ale wszystkie przyjemności nie dla mnie... choć z drugiej strony ot i tylko co bardzo przyjemną godzinkę spędziliśmy z Iruśią tu na ganku... Koronki swoje robiłam, ona szła i śpiewała...

Roman stał przy Irenie.

— Nienawidzę, kuzynko, tej maszyny do szycia.

— Cóż ci ona złego wyrządzić mogła, kuzynie?

— Przeszkadzała pewnemu ptakowi błękitnemu wlatywać w górę. Co chwilę chwytalem go i co chwilę uciekał.

Patrzac na niego, żartobliwie zapytała:

— Jakiegoż to ptaka ploszyła moja maszyna? Może kraszkę, bo ona tylko ma skrzydła błękitne?

— W ornitologii biegły nie jestem i nie potrafiłbym kraski ani poznać, ani nazwać. Mój ptak błękitny — to piosenka, którą nuciłaś...

Trochę zarumieniona spuściła oczy na robotę, ale śmiejąc się odpowiedziała:

— Moje piosenki, to w Darnówce ptaki bardzo pospolite, kto tylko chce mieć je może.

— Czy uczyłaś się śpiewać, kuzynko?

Usiadł przy niej i przez kilka minut rozmawiał o muzyce i śpiewie, ale przerwało im upomnienie się Darnowskiego o wieczerzę.

Przy wieczerzy Domunt opowiadał, że wczoraj, wracając z folwarku do Kaniówki, spotkał się z Rosnowskim, który także zkadciś wracał, a zobaczywszy go, zaraz z bryczki wyskoczył i kilka minut rozmawiał z nim na drodze.

— Powiadał mi, że tylko co otrzymał list od Marcelego. Zdziwiłem się, bom nie wiedział, że oni korespondują z sobą, ale Rosnowski objaśnił, że ten list pisany jest w interesie moim i że wkrótce zakomunikuje mi treść jego. Ale ja z góry już wiem coś o niej.

Zamienili się spójrzeniami ze Stefanem, który zapytał:

— A Swój czy towarzyszył Bohdanowi?

— Mogłoby być inaczej? — odpowiedział Domunt. Siedzieli obok siebie na bryczce i byli, jak się zdawało, bardzo z siebie zadowolonymi.

— Czy Swój mówił? — wtrąciła zapytanie Bronia.

— Bardzo mało, kilka słów tylko — z powagą odpowiedział Domunt.

— A co powiedział? — pytała się jeszcze dziewczyna.

— Niech Bronia zapyta się o to jego pana, gdy przyjedzie, co nastąpi bardzo wkrótce, bo Bohdan prosił mię, abym zapowiedział jego rychłą bytność w Darnówce.

Przy tych słowach pomimowoli rzucił okiem na Irenę, na którą pani Paulina już patrzyła i Bronia także.

— Iruś! Iruś! Iruś! — zawołała dziewczynka, klaszcząc w dłonie. Pan Bohdan ze Swoim przyjedzie. Ty będziesz rozmawiała z panem Bohdanem, a ja ze Swoim.

W twarzy Ireny nie drgnął żaden mięsień. Ani śmiała się, ani rumieniła, ani gniewała, nakładała potrawę na talerze i podawała je obecnym ze zwykłym spokojem w ruchach i wyrazie twarzy, nieco tylko więcej niż zwykle zamyśloniej.

Stary Darnowski, jedząc, odezwał się:

— Marceł mądry i wyższy człowiek, co tu robić, nie może znieść nędzy i poniewierki brata. Zaszczyt mu to przynosi, co tu robić, że chce go z sobą ciągnąć pod górę...

— Ależ ja przeciw nędzy i poniewierce protestuję! — zawołał Kaźmierz.

Wtedy Darnowski przestał jeść i z bardzo pociesznymi gestami i minami pokazywać zaczął, jak nieumiejętny i niezgrabny robotnik dach kryje. Przed paru dniami widział Kaźmierza, siedzącego na przezroczystym wiązaniu z krokwi i w towarzystwie kilku najemników, robiącego w taki sposób dach na stodole. Nie umie jeszcze, ale to nic, że nie umie, bo nie święci garnki lepia, tylko że chudy jak świeczka i biały jak margrabina, przy robotnikach barczystych i ogorzałych robi wrażenie nędzy...

— Niech tam będzie i nędza! — zaśmiał się Domunt — bom i naprawdę znędzniały. Sprawdził się tedy na mnie werwet Biblii o wróblu na dachu.

Ale z pozoru przynajmniej nie brał tej swojej nędzy do serca.

— Zmęźnieję — mówił — opalę się, nabędę umiejętności rozmaitych...

— Zobaczmy jeszcze, co Marceli pisze — zauważył Darnowski. Taki człowiek, jak on, pisać musi, co tu robić, rzeczy piękne, wyższe...

— Nie po raz pierwszy czytać je będę — ze wzruszeniem ramion odrzucił Domunt.

Roman rozmawiał z panią Pauliną, a raczej słuchał jej przewlekłego i prawie niestannego mówienia, w którym: *nie i tak, z jednej strony i z innej strony* spotykały się i rozmijały gęsto przeplatane westchnieniami: ach, ach, ach! Słuchał, prawie nie słysząc, bo daleko więcej zajmowało go to, co mówiono o Kaźmierzu i dziwnym zajęciu tego ostatniego około krycia dachu. Co to jednak jest, to oranie, koszenie, krycie dachów? Prostota cynycynatowa? Demagogja robespiewowska? Chyba nie; bo wszystko tu działo się zbyt po prostu na Cyncynata i zbyt łagodnie na Robespiera. Nie czuć tu było wcale togi rzymskiej, ani czapki czerwonej. Więc co? No, cóż znowu tak dziwnego, cóż takiego, aby trzeba było aż głowę sobie łamać nad tem? Czy nie jest dlań to zagadką niezgłębioną dlatego tylko, że przywykł do umieszczenia zjawisk pewnej natury koniecznie i tylko pod pewnym kątem? Myśl wydobywa się z przyzwyczajenia, jak koń z grzęzawiska.

Wieczera była skończoną; dziewczęta pierwsze wstały od stołu, za niemi poszedł do bawialni Domunt. Darnowski opowiadał jeszcze synowcowi o pożogach, które każdej jesieni pożerają w tych stronach mnóstwo wsi chłopskich. Wkrótce, za dwa, trzy tygodnie, każdego wieczoru ukazywać się poczną na skłonach nieba łuny ogniste.

— Dlaczegoż tak się dzieje? Z czego pochodzą te klęski perjodyczne?

— Hm, jak ci to powiedzieć, kotku? Antropomorfy nie umieją urządzać się po ludzku... co tu robić?... nie umieją...

— Jakto antropomorfy? Kogóż tak nazywasz, stryju?

— A chłopów, kotku, chłopów, co tu robić? Myślałeś pewno, że to są ludzie. Gdzie tam, kotku, są to, co tu robić, antropomorfy. Czy ja dobrze jeszcze pamiętam, co to znaczy: antropomorfy? Małpy najpodobniejsze do człowieka, prawda? Nazywają się jeszcze i prymatami, ale przyjmijmy już dla nich jedną nazwę: antropomorfy!

Dziwny jednak ten stary! Nigdy nie można powiedzieć napewno, czy drwi albo mówi na serio! Ale teraz mniej, niż kiedy, Roman mógł zastanawiać się nad tem, bo z bawialni dochodziły dźwięki fortepianu i głos kobiety, który śpiewał koniec piosnki rozpoczętej przed chwilą:

«Choć za wolą Boską
Ciebie ja porzucę,
Znowu do cię wrócę;
Ujrzym lubą wiosnę
Ja zieleńszy wzrosną,
Będziem znowu z sobą,
Będę szumieć z tobą».

Miły, śliczny głos! Twarz śpiewającej zanurzona w półcieniu, na którego tle uwypukla się jej wysmukła kibić w jasnej sukni. Domunt stoi w pobliżu fortepianu, także w półcieniu, plecami oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i nisko pochyloną głową. Widać, że muzyka sprawia na nim wrażenie bardzo silne, tak jak na wszystkich tych, którzy wiele cierpieli. Lecz któż nie cierpiał? Stryjenka w starym, głębokim fotelu, wyglądająca, jak ptak osłabły i nastrzępiony, ma wyraz smutku dokoła ust i w oczach, w których nawet błyszczą łzy. Te blade oczy z miłością spoglądają na śpiewającą dziewczynę, na męża, na Romana, a żółte, splecione na kolanach ręce, zdają się być uplastycznieniem westchnienia: „ach, ach, ach!” Stary Darnowski słucha śpiewu Ireny uważnie, z takim skupieniem, jakby go słyszał po raz pierwszy; światło lampy wprost na twarz mu padające uwypukla jej zmarszczki i wklęśnięcia w taki sposób, że każda z tych zmarszczek i każde z tych wklęśnięć, zdają się wraz z każdym tonem śpiewu powtarzać: „co tu robić? co tu robić?” Przez drzwi otwarte widać Stefana siedzącego przy stole i patrzącego w książkę, której kart nie przewraca jednak wcale. Tuż przy nim

Bronia z postawą poważną, z wolna przeciąga rękę po szerści czuwającego wielkiego psa podwórzowego, którego przed chwilą częstowała resztkami wieczerzy, a który teraz siedzi przed nią wyprostowany i także słucha. Romanowi nikt nie przeszkadza słuchać z ręką na oczach, u otwartego okna, za którym w ciemności gwiazdzistej szeleszczą zcicha bzy i spiree. Cóż osobliwego jest w tym śpiewie? Nic wcale. Słyszał mnóstwo razy głosy większe, ucześnie, pod każdym względem doskonalsze i wiedział dobrze, że słuchać ich będzie nadal, ilekroć zechce. Jednak w sposób niepojęty ogarniają go marzenia i żale. Myśli, że tego głosu i śpiewanych przez niego pieśni prędko już nie usłyszy, może nigdy więcej nie usłyszy. Cóż ztąd? Jakąż to sprawi szkodę lub stratę? Żadnej wcale; tylko mu — bardzo smutno!

Przestała śpiewać. Roman obrócił twarz w stronę fortepianu i zobaczył czoło, na które teraz pada światło lampy, gładkie i bladawe, a pod niem dwoje oczu w niego utkwionych. Błyszczące, niepokoju pełne zdawały się one coś badać, o czymś zapytywać, czemuś się dziwić. Spotkawszy jego spojrzenie, odwróciły się szybko, lecz nie tak szybko aby nie mógł dostrzedz ich wyrazu. Ach! dziwi ją jego wzruszenie! Spostrzegła, że jest smutny i ze zdziwieniem zapytuje samą siebie: jaką może być tego przyczyna! Czyliż mniema, że jest zbyt wystudzonym, albo zepsutym przez świat i życie, aby mu serce mogło uderzyć silnie na dźwięk pieśni zdawna znanej i znowu posłyszanej, posłyszanej w kole twarzy, do których może powiedzieć: „Moi!” Krótki wyraz, pospolity wyraz, ale czyż ona mniema, że serce i usta jego nigdy go nie zapragnęły?

Teraz, w roztargnieniu przebiegała klawisze, aż snuć z nich zaczęła melodję łatwą, prostą, którą znał dobrze, zapomniał, teraz znowu pamiętał.

«Tam na błoni błyszczą kwiecie»...

Jakie to staroświeckie! Trzeba przybyć do zapadłego kąta, aby spotkać się z tem jeszcze! Ale miłe jak wspomnienie z nad kolebki i w prostocie swojej kryjące głębie dostępne tym, którzy, choć raz w życiu kochali błonie okryte kwieciem.

«Stoi ułan na pikiecie»...

Stara legenda; stary sztych spłowiwały, szarzejący na ścianie komnaty opuszczonej i nagle rozbłysły pod niezgasłym promieniem pamięci!

Dźwięki legendy tak dawne i rzewne, że kilka już pokoleń przy nich marzyło, wspominało, żałowało, rozplywały się pod niskimi sufitami starego domu, wylewały się przez otwarte okna, na bzy i spiree, ze szmerem liści leciały w zmrok gwiazdzisty:

«A gdy zsiądę, prawo znane,
Jutro kulą w łeb dostanę»...

Wstał, przeszedł pokój i stanął przy fortepianie, a gdy grać przestała, milcząc wyciągnął do niej rękę. Ona podniosła się z taburetu powoli, sztywnie i końcami palców zaledwie dotknęła jego dłoni. Spojrzenie jej obojętne, rysy zeszywniałe zdawały się mówić, że nie pojmuję zupełnie, za co dziękować on jej może, jaką przyjemność sprawiać mu mogą jej proste, dawne pieśni?

W kwadrans potem, stary Darnowski, przerywając rozmowę gospodarską z Domuntem i z synem, zbliżył się do siedzącego na stronie, zamyślnego synowca. Stanął przed nim, wpatrzył się bacznie w jego twarz posmutniałą, wstrząsnął głową, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic, tylko spojrzenie jego oczu ognistych stało się pod siwemi brwiami miękkim, prawie piśczotliwym. Położył mu dłoń na głowie i, pochylwszy się, w czoło go pocałował. Roman zdjął z głowy tę dużą, zgrubiałą rękę i przycisnął do niej usta. Przypomniał sobie chwilę bardzo dawną, gdy, dzieckiem, będąc w zrujnowanym domu ojcowskim płakał z pobudek wcale niedziecinnych, a ten sam człowiek, tak samo jak teraz, rękę na głowie, a usta na czole jego opierając, mówił: „Nie smuć się, Romku, nie desperuj! co tu robić? Wszystko naprawię!

I naprawił. Ale teraz było wcale co innego.

V

O dość wczesnej, porannej godzinie, Roman znajdował się na łące, w miejscu, gdzie rzeczka, wypływając z pod gęstwiny krzaków, biegła wśród rozstawionych z rzadka cienkich brzózek i osinek. Gdzieindziej szersza znacznie, tu była tylko nitką srebrną, wijącą się po kamykach czerwonych, z metalicznym klekotaniem małego wodospadu. Tak, jak woda wśród drzewin, klekotanie to wiło się wśród ciszy, będąc jej jedynym odgłosem stałym. Bo ptaki w drzewach to odzywały się, to milkły, bór, nad łąką stojący, czasem szumił z cicha, czasem milkł, tylko woda po kamykach klekotała nieustannie, jednostajnie. Pod zarosłą krzaczystą i cienkimi drzewami pełno było cienia, a w cieniu wyraźnych barw i kształtów. Niektóre z drzewin chmiel obejmował w niezliczone skręty zieleni ciemnej, owieszanej gronami białych kwiatów. Były to piramidy ze szczytami zaostrzonymi, u których wierzchołka listki osin, gdzieniegdzie już zarumienione, poruszały się w powietrzu swoim drżeniem wiecznym i sprawiającym ciche furczenie, które słabem echem wtórowało klekotowi wody. Mnóstwo roślin z końcem lata rozkwitało powtórnie; marchwie dzikie tworzyły gaje zielonawo-białe, przytulje opuszczały na trawę zwoje żółtych koronek, u stóp boru iskrzyły się szafirem i purpurą wielkie kiście żmijowców i krwawnic. Słońce, ukryte jeszcze za borem, przysyłało tu tylko skośne promienie, które osypywały wodę deszczem iskier srebrnych, lecz trawy i kwiaty pozostawiały w cieniu chłodnym i wilgotnym. Niekiedy, w głębi boru, ozywało się chrapliwe krakanie wrony, lub przesywał powietrze ostry pisk krogulca; od dworu Darnowskiego zaleciały parę razy stępione przez odległość szczekania psów i stuki siekiery; potem znowu stało się cicho, tylko strumień klekocze po kamykach i różowe listki osin, upowitych w chmiele, drżą w powietrzu, wtorując strumieniowi słabem furczeniem. Po błękitnym niebie idą zwolna stada obłoków białoszarych, puszystych...

Roman, który przebył już znaczną część łąki, stanął tu, zatrzymany wdziękiem ładnego kącika natury. Miał na sobie ranne, modnie skrojone ubranie, palto, zawieszona na ramieniu i połyskujące podszewką jedwabną, zgrabny, mały kapelusz na głowie, z pod którego widać było jego ciemne włosy i dół twarzy, otoczony wązkim zarostem. Ze zwojami dzikiego chmielu nad głową, ze swawolną nicią strumienia u stóp zanurzonych w trawach brązowych i zmoczonych rosą, miał zdala pozór figurki, z żurnalu mód wyciętej i zkądcis tu przywianej. Zbliżka przecież można byłoby dostrzedz na twarzy jego ślady nocy przespanej niedobrze.

Był tak zamyślony, że nie słyszał kroków, lekkich wprawdzie, które z tyłu zbliżały się ku niemu, i usłyszał dopiero głośnie klaśnięcie w dłonie, połączone z okrzykiem:

— Dzień dobry! Ranny dziś ptaszek z Romka!

Była to Bronia, która jak prawdziwe dziecko cieszyła się, że go znienacka zaszła i może nastraszyła. Naturalnie, że nie zląkł się, jednak podając rękę dziewczynce, nie zaraz odpowiedział na jej powitanie. Patrzał dalej nieco, ku borowi, gdzie na stoku pagórka, obrosłego sosnami, stała Irena. Stała wśród kilku sosen, zdala od siebie rosnących, w klombie paproci zielonych i rdzawych. Paprocie były wysokie i wyrastały kępami z mchu szmaragdowego. Pośród nich kobieta w jasnej sukni miała pozór kwiatu, wynurzającego się z gęstych zwojów koronek leśnych. W kapeluszu słomianym, którego brzeg szeroki twarz jej ocieniał, z koszykiem, zawieszonym na ręku, stała w postawie wahającej się i niepewnej. Niezawodnie wolałaby niepostrzeżenie prześliznąć się brzegiem lasu i uniknąć spotkania niepożądanego. Roman odgadł to z jej postawy i podniósł rękę do kapelusza, aby zdala ją powitać, ale ona sama wyszła z paproci i prędko po łące szła ku niemu. Uprzejmość i gościnność wzięły w niej górę nad niechęcią. Niedaleko strumienia, dzwoniącego po kamykach, podali sobie na powitanie ręce sztywne i chłodne. Nagle przecież rysy Ireny zmąciły się zaniepokojeniem.

— Co ci jest, kuzynie? Wyglądasz blade i mizernie? Czy nie czujesz się chorym?

Od żywoci i dobroci, z którymi wymawiała te zapytania, biło takie ciepło serdeczne, że Roman sam nie wiedząc, jak i kiedy, rękę jej do ust podniósł.

— Dziękuję ci, kuzynko, jestem istotnie chorym, ale na taką chorobę, z której człowieka wyleczyć może tylko jego wola własna.

Szybko cofnęła mu rękę, ale z rozbłyśnięmi oczyma zapytała:

— Jakaż to choroba, kuzynie?

— Kaprysy — odpowiedział — nic, tylko kaprysy.
Poczem, patrząc na strumień, powoli mówił dalej:
— Człowiek goni marę, która mu się piękną wydaje, a gdy ją pochwyci, już jej nie chce, i gryzie się tem, że nie chce; czegooby zaś chciał, sam nie wie dobrze.
Słuchała uważnie, potem z uśmiechem, który jednocześnie wytryskał na ustach i w oczach, odpowiedziała:
— To jest rzeczywiście jakiś człowiek kapryśny. Nie znałam jeszcze takiego.
— Poznajże teraz — z żartobliwym ukłonem rzekł Roman.
Równie żartobliwie dygając, odrzekła:
— Bardzo mi smutno.
— Poznawać takiego człowieka?
— Tak; bo jemu na świecie i światu z nim nie musi być wesoło.
— O, o! dlaczegoż światu z nim?
Cóż on biedny zawinił wobec świata?
Pomyślała chwilę i, trochę wahając się, zcicha odpowiedziała:
— Może to, że świat jest dla niego tylko dodatkiem...
— Do czego?
— Do niego samego.
Roman był zadziwiony.
— Masz na myśli samolubstwo, kuzynko?
— Mniej więcej — zaśmiała się. To jest taka deklinacja: ja, moje, mnie, dla mnie, o mnie, przy mnie, we mnie...
W tej chwili Bronia z pękiem kwiatów, które zrywała nad strumieniem, przybiegła, wołając:
— Iruś, idźmy już! Jeżeli ciągle robić będziemy takie popasy, chyba wieczorem przyjdziemy do Kaźmirówki. Bo to już drugi popas! Pierwszy był w Wolince...
Rzuciła ręką w stronę lasu, z którego przed chwilą wyszły.
— Panie idą do Kaźmirówki — zawołał Roman — ja także.
— W takim razie ja tam nie pójdę — rzekła Irena.
— Czy dlatego, aby w towarzystwie człowieka kapryśnego nie było ci smutno?
— Po części dlatego — zażartowała — ale głównie, że ta wycieczka staje mi się już niepotrzebną. Miałam tylko zaprowadzić tam Bronię...
— A po cóż Bronia potrzebna w Kaźmirówce?
— Bo tam dziś Lunia na cały dzień przyjedzie — objaśniła dziewczynka.
— A któż to taki Lunia?
Bronia parsknęła śmiechem.
— Boże, czyż nie australczyk z Romka? Na pięć minut dziesięć zapytań!
Lunia, to siostra najmłodsza pana Kazimierza, rówieśnica i serdeczna przyjaciółka Broni. Przyjeżdża często z Kaniówki do świeżo zakładanego folwarku, trochę dlatego, aby gospodarzyć u brata, trochę... tak sobie... dlatego, że jemu to sprawia przyjemność. Dziś właśnie ma tam przybyć, a Irena przyrzekła wczoraj przyprowadzić Bronię, aby dziewczynki dzień ten razem spędziły.
— Ponieważ tam idziesz, kuzynie, powierzam tę małą opiece twojej, a sama powracam do domu. Dziś tygodniowe pieczywo chleba i rozdział jego pomiędzy czeladzią, przy którym muszę być obecną.
— Chciałbym zapytać: po co? ale boję się Broni.
— Idźmy już, bo Lunia na mnie czeka.
Ale Romanowi wcale nie było pilno odchodzić. Chciał bardzo powiedzieć Irenie, że ten długi pas łąki, ścielący się u stóp wzgórza, zarosłego lasem, z zakrętem, który kres jego tajemniczo ukrywał za wzgórzem, zdawał się wołać na patrzącego: „chodź! chodź!” Chciał bardzo powiedzieć: „chodźmy razem!” Jednak nie powiedział, bo u niej błysk ciepła serdecznego, a potem wesołości poufałej zniknął już bez śladu. Spokojnie i zdala, nie podając mu nawet ręki, skinęła głową na pożegnanie.
— Do widzenia. Opiece twojej, kuzynie, powierzam tę małą. Odprowadź ją do domu, gdy sam wracać będziesz.
Odeszła w stronę Darnówki. Roman patrzył na nią i myślał, że ranne przechadzki oblewają twarze młodych kobiet świeżością jutrenki, a oczy ich napełniają blaskami nieba.

Irena była dziś świeżą, jak jutrzienka, a w oczach jej parę razy i najwyraźniej w świetle dostrzegł niebo. Szła brzegiem strumienia, po kępach nierównych i trawach splątanych, krokiem tak równym, jakby miała pod stopami gładką posadzkę. W chodzie jej był rytm linji, siła i zdrowie ciała, zżytego z naturą. Gdy za coraz oddalającą się patrzył, wzrastała w nim chęć zawołania: „wróć się i chodźmy razem!”, aż uczył, że gdyby cudem ona sama wróciła i ukazując szlak łąki powiedziała mu: „chodźmy razem!” byłby niewypowiedzianie, ogromnie szczęśliwym. Ale na to trzeba było chyba cudu.

Bronia, ociąganiem się jego do ostatka już zniecierpliwiona, wsunęła mu rękę pod ramię i bez ceremonji pociągnęła go naprzód. I czego to było przypatrywać się tak długo Iruś odchodzącą? Poszła do domu, bo jej pilno do różnych zajęć, i koniec! Ona w swoją drogę poszła, a im trzeba iść w swoją jak najprędzej, bo Lunia czeka.

Wstały dziś z Iruśią bardzo wcześnie, o całą godzinę wcześniej, niż zwykle, właśnie z powodu tej wycieczki, ale idąc, zboczyły do Wolinki...

— Cóż to takiego ta Wolinka?

— Jakto: co takiego? Wieś...

— Prawda; teraz nawet trochę ją sobie przypominam. Taka duża wieś, która niegdyś należała do Darnówki. Poczucieście tam chodzili?

— Jakto: po co? Kondratkowej syn bardzo chory.

Roman zaśmiał się i z imienia i z pewności Broni, że każdy musiał wiedzieć o istnieniu Kondratkowej i o tem, dlaczego Irena do niej chodzi. Aby podrażnić się z dziewczynką, zapytał jeszcze:

— A któż to taki ta Kondratkowa?

Tak jak się spodziewał, Bronia trochę ze śmiechem, a trochę z irytacją zawołała:

— No, czyż nie australczyk z Romka! — a zaraz potem z żywością wielką wytrzepała przed nim całą historję jakiejś rodziny chłopskiej, jej szczęście i nieszczęście, wraz z dziesiątkiem różnych imion i zdarzeń.

Kiedy skończyła, Roman rzekł:

— No, dobrze, niech już ja będę sobie australczykiem, a Bronia niech mię z krajami nieznanymi poznajamia. Zgoda?

Podniosła głowę i z pod szerokiego brzegu kapelusza spojrzała na niego ze zdziwieniem w błękitnych oczach.

— A pocóż to Romkowi? Za kilka dni pojedzie sobie znowu i może nigdy już nie wróci.

Nie odpowiedział nic, tylko pomyślał: ten drobiazg ma słuszość. Po co? Myślą wrócił do Ireny. Zkąd jej przysła do głowy ta zabawna deklinacja: ja, moje, mnie, dla mnie, przy mnie, we mnie i t. d.? Spieszno jej było do asystowania przy pieczywie i rozdzielaniu chleba! Ochmistrzyni! A przytem słowik domowy i troszkę — filozofka. Bo jest tu i filozofja jakaś! Ja, moje, mnie, dla mnie, we mnie... Jakże się to godzi z doglądaniem pieczywa? No, naprawdę, dlaczegożby godzić się nie miało? Nawet to bardzo naturalne, że się godzi, bo to pieczywo, to nie ja, nie moje, nie dla mnie... Przypomina sobie doskonale takie bochny chleba razowego wielkie, ciemne, ze wzorami liści klonowych na białym od mąki spodzie, z zapachem, który, zdaje mu się, że w tej chwili czuje. W oddalanej przeszłości swojej, w tej samej Darnówce, widywał często stryjenkę, rozdzielającą pomiędzy ludzi takie pachnące bochny. Na Darnówce ciążyły długi, on wie jakie, oboje właściciele jej pracowali dużo i usilnie. Teraz jedno z nich osłabło i już nie może. Wyręcza je Irena. Zamiast w towarzystwie baronowej Lamoni bujać po zagranicy, dogląda pieczywa... Nie ja, nie moje, nie mnie, nie dla mnie... Czy to jutrzienka wschodzi za wzgórzem, porosłem sosnami i bije ku niemu jakimś światłem nieznanem?

Skręcili razem z łąką za wzgórze porosłe sosnami i stanęli wobec krajobrazu rozległego, tego samego, który zajmował przestrzeń widzialną z okna pokoju Stefana. Za żółtymi ścierniskami, poplamionemi przez ciemne płachty ziemi świeżo zoranej i przez majową zieloność lanków końskiego zębu, pałacyk Oławickich, w potężnej grupie drzew świecił białością olśniewającą. W innej stronie, inny punkt biały, dalszy, lecz jeszcze dość wyraźny, aby rozpoznać że jest nim kościół. Tuż pod wzgórzem, do boku jego jednym krańcem przyczepiona, niwka gryki kwitnącej. Możliwość mniemać, że na ten kawałeczek ziemi spadł śnieg gęsty, gdyby z pod białości puszystej nie przebijały się nakształt sieci żyłek czerwone łodygi i listki.

Roman stanął i towarzyszkę swoją zatrzymał.

— Patrz, patrz! znowu pałacyk górowski! zewsząd go widać! A tam, to kościół parafialny Zawrocki, prawda? Jakaż ta gryka biała! Aż oczy mrużą się od tej białości.

Obejrzał się na przebytą drogę. Nad łąką wznosiła się para lekka, której nie spostrzegł gdy przez nią przechodził. Już też zaczynała się rozpraszać, ale jeszcze tworzyła mgiełkę, w której drzewa i krzaki, stały jak w porozdzieranej krepie srebrnawej. Wilgotna świeżość wiała ztamtąd i trochę tej tajemniczości, którą mają cienie, leniwie usuwające się przed pełnią światła. A pole było zupełnie suche, ciepłe, jasne; przeważał na niem koloryt złoty, wśród którego pałacyk górowski, kościół daleki i niwka gryki olśniewały, blaskiem rzeczy białych, gdy uderzy w nie z całą siłą światło słoneczne.

Bronia wyciągając szczupłe ramię, wskazywała różne punkty widnokregu.

— Tak; to jest kościół Zawrocki, a zaraz za nim ten koniuszeczek, koniuszeczek ogrodu z topolami, to dwór Zawrocki, państwa Rosnowskich.

— Wiem, wiem, pamiętam Zawroć...

— Reszty dworu ztąd nie widać, zasłania go kościół i ten lasek... to jest dębowy lasek przy samym dworze. A ta wieś, co tam daleko, nazywa się Zwirówka, a ta bliższa, Horniczka... Naszej Wolinki ztąd nie widać, bo za lasem, tylko ot, widzi Romek, ten dym co podnosi się nad drzewami tam daleko, daleko... to z Wolinki... tam, między małym laskiem, a wielkim borem jest Wolinka...

— I Kondratkowa?

Ale ona w zapale nie zważała na przerwę.

— Ztąd też i Kaźmierówkę widać. Niech Romek popatrzy dobrze i zgadnie gdzie Kaźmierówka?

— Może to ta gromada drzew przy drugim brzegu łąki, nad samą rzeczką...

— Zgadł Romek. Bliżej byłoby dojść tam z Darnówki przez łąkę, ale rzeczka przegradza. Niektórzy chodzą po kładce, ale my wolimy trochę dalej... Kawatek łąki obchodzi się polem, i już! A właśnie tu jest najładniej, bo ztąd całą łąkę widać i Górów i Zawroć i tyle, tyle pola, kochanego pola...

Roman ciekawie popatrzwał na szczebioczącą dziewczynkę. Boże wielki! Ten dzieciak już naprawdę kocha te pola! „Tam na błoni błyszczą kwiecie”...

— Którędyż teraz pójdziemy, Broniu?

— Tą drogą koło gryki, a potem tą miedzą, co to taka cała błękitna od cykorji.

— Widzisz Broniu; lepszą jesteś, niż się to zdaje tobie samej. Nie chciałaś z początku poznajamiać mię tu ze wszystkim, a teraz mówisz jak się nazywają nie tylko miejsca, ale i kwiaty.

Dziewczynka zmieszała się trochę.

— Cóż mi to szkodzi, szepnęła, jeżeli mogę zrobić przez to Romkowi choć najmniejszą przyjemność, to i owszem.

Nagle krzyknęła.

— Oj, Boże, jakież pyszne rumianki! Widzi Romek, te krzaki całe w kwiatkach żółtych jak słońce, na miedzy i na polu... tam... i tam... i tam! To jest rumianek farbierski. Nasze chłopki czyszczą nim dzieże i dla tego nazywa się on u nich *dzieżnik*.

— Prawdziwy botanik z Broni. Znasz po imieniu wszystkie kwiaty!

Szli właściwie nie miedzą, ale tak zwaną granicą, rozdzielającą grunta do dwóch właścicieli należące. Miedze bywają wązkie; tu szeroki pas zielony ciągnął się pomiędzy łąnem żętym, a innym, świeżo pod zasiew jesienny zorany. Drzewiaste i rozgałęzione łodygi cykorji, z poprzyczepianymi do nich gwiazdami błękitnych kwiatów, rosły na niej tak gęsto, że nadawały jej kolor błękitny, który gdzieś centkowały krzaki rumianków żółtych, wysokie baldachy białych biedrzeńców i marchwi, szkarłatne kity szczawiów grubych jak miotły. Wszystko to zmieszane z lasem brązowych mietlic, tworzyło gęstwiny takie, że trzeba było je obchodzić, zbaczając na ściernisko, lub przedzierać się przez nie, jak przez niską sudzczę. Bronia co chwilę to opuszczała towarzysza, to wracała do niego ze wzrastającym wciąż w rękę pękiem roślin.

— Jeszcze trochę, zaśmiał się Roman, a nie udźwigniesz już tego snopa. Przystań wędrować to tu, to ówdzie i idźmy już ciągle razem.

— Dobrze, z chętną uległością odpowiedziała i znowu drobną rękę wsunęła mu pod ramię. Po chwilowym milczeniu, Roman z niejakiem wahaniem w głosie zaczął.

— Powiedźże australczykowi i to jeszcze: dlaczego właściwie kuzynka Irena nie chciała odjechać z tą z baronową?..

Stopami w grubym obuwiu poważnie obok niego drepcząc, a co chwila wyplątując je z pomiędzy twardych łodyg cykorji, podniosła głowę i z pod słomianego kapelusza popatrzyła na niego oczyma znowu zadziwionemi.

— Jakże można pytać się o takie rzeczy? odpowiedziała.

— No, cóż tak dziwnego znajdujesz w mojem pytaniu?

— Naturalnie, bo Irenka jest tu potrzebną, a gdzie kto jest potrzebny, tam siedzi.

— Aha „Stoi ułan na pikiecie”! Krótko i węzłowato powiedziałaś. Ale komuż Irenka tu potrzebna?

Jeszcze większe zdziwienie Broni i bardzo energiczny gest ręki dźwigającej nieprawdopodobnie wielką miotłę z kwiatów.

— Oj, Boże! ależ wszystkim! Tatce, mamie, Stefkowi, mnie...

— Kondratkowej, wtrącił Roman.

— I Kondratkowej, potwierdziła z zapalem, całej Darnówce, całej Wolince...

— No dobrze, dobrze, już rozumiem. Ale każdy człowiek i o sobie także myśleć musi...

— Więc cóż?

— Więc to, że gdyby kuzynka Irena pojechała z baronową, mogłaby być szczęśliwszą niż jest teraz...

— Dla czego?

— Teraz ja powiem, że Bronia jest afrykanką, bo pyta się o rzeczy, które w Europie wiadome są każdemu. Dla tego, że mogłaby świata dużo zobaczyć, bawić się wesoło, brać dużą pensję, wyjść dobrze za męża.

Bronia zamyśliła się, ale po chwili przecząco wstrząsnęła głową,

— Ja nie wiem, ale Irusia nie byłaby tam szczęśliwą.

— Dla czego?

— Bo ona kocha nas, Darnówkę...

— Kondratkową, wtrącił znowu Roman.

— Kondratkową, z głębokiem przekonaniem powtórzyła.

— Mogłaby się odzwyczaić. Człowiek może się odzwyczaić od najmilszych rzeczy i ludzi...

Dziewczynkę mieszała trochę ta dysputa.

— Ja nie wiem, powtórzyła; ale słyszałam jak Irunia, po wyjeździe pani baronowej, mówiła do tatki: jaby tam umarła i z tęsknoty i ze zgrzyoty sumienia...

Tak, tak!

«A gdy zsiądę — prawo złamię,
Jutro kulą w łeb dostanę»...

— Czy Bronia pamięta jak to tam w tej piosnce, którą kuzynka Irena wczoraj przy fortepianie śpiewała:

«ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą»...

A dalej jak?

Szeroki brzeg słomianego kapelusza podniósł się wysoko nad twarzą dziecinną, gorąco zarumienioną od przechadzki, a z pod niego głosik bardzo cienki, i trochę fałszywy, zaśpiewał bardzo głośno:

«Ty pójdiesz górą, ty pójdiesz górą,
A ja doliną,
Ty rozkwitniesz różą, ty rozkwitniesz różą,
A ja kalina!»

— Tak, górą i doliną... w zamyśleniu powtórzył Roman.

Poczem zupełnie do samego siebie, ale półgłosem powiedział.

— Tylko, że nigdy nie można być pewnym, co na świecie jest górą, a co doliną...

Dziewczynka dosłyszawszy te słowa zaśmiała się głośno i serdecznie.

— Oj, Boże! co Romek wygaduje! Chyba w Australji ludzie nie umieją rozpoznawać na pewno, co jest górą, a co doliną. To już ja nawet wiem dobrze!

— I pewno lepiej wiesz o tem odemnie, moja ty siostrzyczko!

Zajrzał pod słomiany kapelusz, i ogorzałą łapkę, na jego ramieniu leżącą, silnie uściśnął. Uczuł, że to stworzenie świeże, żywe, roztropne, było mu drogiem, a imię siostry, które mu dawał — bardzo miłem. Ona, ciemnymi paluszkami nawzajem ściskając mu rękę, swawolnie podniosła do samej jego twarzy swoją olbrzymią wiąź kwiatów.

— Niech Romek powącha! pachnie? prawda?

Pachniało miętą, miodem i migdałami. Pełną piersią wciągnął w siebie te mocne i rześwe wonie, wyprostował się, zdjął z głowy kapelusz i ze spójrzeniem, zawieszonym na obłoku szarym, stojącym pod morzem błękitnym, z cicha rzekł:

— Dobrze!

Czuł, że jest mu tak dobrze, jak nie było już bardzo dawno.

W tej chwili Bronia, wyrwała się mu z pod ramienia i z wesołym okrzykiem: Lunia! Lunia! pobiegła naprzód.

Od blizkiej już gromadki drzew rozłożystych, z za których błyskała żółtość świeżo spozytej strzechy, szła na spotkanie przybywających, dziewczynka nieco wyższa od Broni, wåtlesza, z główką utopioną w wielkiem bogactwie czarnych włosów. Z tej gęstwiny czarnej wynurzał się jak z chmury owal twarzy bladawej, szczupłej, bardzo delikatnej.

Sam sobie pozostawiony, bo natychmiast po spotkaniu się dziewczęta go opuściły, Roman objął wzrokiem małe podwórko, odgrrodzone od pola płotkiem z długich dylów, widocznie tymczasowym, bo niziutkim i miejscami poprzerwanym. Pod grupą drzew, z za których pobłyskiwała rzeczka, domek stary, lecz jeszcze mocny, świeżo znać powiększono, bo kawałek ścian żółtych, odbijał od czarnośći tych, które stały już przedtem. Wyglądało to na łataninę: jedne okna były nowe, inne stare; część strzechy złota od świeżutkiej słomy, a część zielonkawa od drobnego meszku. Na świeżo zbudowanej stodółce tylko połowa dachu była ukończoną, druga rysowała się na tle nieba suchemi linjami nagich krokwi. Para jeszcze budynków mniejszych i większych, kawał ogrodu zasadzony warzywem, sterczący cienkimi pniami młodych drzewek owocowych, świecący gromadką ulów błękitnych — i nic więcej.

Dość pusto i nieponętnie. Tylko drzewa grube i rozłożyste stanowiły ozdobę miejsca i uciechę oczu. Właśnie teraz jarzębiny były ubrane w grona jagód czerwonych, które iskrzyły się gdzieś pośród klonów i dębów. Najwyższy jesion już nieco żółkł u szczytu, a w dole, za ogrodem, czerniało gęste zarośle leszczynowe.

W pobliżu stodółki do połowy pokrytej, pośród białego wzgórze wiórów i drzewnego miału, dwaj ludzie, stojący na dość wysokich klockach, piłowali kłodę drzewa, złożoną na kozłach. Roman zbliżał się do nich w celu zapytania o Domunta, gdy piła przestała zgrzytać i jeden z traczy szybko zeskoczył z kloca.

— Romek! jak się masz! Bóg zapłać, że przyszedłeś! Spodziewałem się zresztą tego, ale nigdybym nie przypuszczał, że zdołasz wstać tak wcześnie! Gdzież Bronia? Już z Lunią zapewne. To dopiero dzień szczęśliwy! Moje złote dziewczątko przy mnie i ty przyszedłeś mój stary chłopcze! Nie śmieć się! Stary! bo stare to czasy, gdyśmy razem łacinowali, łobuzowali, i — złote sny śnili!

Rękawem płóciennej kurty ocierał z czoła pot kroplisty, a drugą ręką, od piły zaczerwioną, mocno ścisnął i wstrząsał rękę Romana. Mówił, jak zwykle, dużo, prędko, i wydawał się w humorze złotym. Oczy świeciły mu wesołością, wargi były purpurowe. Spojrzał na słońce, potem na towarzysza pracy, stojącego przy kłodzie, i zawołał:

— Czas południować, bratku! Zawołaj tamtych z dachu i idźcie jeść śniadanie.

A do Romana rzekł:

— Głodny jestem, że zjadłbym wilka pieczonego. Od dwóch godzin już piłą robię.

Roman zauważył:

— Nauczyłeś się godzinę poznawać według słońca.

— Po trochu, mój drogi. Cóż chcesz? piłując, albo dach kryjąc, niepodobna mieć w kieszeni zegarka.

— Zmieniasz zajęcia... sposób, doradzany przez higienę.

Szli ku domowi. Domunt popatrzał na towarzysza.

— Zdaje mi się — rzekł — że trochę ironizujesz. Czuję to w głosie twoim. Nie obrażam się wcale, ale pożałuj samego siebie i przestań głupstwa myśleć...

— Mnie bo się zdaje — z żywością odparł Roman — że to ty... że to wy głupstwo robicie. Bo po co ci taka robota? Czy nie jesteś w stanie nająć jednego robotnika więcej?

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Domunt — położenie moje jest takim, że każdy grosz oszczędzony, choćby najmniejszy, stanowi rzecz ważną. Każmirówkę biorę w dzierżawę za pieniądze, pożyczone od matki. Ale gdyby i nie to, powiedz mi z łaski swojej, dlaczego właściwie nie mam pracować w ten właśnie sposób? Dlaczego? no, pomyśl tylko i powiedz: dlaczego?

— Ależ tu wcale i myśleć niema potrzeby! Prostu dlatego, że sposobieś się do czego innego, że jesteś człowiekiem oświeconym, wyższym...

Po małym podwórku rozległ się śmiech Domunta, lecz nie wesoły tak, jak przedtem, owszem, goryczą ostrą zaprawiony.

— Wyższym! ja jestem człowiekiem wyższym!

Pochwyił rękę Romana.

— Ach, Romku, chyba ty sobie żartujesz ze mnie! Nie żartowałeś? Wierzę, ale nigdy już nie dotykaj we mnie tej struny, która milknie, kiedy piłuję, lub coś podobnego robię, ale gdy się odezwie, stu djabłów chciałbym spiłować, aby ją tylko zagłuszyć. Moja wyższość! Dajże pokój! Od kogo ja mam być wyższym? Zdaje się, że niema takiego robaka...

Nie dokończył i uspokoił się wkrótce.

— Zresztą, gdyby i nie to... Pycha, mój drogi, słusznie w katechizmie stoi na czele grzechów głównych. Słusznym też jest rozkaz, dawany na chrzcie świętym, wyrzekania się pychy. Pokora może być służalstwem i podłością, albo rozumem i cnotą. Ale to ty wszystko możesz wiedzieć i rozumieć równie dobrze, jak ja, albo i lepiej odemnie, tylko masz głowę wypchaną pacierzem za panią matką i dlatego dziwisz się bez przyczyny. Trzeba, abyśmy z sobą pomówili obszernie. Tylko nie teraz. Teraz głodnym jak wilk. Zjesz zenną śniadanie? prawda! I cały dzień w Każmirówce przepędzisz? Co ci to szkodzi? Nie masz teraz nic do czynienia. Ja po śniadaniu muszę wrócić do roboty, ale ty sobie z dziewczętami pogawędzisz, poczytasz, mam tu parę książek, a około wieczora, siądziemy pod drzewami, nad rzeczką, i długo pogawędzimy... Dobrze? Opowiem ci wszystko, mój dobry, stary chłopcze!

Roman uściśnął mu rękę, stanęli obaj pod oknem otwartym, znajdującym się w starej części domu. W nowej nie było jeszcze pieców; tu ogień palił się na dużym kominie, a przy nim, w towarzystwie, czy pod dowództwem starej kobiety, ubranej po wiejsku, Bronia i Lunia krzątały się szczebiocząc. Właściwie szczebiotała Bronia; Lunia, spostrzegłszy brata, zwróciła ku niemu twarz bledziutką, w czarną gęstwinę włosów oprawioną, i przemówiła:

— Będziesz miał dziś, Kaziu, na śniadanie takie kartofle, jakie najlepiej lubisz. Sama ci je przyrządzam.

Mówiła i poruszała się z powagą, głos jej był przyciszony i melodyjny. Miała pozór boginki, dozorującej garnka kuchennego.

— Byleby prędkiej, małeńka, bo jeść mi się chce piekielnie i — gościa mamy!

Odeszli od okna i skierowali się ku rzeczce.

— Jaka ona ładna! Prawda? — zapytał Domunt.

— Kto? twoja siostra? Śliczna istotnie. Rysy regularne, włosy przepyszne, ale jest w niej coś niezwykle delikatnego i jakby — smutnego.

Spojrzał w górę.

— Wspaniałe drzewa!

— Codzień błogosławię tego, co je zasadził — odparł Domunt. Jest to mój dobroczyńca bezimienny. Dobrze mi będzie pod nimi...

— Czy wcale już nie masz majątku? — zapytał Roman.

— Najmniejszego. Marceli oddawna już spłacił mi moją część Kaniówki. Wróciłem tu ze świata goły jak bizun i gdyby nie matczyśko poczciwe, nie miałbym nawet za co wziąć tej dzierzawki. Ale ona tam miała jeszcze kilka groszy, które mi pożyczyła...

— I nie miałeś już przed sobą żadnej drogi innej?

— Owszem, owszem, Marceli wzywał mię do siebie, złote góry obiecywał...

— Nie chciałeś?

Energicznie wstrząsnął głową.

— Za nic!

— Rozumiem i nie rozumiem — z wahaniem wymówił Roman.

Domunt ręką machnął.

— Bo masz głowę pełną pacierza za panią matką!

Stanął, rozejrzał się dokoła, po polu rozległym, po widzialnym kawałku łąki, po rzeczce, drzewach, ogrodzie z młodziutkiemi drzewkami i błękitnymi ulami.

— Oj, rękawy zawinę i do głowy po rozum chodzić będę! Uprawiać, zasadzać, ulepszać, siać na zagonach ziemi i na mózgach ludzkich... gmach roboty i nadzieja plonu! Powiadasz, że wyższy nad taką robotę! Śmieję się z tego! Jam jej jeszcze nie godny i cała moja godność w tem tylko, że przystępuję do niej z pokorą i ze świadomością, że się zadłużył i muszę spłacić długi... z ochotą także... z wielką ochotą!...

Wyprostował się, włosy z czoła odgarnął, Romanowi się wydało, że urósł, zmężniał, i że napenił go oddech szeroki i silny. Chorobliwą białosć jego twarzy pokrywać już zaczął cień ogorzeliżny i uspakajała się pod nią ruchliwa sieć nerwów. W oczach, przesuających się po widnokregu, płonęła ta ochota, o której mówił, i świecił ten rozum, po który miał chodzić do głowy.

Roman, przenikliwie na niego patrząc, zapytał:

— Wszystko to włożył ci do głowy Stefan, prawda? Wydobył z niej pacierz za panią matkę, a włożył natomiast...

— To co ty rozumiesz i nie rozumiesz — podchwycił Domunt — tak, on uratował mię od dwóch rzeczy ostatecznych: od śmierci przedwczesnej i ciemnoty grubej...

— Od ciemnoty?...

— Tak; na najważniejszą prawdę życia.

— Wielki Boże! — zawołał Roman — gdzie jest ona? Albożem także jej nie szukał i nie pytał o nią!... Wszyscy szukają i pytają...

— To historia długa, mój drogi. Opowiem ci ją przy końcu dnia, bo teraz... Oto co teraz, słyszysz?

Z otwartego okna domku wychyliły się dwie główki dziewczęce, z których jedna donośnym i melodyjnym głosikiem wołała:

— Kaziu, Kaziu, czy tu przyjdziecie na śniadanie, albo może przynieść je wam pod drzewa?

— W mig przyniesiemy! — cieniutko przywtórzyła druga.

VI

Opowiadanie Domunta trwało niedługo, bo historia nie była długa, ani nie zwykłą; tylko zakończenie jej było niezwykłym.

Początek taki: ród szlachecki zamożny, życie dość szerokie, w którym nie było przepychu, ale było wiele tego, co, będąc zbytkiem, uchodzi za skromny dostatek. Dwór stary i wygodny, jakieś półtora tysiąca morgów ziemi nienajlepszej i nienajgorszej, z lekkim ciężarkiem małych długów. Stary Domunt, jako jedyny posiadacz tego wszystkiego, był dość majątnym, ale czterech synów i trzy córki uznawano powszechnie za gromadę zbyt dużą, aby na Kaniówce lub na jej działach mogła żyć dobrze. Uznawano powszechnie, że gdyby ta gromada podzieliła się Kaniówką, każdy z jej członków zszedłby na chłopą; chociażby nawet wiele uczył się i nauczył, musiałby zejść na chłopą, ale dla wyniku tak niesłychanie skromnego, nawet nie było warto się uczyć. Ztąd, prawie bez naradzania się, samo przez się, siłą rzeczy, powstało w rodzinie przekonanie, że bracia uczyć się muszą i będą dlatego, aby mózgi żyć bez Kaniówki, czyli, aby zdobywać karierę w świecie. Gdyby ojciec wcześniej ustąpił był z areny życiowej, zapewne jeden z braci pomyślałby o pozostaniu w domu, jakkolwiek zawsze byłby to los Kopcuszcza, bo Kaniówka, z obowiązkiem

splacenia części, należnych rodzeństwu, pożał się Boże! Ale ojciec żył i rządził majątkiem wtedy jeszcze, gdy wszyscy czterej rozproszyli się po różnych drogach i dążyli do celu, którym był zrazu byt zapewniony, a potem największe możliwie wzrastanie w fortunę i dostojęstwo. Ponieważ zaś w tych czasach niepodobna było chadzać drogami poblizkimi, rozproszyli się po dalekich. Sprawa cała była prostą, jak dzień dobry, zupełnie poprawną, zupełnie też pospolitą, a z upływem czasu ginącą, jak ziarno maku w korcu spraw takich samych i coraz liczniejszych. Ani aktorowie, ani widzowie, nie mieli jej do zarzucenia rzeczy najmniejszej; owszem, pierwsi czuli się w prawie do aplauzu za energię i przedsiębiorczość, drudzy aplaudowali. Ślicznie. Tylko, że jeden z braci sprawiał zrazu trochę kłopotów. Z naturą burzliwszą od innych, czy gorzej naginającą się do reguł szkolnych, może z umysłem mniej systematycznym, albo temperamentem mniej wytrzymałym, Kazimierz zmienił parę razy wydziały uniwersyteckie, nie mógł odrazu zdecydować się na obranie sobie zawodu specjalnego, stracił trochę czasu. Może go coś pociągało do Kaniówki, bo po jednych wakacjach nie zdołano go wypchnąć nigdzie; cały rok przesiedział w domu. Zaczynało to być groźnym; rodzina zatroszczyła się o syna i brata. Osadzenie go w Kaniówce nikomu na myśl nie przychodziło, bo byłoby poprostu zgubieniem chłopca roztropnego i zdolnego, który mógł tak, jak i bracia, robić karierę, a tylko chwilowo popełniał głupstwa. Miałże ekonomować ojcu, czynnemu jeszcze i dość despotycznemu, albo zagrzebać się na wydzielonym mu kawałku Kaniówki? Ktoś bąknął o przemyśle, o osiedleniu się w mieście sąsiednim z jakimś handlem lub rzemiosłem, ale wniosek ten odrzuconym został z oburzeniem. To dobre dla idiotów lub mizeraków ostatecznych. On miał zdolności umysłowe nie mniejsze od innych, trochę majątku, stosunki rodzinne, a wśród nich krewnego, który w jednej z największych stolic europejskich dorobił się fortuny milionowej na drodze spekulacji przemysłowych i pieniężnych. Ten krewny Domuntów słynął za głowę finansową pierwszego rzędu, stał na czele paru bardzo znacznych przedsiębiorstw finansowych. Wysłanie do niego Kazimierza po chleb i przyszłość zdawało się wprost wskazanem; istnienie jego w rodzinie, prawie opatrnościowem. Wprawdzie dochodziły tu o nim pogłoski takie, o jakich rodziny słuchać i głośno mówić nie lubią. Na tem słońcu były plamy, podobne do gangreny. Cóż to znaczy i cóż to szkodzi? Dorobił się milionów, więc i Kazimierz, stawszy się jego pomocnikiem i uczniem, może dorobić się ich także, nie zarażając się przeto gangreną. Pocóż zaraz miałby się zarażać? Z pożytecznego skorzysta, szkodliwego uniknie i po wszystkim. Zresztą, czy to, co szepcą, jest jeszcze prawdą? Daleko trudniej stwierdzić gangrenę na ciele milionera, niż biedaka, u którego ona wylazi na wierzch przez dziury w odzieży! Więc może przesada, może i potwarz. Tyle potwarzy ściga zawsze człowieka, któremu się powiodło! Chłopakowi zapaliło się w głowie od perspektywy przebywania w wielkiej stolicy zagranicznej, zostania pomocnikiem wielkiego finansisty, zrobienia, w czasie może niedługim, wielkiej fortuny. Napisano do krewnego. Odpisał serdecznie. Kazimierz puścił się w drogę z głową pełną marzeń, które zaraz, od pierwszego kroku w świecie nowym, urzeczywistniać się zaczęły.

Zdarza się nierzadko, że w sercu Midasa, któremu wszystko w świecie przemieniło się w złoto, istnieje strunka drobna, lecz nieśmiertelna, która przy dotknięciu wydaje ton czysty i serdeczny. Może to jest dowodem, że nawet w Midasie istnieje coś takiego, co ani na kruszec zamienionem, ani przez ciało pożartem być nie może, albowiem nie jest z kruszcu, ani z ciała. Krewny milioner przyjął Kazimierza z otwartymi ramionami, a dopatrzwszy w nim podobieństwa wielkiego do swojej ciotecznej siostry, którą za młodu bardzo lubił, już go z domu swego nie wypuścił i do członków rodziny najbliższej zaliczył. Była to właśnie chwila powstawania wielkiego przedsiębiorstwa finansowego, którego Kazimierz stał się odrazu urzędnikiem i spółnikiem. Po śmierci ojca wziął od brata zapłatę za swoją część Kaniówki i pod życzliwym przewodnictwem Midasa zaczął nią robić, zdziwiony i zachwycony, że poprostu w oczach mu rośla. Nie obchodziło się to bez pracy twardej, często gorączkowej, ale on do niej okazał się zdolnym i ochotnym. Znaczną część dni, czasem i nocy spędzał nad cyframi lub w czynnościach innych, do jego położenia w przedsiębiorstwie przywiązanych. Zato w przestankach bawił się, używał. Midas lubił go stale i podwyższał szybko jego stanowisko w przedsiębiorstwie i otaczającym towarzystwie. Oprócz owej strunki niezgasłych przywiązań rodzinnych, były inne przyczyny faworu wyjątkowego. Chłopak roztropny, żywy, z powierzchownością przyjemną

i obejściem się, jednajacem sympatię i zaufanie, był dla robót Midasa narzędziem bardzo pożytecznym. Przedsiębiorstwu, będącemu spółką olbrzymią, jednał spółników. Dzięki swojej żywości, elegancji, a z innej strony pewnej wrodzonej dobroduszości, umiał wszędzie wejść i ze wszystkimi mówić. Wiara jego w moc i rzetelność gmachu midasowego była tak szczerą, że zarażał nią innych. Powstanie takiej wiary w umyśle dość byстрыm z natury, miało przyczyny bardzo proste i prawie konieczne. Brakowi doświadczenia i zapalczywości charakteru dopomagała tu wdzięczność. Czuł się bardzo wdzięcznym temu, który go dobrodziejstwami osypywał. Dzięki jemu, żył w zbytku i uciechach najrozmaitszych, miał też przed sobą przyszłość pełną zbytku i uciech. Był podobnym, aby tych dobrodziejstw nie usiłował odwdzięczać ze wszystkich sił swoich? Odwdzięczał. Pracował sam, nieraz nad siły, i do ołtarza, któremu służył, przyprowadzał ofiarników. Dzięki jemu do kasy midasowej lał się wążutki zapewne, ale nieustanny strumyk złota. Był pewnym, że urosnie on w rzekę, z której pełnemi haustami pić będzie zawsze sam i pić będą ci wszyscy, którym on szczęście to gotował, służąc zarazem Midasowi.

Teraz, ilekroć z oczami zamkniętymi myśli o kilku latach przebytych w kuźni Midasa, widzi zawsze obraz szczególny. Jest to przestrzeń niczem nie obwiedziona, kolistą, napełnioną światłem gazowym czy elektrycznym i mgłą, podobną do szampana musującego, bo złożoną z mnóstwa kropelek złotych, drobniutkich, dokoła siebie wirujących. W tem świetle sztucznym, w tej mgiełce złotej i ruchliwej, w zmieszanych zapaszkach gazu, wina, perfum i sadzy, przesuwały się i krążyły obrazy rzeczy i ludzi najrozmaitszych. Są to korowody kobiet z bukietami lub wachlarzami w rękach i mężczyzn z piersiami jaśniejącymi od honorowych odznaczeń, ramiona w czarnych rękawach, wznoszące kielichy toastowe, plecy w surdutach wytartych, zgięte w kształt pół obręczy nad stołami do pisania, nogi motyle na deskach scenicznych, fraki, białe krawaty, szmery jedwabiów, muzyka, powozy z grzotem kół wjeżdżające w bramy wysokie, stoły do uczt nakryte, albo kartami zasypane, albo takie, na których piętrzą się papiery pełne cyfr... Cyfry! ach, te są wszędzie! Na twarzach i sukniach ludzkich, na obnażonych ramionach kobiecych, na frakach, wachlarzach, plecach zgiętych w kształt pół-obręczy, w żrenicach rozpalonych, na włosach siwych, na szafie żelaznej Midasa. Krąży one dokoła głów ludzkich, z ust wylatują, roją się w powietrzu, ziemia niemi usłana i niebo zakryte, latają, rozmijają się, układają szeregi nieskończone, tworzące pojęcia ilości niepojętych. Wszystko to razem pod zamkniętymi powiekami idzie, wiruje, zaciera się, rozprasza, powstaje znowu, ścisza się w tłumy, rozciąga w szeregi... Zawsze w przestrzeni kulistej, jak w globie napełnionym światłem gazowym, mgłą musującą mirjadami kropelek złotych, mieszaniną zapaszków gazu, wina, perfum i sadzy. Sarabanda! Kaźmierzowi wystarcza, aby oczy zamknął i dłonią je przysłonił, już jest przed nim! Świeci, tańczy, pachnie, mieni się, jak Salamandra... Mołoch, żrący plemię ludzkie, bestja apokaliptyczna...

W człowieku, który z oczyma, zasłoniętymi dłonią, nagle zgnębiony wyrzekał na doświadczane wizje chorobliwe, łatwo było odgadnąć cierpienie dojmujące, bez znajomości nawet wszystkich jego przyczyn.

— Daj pokój, Kaziu — rzekł Roman — otrząśnij się z tych wspomnień, jeżeli cię tak trują!

Domunt, jak ze snu obudzony, spojrział dokoła. Słońce blizkie zachodu ukryło się za lasem, obrastającym wzgórze, więc dziedzińczyk i otaczające go pola stały w świetle czystym jeszcze, lecz trochę już przyćmionem. Nad rzeczka, od której wiała świeżość wody źródlanej, tuż przy rozmawiających kwitły kępy spóźnionych niezapominajek, a dalej nieco jaskółki krążyły nisko nad mokrym brzegiem, szukając żeru na liściach ogromnych grzybieniów. Pod niebem robiło się różowo i złoto od obłoków, które nasiąkały światłami zachodu.

Z otwartych drzwi domku wyszły dwie niedorośle dziewczynki, obejmując się, przeszły dziedzińczyk i usiadły na białym pagórku z wiórów. Bronia położyła na kolanach książkę otwartą, nad którą obie się pochylały. Domuntówna wyższa nieco, zarzuciła ramię na szyję przyjaciółki i twarz zbliżyła do jej twarzy; wtedy, głowy ich przybrały podobieństwo uderzające do tych kamei, które ukazują, na przezroczu rumianem, dwa wysuwające się z za siebie profile dziewicze. Już ukończyły zajęcia gospodarskie i uzbierały mnóstwo orzechów wśród leszczyn pobliskich; teraz, z oczyma utkwionymi w książkę, siedziały ci-

chutko na pagórku z wiórów, pod stodołą, której nowa strzecha świeciła wysoko, jak odłam bladego złota.

— Luniu — zawołał Domunt — chodź do mnie.

Zerwała się, przebiegła dziedzińczyk i pod drzewami przed bratem stanęła. Nie zmieniając postawy, tylko ze wzniesionymi ku niej oczyma Domunt rzekł:

— Pocałuj mię, maleńka!

Pochyliła się, mocno pocałowała go w czoło.

— Cóż dalej? — zapytała.

— Nic; wracaj z kąd przyszłaś.

Uśmiechnęła się i odbiegła.

— Kiedy odjeżdżałem z domu miała lat cztery i była śliczną, jak marzenie. Przepadałem za nią, nosiłem ją na rękach, matka żartowała, że kiedykolwiek uduszę ją, całując. Potem, w świetle, wspominałem ją częściej, niż kogokolwiek z rodziny. Nic dziwnego; kochać siostrę, to naturalne, zwłaszcza małą, tyle młodszą. Ale, co dziwne, to że, gdy powrócił, długo nie śmiałem jej pocałować. Zdawało mi się, że coś niewidzialnego odpycha mię od niej, że nie wart pocałunku dobrego dziecka, i że on je splami.

Bo kiedy runął gmach, wznoszony przez Midasa, z gruzów jego wytrysnęła fontana błota i oblała nie tylko architekta, lecz także pomocnika głównego, ciecżą czarną i cuchnącą. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Ucho midasowego dzbana było mocne i trwało długo, ale nie należało do tych, które trwają wiecznie, bo są i takie. Urwało się; z rozbitego dzbanka wyciekło na jaw oszustwo przemyślne i mądre, nie tyle przecież mądre, aby nie mogły zakraść się do niego omyłki, które go zgubiły. Niewiele przed katastrofą, złowrogie przebliski prawdy zaczynały już dręczyć współnika szczęśliwego i najgorliwszego z pomocników, ale odwracał się od nich, lękając się ubliżyć dobroczyńcy, nie mając siły rękoma własnymi rozrywać złotej nici życia wesołego i bezpiecznego. Więc, gdy prawda stanęła przed nim naga, obłana światłem, które odsłaniało wszystkie jej przyczyny i następstwa, doświadczył uczucia skończenia świata. Ruina — ale czyja? Jego własna? Był to już pyłek tak drobny, że stracił go prawie z oczu, oślepionych widokiem ruin, które zaległy dokoła, a których części pewnej on był sprawcą, on sam, bezpośrednim, czynnym, odpowiedzialnym sprawcą. Zabrano mu wszystko, co posiadał; on w dodatku do mienia byłby oddał życie, aby nie widzieć i nie słyszeć tego, na co patrzeć i czego słuchać musiał, dopóki nie zamknęły się za nim wrota więzienne. Wielki Boże! Dziś jeszcze dość mu zamknąć oczy, aby ujrzeć pod powiekami czaszkę tego małego urzędnika z biur midasowych, roztrzaskaną wystrzałem pistoletowym. Otaczało ją z krzykami rozpaczki kilka istot młodych lub małych, jedna z nich, dziecko, namiętnie do ojca przywiązane, całowało siwe i okrwawione włosy. To niby najstraszniejsze. Niby, bo było mnóstwo rzeczy prostszych, które pod pozorami powszednimi miały bezdnie krzywdy i nieszczęścia. Kto nie doświadczył, ten nie pojmie, czym jest dla człowieka spadające mu na głowę przekleństwo ludzkie, zasłużone, sprowadzone czynem własnym, niewątpliwym. Jemu ono ugrzęzło w mózgu, na podobieństwo komara, który, zakradłszy się do ucha człowieka śpiącego, brzęczeniem nieustannym wprawia go w obłąd. Nie jeden taki komar, ale ich wiele uwięzło w masie, napelniającej jego czaszkę. Zgubieni przychodzili tłumnie, uporczywie; ani uciec, ani ukryć się nie mógł przed ich twarzami przerażonymi, zapytaniami, wyrzutami, pogrózkami, bo od razu w połowie uwięziony stracił swobodę ruchów. Zrazu gniewał się, sarkał, usiłował zabić w sobie poczucie winy własnej. Alboż chciał tego, co się stało? Alboż znał dno rzeczy, dla której pracował? Alboż nie jest jej ofiarą, tak jak i tamci? Ale to dobrowolne oniemianie sumienia trwało niedługo, poczem szybko spuszczać się zaczął na nie ciężar coraz większy, ogromny, wprost już do niesienia niepodobny — sto pudów! Stało się na koniec tak, że gdy zamknięto za nim drzwi celi więziennej, powiedział sobie: sprawiedliwie! i uczuł ulgę. W ogniu hańby przepalał się i nieco umniejszał ciężar, przywalający sumienie. Jedno za drugie! — myślał. Byłby wolał oddać życie, ale nikt wcale zabierać mu go nie chciał; hańba, od śmierci gorsza, wydała się mu niejakiim odwetem, sprawiającym ulgę. Teraz wie, że był to przeblisk pojęcia o pokucie, o opłaceniu potem własnym i krwią własnego serca tej krwi i tych potów śmiertelnych, którymi oblał innych. Wówczas to pojęcie nie było w nim ani jasnym, ani ujętym w słowa; jednak w samotności, nudzie i wielkiej męce więziennej, na indagacjach, które oblewały go rumieńcem obrazy poskramianej, na ławie

oskarżonych, przez dwa dni śmiertelne, przez które w obliczu stolicy wielkiej ważyły się losy jego czci i przyszłości, mówił sobie ciągle: sprawiedliwie! sprawiedliwie! Najcięższe z tych mąk były właśnie temi, które sprawiały mu najwięcej pociechy tajemniczej, kładącej maść kojącą na tę z ran jego, która krwawiła się najsrożej — pod brzemieniem stupudowem. Wtedy dopiero, gdy usłyszał słowo: niewinien! gdy powiedziano mu, że wraca do ludzkości, jako jej członek, wolny i poważania godzien, wtedy dopiero, gdy zdjęto z niego wszystkie ciężary, oprócz tego jednego, który był w nim samym, uczył się bez granic i bez pociechy — nieszczęśliwym...

Umilkł teraz, wzruszony, zmęczony, a na Romana spojrzawszy, zmieszał się i zadziwił.

— Co to, Romku? Łzy masz w oczach! Nie odwracaj się, nic nie pomoże, bo już widziałem! Żałujesz mię, mój dobry stary!

Roman, walcząc ze wzruszeniem, zawołał:

— Pal djabli spekulantów, rabusiów, bankrutów! Ale to sobie powiedz, że w tym wypadku na ławie oskarżonych siedział człowiek z wielką duszą!

— Któż to był taki? Ja... ja niby?... O, Boże! Nic podobnego! Mizerakiem wszechstronnym byłem podówczas i dopiero teraz dźwigać się zaczynam. W tym kącie zapadłym są zioła, z których cieką balsamy. Kiedym już postanowił był osiąść w Kaźmirówce, stary pan Romuald swoim zwyczajem zaczął żałośnie głową kiwać: „Co ty wymyślasz, kotku — prawil z oburzeniem — co wyrabiać zamierzasz? Ależ ty w tej norze ani kawaleczka pasztetu mieć nie będziesz”. Patrz, patrz, Romku! Twoje oczy wilgotne, twoja przyjaźń pocziwa — czy to nie pasztet?

Bo teraz przyjaźń, współczucie, czystość serca i myśli były dla niego nowalją. Odwykł był od nich, przestał był wierzyć w samo ich istnienie. Przed katastrofą pysznił się i cieszył tem, że go kochano, że mu sprzyjano, że niemało ludzi wprost przepadało za nim. Kapał się cały w dymie wonnym i ciepłe przyjemnem, które owiewały krewnego Midasa, młodzieńca, mającego przed sobą przyszłość midasową. Ani przypuszczał, że to blask tarczy złotej, pod którą ukazał się światu, czyni go tak ponętym. Mniemał, że jaśniej światłem własnem i dobywa iskry z serc ludzkich krzesiwem przymiotów własnych. Po katastrofie przekonał się, że był tylko cyfrą, dopisaną do pewnej sumy, którą należało przekreślić, gdy tylko suma zniknęła. Noszono go na rękach nie za to, jakim był, ale za to, kim był i kim być mógł w przyszłości. Jego zalety osobiste stanowiły tylko dodatek przyjemny do rzeczy, stokroć od nich ważniejszej. Gdyby ich nie posiadał, t.j.: gdyby nie był młodym, przystojnym, przyjacielskim, skorym do pracy, zarówno jak do zabawy i do wspaniałomyślnych przysług, gdyby nawet był czemś wprost przeciwnem, noszonoby go na rękach również, tylko z mniejszą przyjemnością. Suknia z niego opadła i ludzie względem niego zmienili się do gruntu. Jednakże był tym samym, co przedtem, z jedną przyczyną więcej, aby go kochano. Bo powszechna nędza ludzka wskazuje wyraźnie, że najważniejszą przyczyną do kochania człowieka jest jego nieszczęście. Ale znajduje to w świecie tłómaczenie zupełnie odwrotne: kochanymi są tam tylko chodzący w sukniach pomyślności, zaś przyodziani w boleść stają się zawalidrogami, których należałoby wyrzucać za drzwi życia, bo są do życia niezdatnymi. Przez litość daje się im jałmużna z grosza, jeżeli o nią proszą; jeżeli nie proszą — zapomnienie. Jedyłą ich zasługą może być jeszcze: pozwolić zapomnieć o sobie.

Tak jest w świecie, który nazywa się chrześcijańskim; w warstwach społecznych, które się nazywają najwyżej ucywilizowanymi. Tak jest na punktach ludzkości, poczytywanych za najbardziej oddalone od tego stanu pierwotnego, w którym każdy dzikus, z pękiem liści dokoła nagich bioder, chadza, poluje, cierpi głód i obżera się — sam jeden.

A jednym z ironicznych pociągnięć pędzla na obrazie ludzkości jest to właśnie, że człowiek nieszczęśliwy, najmniej mogący być kochanym, najwięcej tego potrzebuje. Sprowadza to zjawisko uderzania sercem o mury, z którego niejednokrotnie wypływa zanik serca; zdarza się przecież, że pozostaje ono całem, tylko nalanem po brzegi trucizną zwątpienia o ludziach i sobie.

Kazimierz Domunt powrócił do Kaniówki tak ogołoconym z mienia, że w drodze przymierał głodem. Tu, Argonautę, który zamiast runa złotego przyniósł do domu hańbę, chorobę i nędzę, spotkały udręczenia nowe. Dom stary upadał w ruinę, w ogrodzie rozległym drzewa usychały. Matka płakała, jeżeli nie łzami, to mimowolnemi westchnieniami, siostry starsze, w domu pustym i smutnym, wiedły, jak kwiaty bez słońca, najmłodsza

zrazu go nie poznała. Bracia daleko, majątek w dzierzawie, pustka, beczynność. Dokoła również pustka i cisza. Cisza nie taka, jaka w dzień pogodny panuje nad polem, okrytem żniwiarzami, ale taka, jaka rozlega się nad cmentarzem, gdzie niema już żadnej roboty, bo umarli śpią, a żywi — odeszli. Dlaczego? Dlaczego? Gdzie są ci, których głowy, głosy, serca, ręce, powinny życiem napępiać miejsca, od których wzięły życie? Są tam gdzie on był, żyją dlatego, dlaczego on żył. Gra im pobudka ta sama, która grała jemu. Tylko że z nich nie spadły suknie pomysłowości. Z niego spadły, więc powrócił. Powrócił, gdy stał się lachmanem, wyrzuconym na śmietnisko. Z tamtych niektórzy powrócą także, lecz wtedy dopiero, gdy starość im włosy z głów i siłę z żył wyżenie. Więc ta ziemia, to powietrze, to niebo, są śmietniskiem, na które pada to tylko, co gdzieindziej zbrudziło się, albo podarło, a od którego uchodzi wszystko, co świeże i mocne! Myśli te podnosiły w nim oburzenie, nadewszystko — przeciw samemu sobie. Nic zresztą nie mógł robić, ani przedsiębrać, bo nic już tu do niego nie należało. Kilka długich tygodni beczynności absolutnej i zupełnego sam na sam z sobą, doprowadziło go na dno przepaści, zaludnione takimi widmami, że doświadczył żądzy ucieczki chociażby przez wrota śmierci.

Najmłodsza z sióstr garnęła się do niego, śpieszyła z oddawaniem mu przysług drobnych, przypominała dawną jego dobroć dla niej, o której przechowała mętne wspomnienia. Ale on ją obojętnością udaną ranił i zrażał. Nie czuł się godnym przyjaźni i pieczy tego dziecka. Ta niewinność nie powinna była bratać się z blizką z krwią i błotem, które go okrywały. Lunia martwiła się i dziwiła. W jej wyobraźni dziecinnej bracia prawie nieznanymi stali się bohaterami jednego z tych mytów, które błądzą po wyobraźniach dziewcząt, wzrastających w odosobnieniu od świata i mających w sobie zarody marzycielstwa. Wyidealizowała ich, modliła się za nich i — do nich. Nikt nie myślał o wyprowadzaniu jej z błędu, który zresztą dla matki szczególnie wcale nie był błędem. Jakikolwiek cień padały na obrazy tych drogich nieobecnych, ukrywała je przed samą sobą, cóż dopiero przed dzieckiem najmłodszym; światła, jakiegokolwiek były, prawie pomimowoli zwiększano tu i wysuwano naprzód, nietylko przed obcymi, ale przed samymi sobą.

Raz tedy, u stołu, dziewczynka rozgadana, co zdarzało się z nią bardzo rzadko, głosić poczęła sławę swoich bohaterów. Pod światłem lampy, wiszącej nad stołem, z oczyma, płonącymi zapalem, pod gęstwiną włosów kruczych, palcem jednej ręki przebieając palce drugiej, wyliczała:

— Pierwszy: Marceli. Wcale go nie pamiętam i tylko z fotografii wiem, jak wygląda. Rozumny, jak nikt w świecie. Przedsiębiorstwa ogromne prowadzi i interesy świetne robi, takie trudne interesy, że komu innemu głowa pękłaby od nich, ale jemu się udają, bo jest nadzwyczajnie rozumny, energiczny i pracowity. Już jest bogaty, będzie jeszcze bogatszy, powróci do Kaniówki, kiedyś, kiedyś, gdy wszyscy już będziemy starzy, będzie żył z nami i będzie nam wszystkim bardzo dobrze. Drugi: Adzio; tego troszkę znam, bo dwa lata temu był tu przez cały miesiąc. Taki ładny, ładny i wesoły; tam, gdzie jest, wszystkie panny w nim się kochają. Trzeci: Feliś, nie taki ładny, jak Adzio, ale za to pracowitszy... taki pracowity, że nie chce nigdy oderwać się od swojej pracy i choć na miesiąc do nas przyjechać. Za to, chociaż młodszy, ma już wyższe miejsce od Adzia i wszyscy mówią, że będzie miał prędko coraz wyższe, coraz wyższe. Czwarty: Kazio...

Tu zatrzymała się, oczy jej utkwily w twarzy jedyne z jej bohaterów, który był obecnym. Po chwili z wybuchem zawołała:

— Kazio dobry, dobry... pamiętam, jak lubił i pieścił mię, kiedym jeszcze była bardzo małą. Dobry i szlachetny... najlepszy, najszlachetniejszy ze wszystkich ludzi, którzy są na świecie...

Trudno powiedzieć, dlaczego przymioty dobroci i szlachetności, zajmujące najwięcej miejsca w jej mycie dziecinnym, skupiły się głównie na jednym z braci. Może było to sprawą wspomnień najkłiwszych, wzmianek i rysów tu i owdzie pochwytyanych, dość, że w ten sposób go określiwszy, zerwała się z siedzenia i z otwartymi ramionami do niego biegła. Ale on, pobladły zrazu, potem z twarzą zarumienioną i drgającą, usunął ze stukiem krzesło, na którym siedział, i wybiegł z pokoju wprzód, nim ktokolwiek jedno słowo przemówić zdołał. Matki i siostry rozeszły się, milcząc i wzdychając, Lunia płakała w ciemnym kątku. On chodził po oddalonej części ogrodu. Boże! Boże! Co to dziecko wygadywało! Cztery bohaterowie: jeden majątek ogromny zbiera; w drugim wszystkie panny się kochają; trzeci dostaje miejsca coraz wyższe; czwarty, on, Kazimierz, najszla-

chetniejszy i najlepszy z ludzi... cha, cha, cha, cha! Czemuż nie powiedziała: rabuś, ban-krut, świeży wyzwolenc turmy... O, dziecko nieszczęsne, którego wyobraźnię sposobią do lotu sny o bohaterach — takich!

W ogrodzie kaniowskim był staw obszerny, który niegdyś zdobił dwór ten szybą kryształową, a teraz, nieco już zamulony, z brzegami wysychającymi, zieleniał zdala powierzchnią, okrytą pleśniami. Ale drzewa rosły nad nim tak, jak dawniej, a wśród nich cztery sokory młode, lecz już wysokie, które w języku rodzinnym Domuntów nosiły imiona czterech synów rodziny. Stary Domunt, zwyczajem tradycyjnym w wielu domach, zasadzał był własnymi rękoma każde z tych drzew, w roku przybywania na świat każdego z synów. Sokora Marcelego miała względem innych wysokość i powagę siostry najstarszej; Kazimierz stanął przy swojej, objął ją ramieniem i do jej pnia przycisnął zimne czoło.

Wieczór wiosenny pachniał wilgocią świeżo spadłego deszczu i migotał gwiazdami z za obłoków, przelatujących pod niebem z szybkością fal, pędzonych wiatrem. Mięliste liście sokory, z którymi wiatr igrał, sprawiały szmer podobny do łopotu skrzydeł, a lipy, w pobliżu rosnące, szumiały inaczej: basowo i mięko. W tych szumach rozmaitych staw połykiwał z jednej strony, jak szyba srebra przygasłego, z drugiej zapadał pod lipami w ciemność otchłaniową. Po niedawno minionej zimie świat był jeszcze surowy i chmurny, niemniej bardzo piękny.

Kazimierz stojąc pod sokorą, łopocącą liśćmi jak skrzydłami, nie widział świata, ani jego piękności. Za chwilę, wszystko, co jest pięknem, i wszystko, co jest szpetnem, miało dla niego zniknąć na zawsze. Nie czuł rozpaczy, ani nawet smutku. Ręce i czoło miał zimne, jak lód i cały był zimny, zarówno moralnie jak fizycznie. Nikogo i niczego nie żałował, wszystko przybrało w jego oczach rozmiary drobnostek bez znaczenia i bez wartości, wobec tego czegoś nieznanego a wiekuistego, które wnet odsłonić miał przed sobą ręką własną. Od wielu, już dni myślał nad tem, co czekać go może tam... po drugiej stronie... Na dnie duszy doszukał się myślą pewności, że Bóg istnieje, a wraz z nim dobro i miłosierdzie, których na ziemi nie znalazł. Było mu za nimi strasznie tęskno. Tu pozostać nie chciał już za nic. Z uczuć ziemskich miał jeszcze jedno tylko, słabe zresztą i którego ani spostrzegwał w sobie, ani nazywał. Była to słaba, niewyraźna tkliwość dla tego drzewa, do którego latorośli szczuplej przyprowadzała go matka, gdy ledwie zaczynał chodzić, i, wskazując mu ją, mówiła: „patrz! to twoja sokora! Tamte Marcysia... Adzia... Felisia... a ta twoja!” Potem przywiązywał do pnia cieniutkiego czółno, którem, wyrostkiem będąc, pływał po stawie, potem jeszcze w niedużym jego cieniu czytywał pierwsze książki i snuł pierwsze marzenia młodzieńcze. Teraz z całego świata jedno to drzewo obudzało w nim tkliwość niewyraźną; dla tego obejmował je ramieniem i do pnia jego przyciskał czoło. Ona, ta sokora rodzinna, jego własna, jedyna już na świecie rzecz jego własna, i nie wiedząca o niczem, co z nim było, przyjmie go w ramiona, które nad jego głowę, śpiesznie, głośno łopocą liśćmi mięsistymi, jak skrzydłami.

Podniósł głowę i rękę; pomiędzy liście łopocące wpadła jakaś rzecz obca i jednym końcem zawieszony się na gałęzi, drugim gubiła się w palcach, które ją wiązały w kształt, osłonięty cieniem gałęzi. Zanim jednak te palce zimne i nie śpieszące się, bo stanowcze, roboty swojej dokończyć zdołały, ogarnęła je żelaznym uściskiem ręka jakaś, a druga, nie pozostawiając na opór ani sekundy czasu, za ramię go pochwyciła i od drzewa oddepchnęła. Zarazem w grubym cieniu chmur, nadlatujących gromadnie, głos przytłumiony przerażeniem i gniewem przemówił.

— Tak, tak! przewidywałem to, lękałem się tego... Kiedy przyjechałem i powiedziano mi, że od godziny już chodzisz po ciemnym ogrodzie, poszedłem szukać cię, prawie pewny, że tak znajdę... Boże wielki! jakież to wszystko dusze słabe i marne! Czy nie dasz nam już silniejszych i większych?

Z westchnieniem ogromnem, które podniosło pierś mówiącego, wzmógł się też gniew, z którym mówił dalej. W żelaznej ręce trzymając ciągle rękę pojmanego mówił dalej.

— Broić umiałeś, a od naprawy i odpowiedzialności — zmykasz! Lubileś grać w piłkę z życiem, a kiedy ono zmienić się musi w lemiesz — zmykasz! I może jeszcze myślisz, że kopnąć nogą życie, kiedy ono przestało być rozkoszą, to męztwo lub bohaterstwo! Wyperswaduj to sobie. Nic łatwiejszego, jak być uciekinierem, w znaczeniu każdym. Każdy kiep to potrafi. Tylko kpy i tchórze biorą nogi za pas przed pierwszym lepszym strachem.

Wielka mi rzecz skończyć rachunki z życiem! Nie, kotku! Nie masz prawa. Zadłużyłeś się po uszy! Wpierw długi popłać!

Było coś twardego i prawie nielitościwego w tej mowie prędkiej, ale dobitnej, gniewnej, ale zarazem stanowczej. Kazimierz uwięziony w silnych rękach, targnął się i spróbował walczyć.

— Jakiem prawem... syknął.

Ale tamten ani myślał odpowiadać i ciągnął dalej to, co zaczął.

— Raz zemknąłeś był przed życiem twardem, ale które mogło być dobrem, i ślicznie na tem wyszedłeś, teraz znowu chcesz zemknąć przed spłatą długów... Ależ tak robić nie wolno! Nie wolno i — głupio! Licho i — głupio! Byłeś na deszczu, wchodzisz pod rynnę. Oddawna już chciałem ci to powiedzieć, dziś po to przyjechałem i w porę!

Kazimierz szarpnął się znowu.

— Jakiem prawem dyktujesz mi, co mam czynić, a czego nie czynić?

Tamten, w jednej dłoni zatrzymując jego ręce, drugą położył mu na ramieniu i łagodnie rzekł.

— Prawem brata. Cóż? Myślałeś może, żeśmy obcy sobie? Myliłeś się. My bracia — podwójnie. Jeżeli nie masz nikogo, kto by cię kochał nieszczęśliwym i zhańbionym, ja kochać cię będę. Jeżeli nie masz na kim się oprzeć, oprzyj się na mnie. Będę ci wdzięcznym za to, bo po to żyję. Jedna ludzkość nas urodziła i jedna ziemia. Bratem twoim jestem podwójnie.

Pojmany płakał. Aby móżdż żyć, może on potrzebował tylko mieć dobrego brata. Jego bracia byli daleko; już prawie ich nie znał. Ten, który tu był, bardzo łagodnie teraz, jak do chorego dziecka przemówił.

— Uklęknij Kaziu!

Wahał się, ale krótko. Pośród chmur chyżo przelatujących zajaśniały gwiazdy, w których świetle twarz Stefana uwypukliła się na tle ciemności, jak wizja siły wzruszonej i dobrej.

— Uklęknij, módl się! Boże, któryś mię stworzył, ziemio, z której powstałem, przebaczcie! Żem prawu twojemu, Stwórcu, służyć nie chciał, przebacz! W planie twoim olbrzymim i dla naszych umysłów zakrytym rzuciłeś wielką linję cierpienia. Nie wiemy, czym jest ona i do czego wiedzie, ale że odwróciłem od niej serce i siły swoje — przebacz! W gmach, który wznosisz i którego widzimy zaledwo kącik drobny, włożyłeś ciężką cegłę krzywdy. Nie wiem, jakimi były w tem zamiary twoje, ale żem nie chciał razem z innymi dźwigać tej ciężkiej cegły, przebacz! Odtąd życie mi będzie pokutą, oczyszczeniem, płaceniem długu tobie i ziemi twojej. Szatana i pychy jego wyrzeknę się i ujmę w karby zmysły moje. Ręce zaprzęgnę do trudu, czoło okryję potem i, cierpiąc z cierpiącymi, służyć będę przyjściu królestwa twojego na ziemię!

Taką modlitwę dyktował zrozpaczonemu rówieśnikowi fanatyk idei dobra. Potem otworzył przed nim ramiona i uścisnęli się w milczeniu, jak bracia podwójni.

Nie odjechał zaraz. Do późnej nocy, w zamkniętym pokoju, sam na sam rozmawiał z Kazimierzem. Nazajutrz zaprowadził Lunię do ogrodu i, usiadłszy z nią na ławce, rzekł:

— Trzeba Kazia bardzo kochać. Nie trzeba nigdy mówić, że on jest najlepszym z ludzi, ale trzeba towarzyszyć mu jak najczęściej, rozrywać go, gdy jest smutnym, dopomagać mu we wszystkim.

— Kiedy on nie chce mojego kochania, odwraca się, ucieka odemnie — ze łzami w oczach poskarżyła się dziewczynka.

— Już nie będzie — upewniał ją Stefan — ale niech Lunia wie, że swoim przywiązaniem wiele dobrego może zrobić Kaziowi.

Smutne zazwyczaj oczy małej zapaliły się radością i dumą. Serce jej uderzyło mocno do zadania, którego wielkość więcej czuła, niż rozumiała.

Wkrótce potem nadszedł list od Marceliego z żądaniem, aby brat co prędzej do niego przybywał, z obietnicami pomocy, poparcia i szybkiego zmazania przeszłości; Kazimierz pojechał z tym listem do Darnówki. Niedaleko dworu zobaczył Stefana, idącego za pługiem. Słyszał był o tem jego własnoręcznem pracowaniu około roli, ale zobaczył je wtedy po raz pierwszy. U brzegu pola Stefan pług zatrzymał i, przeczytawszy list najstarszego z Domuntów, spokojnie zapytał:

— Pojedziesz?

Kazimierz zawrzał cały.

— Po wszystkim, co przebyłem! Po tem, cośmy z sobą mówili! Jakże możesz pytać!

Stefan słuchał uważnie, potem rzekł:

— Chodź!

W bładem złocie słońca kwietniowego kilka pługów przesuwało się po czarnej ziemi, ryjąc w niej lemieszami bruzdy głębokie. Skowronki ogłuszająco śpiewały nad pobliskim łąnem zielonej runi. Stefan wraz z Kazimierzem zbliżył się do jednego z pługów, który stanął w połowie zagona.

— Mój ojciec — rzekł — naucz go orać! Potem oddamy mu w dzierżawę jeden z naszych folwarków, który na cześć jego nazwiemy Kaźmirówką.

Pan Romuald, kiedy raz wziął się do czego, nie żartował. Roman trząsał głową potakująco, na znak, że także wie coś o tem. Uczeń tego człowieka, zawziętego we wszystkich postanowieniach i robotach swoich, oblewał się niekiedy dziesięciu potami na dzień. Ale jakoś nie przykryło mu się to wcale. Owszem, sypiał spokojnie i zaczynał nawet miewać sny przyjemne. Jednak miał wątpliwości niejaki. Cóż? orać, siać, rąbać, piłować, alfabetcy umieją i pospolicie oni tylko to czynią. On umiał czytać biegle i mnóstwo rzeczy innych. Co uczyni z tym bagażem? Czy rzuci go za siedm gór i lasów, jako rzecz niepotrzebną? Trochę szkoda! Kiedy raz mówił o tem, Stefan, według zwyczaju swego, słuchał uważnie, a potem rzekł:

— Śmieję się z tego, bratku! Gdybyś był sto razy uczeńszy, niż jesteś, jeszcze nie miał byś zanadto tego dobrego ziarna. Powiem ci parabolę. Kiedy do ciemnego pokoju wniesioną zostanie lampa, tym, którzy się w nim znajdują, robi się zaraz weselej i łatwiej, bo światło jej pada na ich twarze i roboty, a gdy który chce iść po co, nie potrzebuje rozbijać łba o ścianę, bo ona wskazuje mu drogę. Gdyby wiele takich lampek, byłaby iluminacja, nieprawdaż?

Roman powstał z trawy, na którą występowała już chłodna rosa, i rozejrzał się dookoła. Czerwona zorza stała za lasem, obrastającym wzgórze; nad jej różanemi blaskami, zmieszanemi w powietrzu ze zmierzchem zapadającym, świecił wysoko cieniutki sierp księżycy.

Roman czuł, że nad niewykończonym domkiem, niedbale rzuconym płotkiem i małym podwórkiem folwarku, oprócz zorzy, zmroku i księżycy, unosiło się jeszcze coś niedostępnego dla zmysłów, lecz głęboko lejącego się do duszy. Zrozumiał, że wraz ze światłem zorzy i księżycy unosił się nad tem miejscem blask tego słupa gorejącego, który przyświeca drogom ludzkim, a w mowie ludzkiej nosi nazwę ideału. Gdy ten słup płonie, ludzie idą drogą prostą ku ziemi obiecanej, gdy gaśnie — błądzą i marnieją. Zrozumiał to i doświadczył rzutu duszy, która wzbija się ku szczytowi słupa gorejącego i zaraz potem upadła mu do stóp. Jednak stał zamyślony i niespokojny.

— Jednak — rzekł — nie rozumiem. Jeszcze nie mogę zrozumieć, jakim sposobem będziecie mogli tyle wyrzekać się i znosić. Bo czyż Stefan jest szczęśliwym? czy ty, Kaziu, będziesz szczęśliwym?

W tej chwili bryczka, zaprzężona parą koni, wjeżdżała na dziedzińczyk; przysłano ją po Lunię z Kaniówki, o kilka wiorst ztąd odległej. Bronia zbliżyła się do Romana.

— Jeżeli Romek chce tu jeszcze siedzieć, sama powrócę do domu.

— A nie bałabyś się wilków, myszko? — zażartował Roman.

— Wilków teraz niema, ale jeżeli ja z Romkiem iść nie zechcę, będzie do rana błądził po polu, bo żadnej drogi tu nie zna — odcięła się dziewczynka.

VII

Dnie mijały, Roman nie opuszczał Darnówki. Często też odwiedzał Kaźmirówkę na krócej, lub na dłużej, sam albo z Bronią. W czasie, gdy Kazimierz nie mógł dotrzymywać mu towarzystwa, czytywał nad rzeczką, zbierał z dwoma dziewczątkami orzechy w leszczynie, albo szedł sam drogą, wiodącą przez pole ku pałacowi Górowskiemu i nieco dalszemu kościołowi w Zawrociu. Pałacyk zaciekał i pociągał go zawsze. Stryjowi powiedział, że chciałby kiedykolwiek zobaczyć zbliżka Górów, jeżeli podobna, obejrzeć szczegółowo to miejsce piękne i zdające się panować nad okolicą, nakształt punktu ogniskowego, albo strażnicy.

— A dobrze, kotku — odpowiedział stary Darnowski — czemużby nie? Można oglądać tę strażnicę, ile się podoba... co tu robić? można! Strażnica! to prawda! I punkt ogniskowy także. Naturalnie, naturalnie! Trafnie nazwałeś rezydencję Oławickich, co tu robić, bardzo trafnie. Tak, tak; punkt ogniskowy i strażnica. Pojedziemy tam kiedykolwiek!

Chciałby także być w kościele Zawrockim, o którym miał wspomnienie dość mętne, lecz pociągające. Raz, zbierając z Bronią orzechy, zapytał:

— Kiedyż pojedziemy do kościoła? Już dwie niedziele minęły, a jeszcześmy tam nie byli.

— Bo mama była chora i deszcz padał, ale pojedziemy tam na Zielną.

— Kiedyż to będzie?

— Oj, Boże, Romek nie wie, kiedy Zielna? Któregoż dziś mamy?

— Czy ja wiem? pogubiłem dnie u was... zdaje się, że dwunasty...

— No, to Zielna piętnastego... Środa, czwartek, piątek, sobota... W sobotę!

Zaraz potem Bronia oświadczyła, że pomimo obecności Luni w Kaźmirówce, musi wcześniej wracać do domu; gdyby nie uroczyste przyrzeczenie, które dała przyjaciółce, byłaby nawet dnia tego wcale z domu nie wyszła, bo jest niespokojną o Iruś i czegoś jej żal, sama nie wie czego, ale taki jej żal Iruś!

— A cóż jest kuzynce Irenie?

Bronia wcale nie wiedziała, co jej było, ale że coś złego, o tem miała przekonanie najmocniejsze. Albo chora jest, albo czemś bardzo zmartwiona, to pewno. Od jakiegoś czasu nie gawędzi z nią w czasie lekcyj i po lekcjach, jak to bywało dawniej, ani śpiewa nigdy, ani śmieje się, czasem zaś tak się zamyśla, że gdyby jej kto nad głowę wystrzelił, toby może nie usłyszała. W zeszłą niedzielę, kiedy to mama była chora na migrenę, Iruśia prawie cały dzień w jej pokoju przesiadywała, a Bronia zastępowała ją przy gospodarstwie...

— Doskonale pamiętam ten dzień uroczysty — przerwał Roman — bo byłeś ze swoim fartuszkim gospodarskim uroczystą, jak święto; co ci nie przeszkodziło stłuc dwa talerze i jedną szklankę...

— Niech Romek nie żartuje, bo mnie się płakać chce...

— Jeżeli Broni chce się płakać, to już chyba skończenie świata nastąpi — zażartował jeszcze.

— Niech Romek nie żartuje, ale słucha...

Słuchał i żartami ukrywał tylko wzruszenie, z którym słuchał o domniemanej chorobie, albo wielkiem zmartwieniu Iruśi. Bronia jednak nie miała do opowiadania nic nadzwyczajnego; to tylko, że kiedy owej niedzieli weszła raz do przyciemnionego pokoju matki, chorej na migrenę, znalazła Iruś, klęczącą przy jej łóżku, szepczącą jej coś po cichu i troszkę płaczącą. Troszkę tylko... Nie trzymała nawet chusteczki przy oczach, ale, że miała łzy w oczach, tego Bronia była pewną. Przedtem nigdy nie zdarzało się to Iruśi. Doglądała zawsze mamy w czasie jej chorób częstych; aby jednak szeptała o czemś, albo płakała, tego Bronia nie spostrzegła dawniej nigdy. Musi mieć chyba zmartwienie wielkie, albo może jest niezdrowa, bo ile razy Bronia ją zapytała, dlaczego jest jakąś inną, niż była, zawsze odpowiadała, że głowa ją boli. To rzecz zupełnie nowa, bo dotąd Iruśia zdrowa była, jak ryba. Może zaraziła się od mamy, która, gdy tylko ma migrenę, na krok od siebie jej nie puszcza. Czy migreny są zaraźliwe? Romek chociaż i nie doktor, może wie, czy migrenami można zarazić się od kogo? Roman, chociaż nie był doktorem, upewnił ją, że migreny nie należą wcale do chorób zaraźliwych i tak się zamyślił, że zamiast orzechów zerwał z krzaku kilka szorstkich liści leszczynowych. Bo tę rozmowę prowadzili wśród leszczyn tak wysokich i gęstych, że cały świat przed nimi zasłaniały. Bronia w zapale orzechobrania przedarła się sama i towarzysza wprowadziła w największą gąszcz zarośli, Lunię trochę opodal pozostawiwszy. Miała już fartuszek i wszystkie kieszenie napełnione orzechami, których powłoka ruda i lśniąca wyglądała z szorstkich, seledynowych kielichów; że jednak wiele ich jeszcze znajdowało się na krzakach, zaczęła je pełnemi garstkami oddawać Romanowi, prosząc, aby je kładł do kieszeni surduta i choćby do kapelusza.

— To dla Iruśi. Ona bardzo lubi orzechy i tak śmiesznie je gryzie! Weźmie w usta, rozkąsi lupinę i chrumst, chrumst, już po orzechu! Nikt nie potrafi gryźć ich tak prędko,

ani ja nawet. Tatko i Stefek aż zanoszą się od śmiechu, kiedy Irusia zacznie po swojemu jeść orzechy. Chrumst, chrumst i po wszystkim!

Śmiała się. U niej śmiech po żalu i żal po śmiechu przychodziły, jak sekunda po sekundzie. Ale Roman, biorąc z jej garstek orzechy i napełniając nimi kieszenie, był ciągle bardzo zamyślony. Wkrótce też wyszli z leszczyn; małe przyjaciółki bardzo zawzięcie szeptały o czymś z sobą przed pożegnaniem, a Roman, idąc z Domuntem ku wrotom podwórka, zapytał.

— Czy nie wiesz dlaczego Bohdan Rosnowski nie przyjeżdża do Darnówki? Odkąd tam jestem, nie był ani razu, chociaż podobno...

— Bo miał znowu atak febrы. Widziałem kogoś z Zawrocia, kto mi mówił, że Bohdana znowu febra zaatakowała, bardzo zjadliwa podobno i uparta.

— Co to za historia z tą febrą Rosnowskiego, z tym psem i z tym bzikiem? — trochę ironicznie i niechętnie zapytał Roman.

Po myśli kręciły się mu wyrazy: „Martwi się i płacze, choć bez chusteczki przy oczach, bo konkurent nie przyjeżdża i myśli, że go utraci, albo i utraciła. Naturalnie. Cóż może być naturalniejszego? Dwadzieścia pięć lat... sam rozkwit młodości, konkurent rzadki, jak łabędź czarny i partja świetna”!

Co do febrы Rosnowskiego, była to historia dość ładna, którą Domunt znał i Romanowi opowiedział. W puszczy, powierzonej zarządowi jego, znajdowała się miejscowość rozległa, lecz bardzo mało znana, bo odstręczająca groźbą zarazy ciężkiej, niekiedy śmiertelnej. Lasy i gleby dziewicze, mokre, bujne, wyziewały tam febrę. Poprzednicy Bohdana ptakami przelatywali przez to miejsce, końcami skrzydeł zaledwie dotykali gruntu złowrogiego. On, przeciwnie, osiedlił się w niem na czas dość długi, sprawdził rozległości, zbadał bogactwa, stwierdził możliwość uzdrowotnienia, opisał i, można powiedzieć, że prosto odkrył to miejsce. Chaty leśników, albo szałasы, budowane na prędcе, służyły mu za mieszkanie, a wśród podwładnych, którzy w tem groźnym miejscu otaczali go z niechęcią dość naturalną, jedynym towarzyszem i przyjacielem jego był Swój...

— Pies?

— Tak; przed kilku laty szczenięciem wywiózł go z Zawrocia i podobno lubi go aż do śmieszności, graniczącej z bzikiem...

— Musi to być jednak biczek malutki, bo nie przeszkadzający temu, że ze wszech stron jest on dobrą, a nawet świetną partją — zauważył Roman.

Domunt zaśmiał się.

— Zkądże ci ta uwaga przyszła do głowy?

— No, bo przecież ten bohater puszczy stara się o Irenę. Ma to być rzeczą pewną.

— Jest pewną — potwierdził Domunt — widziałem go przy niej parę razy i sportrzegłem wyraźnie, że jest nią zajęty.

— A ona? — zapytał Roman.

Domunt wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale przypuszczam... Cóż? jakkolwiek wydawała mi się zawsze zupełnie zadowoloną z położenia swego, jednak zakochanie się, wyjście za mąż, prawie zawsze stoi u końca każdego położenia kobiety niezamężnej. Ma ona wprawdzie pewne pojęcia, z którymi osoba Bohdana nie koniecznie harmonizuje, ale... czy ja wiem? serce nie sługa... u kobiet zwłaszcza.

— I u mężczyzn często — gorzko jakoś dorzucił Roman.

Znajdowali się już w końcu miedzy, zarosłej błękitną cykoryją, kiedy dopędziła ich Bronia, zdyszana od prędkiego biegu.

— To już doprawdy! nie mogliście trochę zaczekać na mnie! — dysząc ciężko, wyrzucała przyjaciółom, ale zaraz, uczepiwszy się ramienia brata, trzepała dalej.

— Lunia ani jutro, ani pojutrze nie wyjedzie z Kaźmirówki. Mówi, że jej coraz ciężiej rozstawać się z panem Kazimierzem i że gdy on na stałe już przeniesie się do Kaźmirówki, ona też zostanie z nim tam zupełnie. Już i mama jej zgodziła się na to...

— Oddają mi moją maleńką na gosposię i uczennicę — uśmiechnął się Domunt. Przywiązała się do mnie ogromnie i zadanie, włożone na nią przez Stefana, wzięła tak do serca, że stałem się jedynym celem jej myśli i marzeń.

Szedł chwilę milcząc, potem ozwał się znowu:

— Miłosierdziem wielkiem na tym świecie jest to, że człowiek znajduje zawsze po drodze jakieś serce, choćby malutkie, ale bliskie, swoje, które staje się dla niego źródłem letniejskim i razem kastalskiem, to jest dającym zapomnienie i ochłodę.

— Nie zawsze — zaprzeczył Roman.

Spojrzał w górę i ku krańcowi widnokregu. Jak świat szeroki i długi nie miał żadnego serca blizkiego, swego...

Mijali właśnie szemrzący wodospadek i wznoszące się nad nim gdzieniegdzie piramidki z osin spowitych w chmiele, gdy Bronia, wyciągając naprzód rękę, zawołała:

— Idą na spotkanie nasze... widzi Romek? widzi pan Kazimierz te trzy osoby? To mama, Irusia... ale kto trzeci? Tak daleko, że jeszcze nie poznają...

— A ja poznaję — rzekł Domunt — ale nie powiem, niech Bronia odgaduje...

— Już wiem... czy widzi Romek psa?... ja widzę! To Swój! O, biegnie już do nas! Kiedy jest Swój, to jest i pan Rosnowski. On nigdy nie rozstaje się ze Swoim i ciągle z nim rozmawia.

— Co Bronia plecie? jakże można z psem rozmawiać?

— Zobacz Romek. Swój dużo nawet mówi...

— Co Bronia wygaduje? jakże pies może mówić!

— Zobacz Romek! Swój! Swój! Pójdź tu! Widzi Romek jaki on ładny! Taki duży, kudłaty, a łagodny, jak baranek!

Był to na poły kundel krajowy, na poły pasterz tyrolski, niezwykle duży, z sierścią bardzo obfitą i potężnym kiciastym ogonem: piękne, silne zwierzę w łaty szare i żółte. Z Bronią, która przepadała za psami, łączyła go już widać znajomość dość bliska, bo, wielkimi susami nadbiegłszy, skoczył jej wprost na piersi, poczem, w mgnieniu oka opadł na ziemię, okręcił się i wracał do osób, nadchodzących ze strony przeciwnej. Ztamtąd głos mężczy, przyjemnie brzmiący, wołał:

— Swój! Swój!

Pies, już stał oparty przednimi łapami na piersi mężczyzny, który go wołał, kudłaty łeb zbliżał do samej prawie jego twarzy i w sposób urywany, radośny, poszczekiwał. Mężczyzna zaś mówił:

— Dobrze, dobrze, już wiem! Ci państwo, na których spotkanie wyszliśmy, już nadchodzą. Puść-że mię do nich...

— Hau, hau — szczechnął pies tak zupełnie jakby mówił: dobrze! dobrze! i poskoczył na bok, zaś właściciel jego szybko postąpił naprzód i z ręką przy kapeluszu przemówił:

— Na wypadek, gdybym nie był poznanym, przedstawiam się...

Ale nieskończył, bo Roman, zdejmując kapelusz, wydekłamował:

— *Epaminondas post pugnam apud Mantineam cum gravi...*

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Rosnowski — więc pamiętasz!... Prawda! Dopomagałem ci borykać się z łaciną, ja wielki siedmioklasista, tobie żaczkowi.

Ręce ich spoily się uściskiem silnym, ale krótkim.

— Góra z górą — mówił Rosnowski — trzebaż trafu, abyśmy jednocześnie znaleźli się w tych stronach!

Roman, podaniem ręki, witał się z Ireną, której dnia tego jeszcze nie widział. Wyszedł do Kaźmirówki przed południem, kiedy ona była czemś gdzieś zajęta. Szybkiem spojrzaniem ogarnął jej twarz i postawę. Spostrzeżenia Broni musiały być pustym płodem wyobraźni dziecinnej. Jest spokojną, jak zwykle i nawet wygląda bardzo świeżo. Wprawdzie jest przyczyna, która mogła nadać jej cerze tę piękną świeżość!

Szli wszyscy ku dworowi i znajdującej się w końcu łąki bramce ogrodowej.

W powierzchowności Rosnowskiego były niektóre cechy wybitne, świadczące o indywidualności odrębnej i może nawet oryginalnej. Pięknym nie był, bo trochę zbyt duża szerokość ramion, obok wzrostu zaledwie średniego, czyniła postawę jego nieco ciężką i kwadratową. Ale czoło miał szlachetnie zarysowane, rozumne i wysokie pod przeredzającymi się nieco włosami, a w niewielkich piwnych oczach dużo też rozumu, wraz z trochę znużenia, czy smutku. Cera jego była żółtawą i policzki nieco obwisłymi od niedawnego znać schudnięcia, co chwilami, szczególnie, gdy milczał i patrzył wzrokiem znużonym, czyniło go starszym, niż był istotnie. Zato głos, przyjemnie brzmiący, nabierał niekiedy tonów bardzo ciepłych, choć znowu niekiedy zdawał się w nim przebijając ton wyższości, wprawdzie bardzo lekki, bo cały układ Rosnowskiego odznaczał się grzecznością prawie

zbyteczną, prawie wyrefinowaną. Mówiąc, w sposób niejako okrągły pochylał głowę ku osobie, do której mówił i w gestach ręki, dość częstych, miał także okrągłość jakąś, grączę niezupełnie naturalną, jakby nabytą i sztuczną. Wogóle sprawiał wrażenie człowieka rozumnego, bardzo pewnego siebie, trochę znużonego, z trochę też smutku kędyś na dnie.

Głosem, brzmiącym miękko i przyjemnie, witał Romana, lecz wnet potem, gdy wypytywać go począł o miejsce i warunki, wśród których miał żyć i pracować po wyjeździe z Darnówki, miał trochę pozór mentora, albo tryumfatora, który już spory kawał drogi uszedł z powodzeniem niezaprzeczonem.

— Cieszę się bardzo — mówił — że spotkaliśmy się właśnie w chwili, gdy otrzymałeś to, co ci się niewątpliwie należało, co zapewnia przyszłość nietylko materialną. Bo co do mnie przynajmniej, doszedłem do przekonania, że niema dla człowieka nieszczęścia większego, nad niemożność ćwiczenia i rozwijania w całej pełni swojej energii i zdolności. Im wyższem i szerszem jest pole działalności, tem większa szansa szczęścia, a przynajmniej... zapomnienia o powszechnem, koniecznem nieszczęściu.

Przy ostatnich słowach uśmiechnął się i spojrzął gdzieś daleko, poczem zaraz na parę sekund zwrócił wzrok ku Irenie, która opodał nieco od rozmawiających szła sama jedna brzegiem strumienia. Zaraz jednak z okrągłym gestem szyi i ręki zwrócił się znowu do Romana.

— Jeżeli moje doświadczenie na cokolwiek przydać ci się może, gdybyś wypadkiem potrzebował jakichś wiadomości, wskazówek, któremi mógłbym ci być użytecznym, miej mię, proszę, za swego wiernego przyjaciela i sługę.

Było to bardzo uprzejme i wytworne, ale zarazem trochę z wysoka powiedziane.

Pani Paulina wskazywała oddalony punkt łąki, na którym stała grupa drzew, pięknie oświetlona przez zachodzące słońce.

— Po takiej naturze dzikiej i poetycznej, wśród jakiej pan przebywa, mówiła, nasze drzewiny muszą wyglądać bardzo mizernie. Ach, ach, ach! Jakaż to być musi wspaniała ta puszcza ogromna i prawie dziewicza! Kiedy czytam w podrózach o takiej naturze olbrzymiej, prawie bajecznej, zdejmuję mię ogromna tęsknota za światem innym, piękniejszym. Ach, ach, ach! chciałabym bardzo podróżować, zawsze marzyłam o podrózach, ale, ach, ach, ach! marzenia, a rzeczywistość, to wielka różnica. Chociaż... z drugiej strony... może to już przyzwyczajenie, ale drzewa darnowskie tak kocham, tak kocham, że, gdy którego z najulubieńszych nie widzę długo, mówię mu zawsze: „jak się masz!”, jakby czemuś żywemu.

Rosnowski, patrząc na grupę drzew, przez p. Paulinę wskazywanych, rzekł z uśmiechem:

— Sielanka!

— Nie jesteś czcicielem natury? — zapytał Roman.

— Owszem, owszem, tylko że za dużo żyję z nią sam na sam.

Opowiedział, że z puszczy, której jest jednym z głównych dozorców i gospodarzy, wydała się zaledwie parę razy na rok dla odwiedzenia miasta oddalonego i w którym nic go szczególnie ani zajmuje, ani bawi. Zresztą żyje w samotności głuchej, mając do czynienia tylko z podwładnymi, rozsianymi na przestrzeniach znacznych i przybywającymi do niego tylko po rozkazy i dla narad o interesach. Za to często w rozmaitych kierunkach objeżdża puszcę i może pochłubić się tem, że jest jednym z pierwszych, którzy na te obszary rozległe wprowadzili uprawę racjonalną, zastosowali do nich teorie, wskazywane przez naukę. Zgromadza też materiały obfite do dzieła które może przynieść parę nowych myśli w kwestji kultury leśnej na wielką skalę.

— Samotność twoja jest bardzo zapełniona, zauważył Roman.

— Bardzo zapełniona, uśmiechnął się Rosnowski; upływają miesiące, ba, czasem bardzo długie, w czasie których nie mam do kogo przemówić...

Tu, jakby tknęło go przypomnienie naglące, zwrócił głowę ku lasowi, u którego brzeżu migotały dwa biegające punkty.

Była to Bronia, uganiająca się pomiędzy drzewami z psem dużym i wesołym.

— Swój! Swój!

Piękne zwierzę przybiegło natychmiast w poskokach i parę razy okręciło się u nóg pana, który, patrząc na nie, tonem wyrzutu zapytał:

— Gdzie byłeś?

Pies podniósł pysk i wydał parę urwanych szczęknięć.

— Porzucasz mię! — mówił Rosnowski — wiesz jednak, że tego nie lubię!

— Hau, hau — zaszczekał Swój tonem trochę smutnym.

— Strzeż się Swój, bo przestanę cię lubić i źle nam będzie!

— Hau! Hauuu! hauuu!

Było to już nie szczekanie, ale wycie zupełnie żalodne.

— No, nie płacz-że już zaraz! Przepróż mię!

— Hau, hau, hau, hau!

Tym razem szczekanie objawiało radość. Pies po uśmiechu i tonie głosu zrozumiał, że otrzymał przebaczenie, rzucił się na pierś pana i lizał jego rękę.

— Dosyć już tych przeprosin. Możesz iść, ale nie odchodź daleko, bo nie lubię tracić cię z oczu.

Jeszcze jedno szczeknięcie pokorne, przymilone i Swój zaczął kroczyć z powagą, o kilka kroków przed idącymi, w prostej linii przed swoim panem.

Pani Paulina unosiła się nad rozumem tego zwierzęcia, a zwłaszcza nad jego przywiązaniem; Rosnowski rzekł:

— Przed trzema laty wywoziłem go ztąd szczeniędem. Przywiązaliśmy się nawzajem do siebie. Żyjemy tylko we dwóch.

Potem zwrócił się do Domunta.

— Bardzo rad jestem, żeśmy się tu spotkali, bo miałem prosić Stefana, aby na godzinkę dziś jeszcze ze mną do pana pojechał. Otrzymałem niedawno list od Marcelego, tyżący się pana, i nie mogłem dotąd zakomunikować jego treści, bo byłem chory i nie wyjeżdżałem z domu.

— Domyślam się treści listu Marcelego — odparł Kazimierz, który nagle się zachmurzył.

— Zakomunikuję ją dziś panu i Stefanowi, a jeżeli pan pozwoli, złożymy małą naradę nad odpowiedzią, którą bratu pańskiemu mam wysłać.

Kazimierz skłonił się, dotykając czapki. Stosunek jego z Rosnowskim był dość dalekim i etykietalnym; zato dla Marcelego uczony leśniczy zdawał się żywić szacunek bardzo wysoki i uczuwać sympatię żywą. Zaraz opowiadać zaczął Kazimierzowi o ostatnim widzeniu się swoim z jego bratem, przed parą laty. Spotkali się wypadkiem w mieście, które Rosnowski odwiedzał niekiedy, a do którego interesy sprowadziły na chwilę najstarszego z Domuntów. Nagadać się z sobą nie mogli. Marcelego jest wcieleniem człowieka nowożytnego, takiego, jakich właśnie świat dzisiejszy potrzebuje najbardziej i czci najwięcej. Energia niezmordowana, rozum trzeźwy i bystry, nauka duża, jakiś duch, pchający do wiecznego dążenia naprzód. Daleko też zaszedł i zajdzie jeszcze dalej. Za lat niewiele będzie to fortuna bardzo wielka i imię bardzo głośne.

Roman zbliżył się do Ireny, ciągle opodał trochę idącej.

— Stosunek tego biednego Bohdana ze Swoim, prawie do łez mię rozczula — rzekł półgłosem.

— Tkliwość twoja jest wielką, kuzynie — odpowiedziała.

— Zazwyczaj bywa umiarkowaną, ale ten *casus* psychologiczny dziwnie do niej trafia. Głęboko rozumiem tego więźnia, który w samotności swojej pokochał pająka...

W oczach jej zapaliło się światelko migotliwe, ale nic nie odpowiedziała.

Roman ciszej jeszcze, niż przedtem, rzekł:

— Przypuszczam też, że twoje dobre serce, kuzynko, zlituje się nad samotnikiem.

Spojrzała na niego zadziwiona i nagle sploniona, ale trwało to sekundę, poczem, śmiejąc się, odpowiedziała:

— Moje dobre serce jest bardzo niespokojne o wieczność dzisiejszą. Wujenka chciała koniecznie, abym z nią poszła na wasze spotkanie. Poszłam, a teraz co najprędzej biegnę do domu.

Wzięła za rękę Bronię i bardzo szybko wyprzedziwszy towarzystwo, zniknęły obie wśród drzew ogrodu.

Na dziedzińcu panował już zmrok zupełny. Pani Paulina i Domunt weszli do domu, Rosnowski przystał i wzięwszy Romana pod ramię, zaczął powoli przechadzać się wzdłuż krzewów, rosnących pod oknami już oświetlonemi.

— Jak długo tu zabawisz?

Pytanie to posiadało dla Romana właściwość irytującą. Bąknął coś o kilku dniach, tygodniu... Rosnowski zaczął znowu wieszować mu posady otrzymanej.

— Nietylko dlatego ci wieszuję, że to jest byt, nawet dobrobyt zapewniony, bo przecież wartość życia nie sprowadza się do żywności lepszej lub gorszej. Jesteśmy dziećmi światła umysłowego, w jego kręgu żyć i jemu służyć musimy. Swój! czego jesteś taki smutny?

Pies, krok w krok za nim chodzący, podniósł głowę, ale tym razem nic nie odpowiedział.

— Choćby nawet ta służba ciężką była, musimy służyć postępowi i kulturze świata... inaczej, jesteśmy niedołączkami lub dezertkami...

Przechodzili około okien jadalni, przez które widać było jeden stół nakryty do wieczry i drugi, mniejszy, przy którym siedziało kilku ludzi. Jednym z tych ludzi był Stefan, trzej inni, w odzieży grubej, mogli być chłopami zamożnymi, lub małymi mieszczkami z miasteczka sąsiedniego. Pomiędzy nimi a Stefanem leżały papiery rozrzucone na stole; słychać też było mały gwar ich rozmowy.

— Potrzebuję pomówić obszernie z młodszym Domuntem w obecności Stefana — mówił Rosnowski — ale widzę, że teraz zajęty jest jakimś konsyljum. Niechże je skończy. Jaki dziwny chłopiec z tego Stefana! prawda? Jak ty się z nim godzisz? Bo co ja, to wcale jeszcze go nie rozumiem... jakieś marzycielstwo... jakaś utopja czy zdziczałość...

Roman nie odpowiadał; Rosnowski też zaczął zaraz mówić o stolicy, w której dotąd Roman przebywał.

— Ach! te wielkie miasta! — westchnął — to są prawdziwe zbiorowiska światła!

— Trochę także i błota — uśmiechnął się Roman.

— Jesteś nieco rozczarowanym, jak uważam... Zapewne! masz słuszność. Każdy medal ma dwie strony, z których jedna jest odwrotną. Jednak, ci tylko, którzy żyją w tych wielkich zbiorowiskach światła, albo przynajmniej zachowują z nimi spójność ciągłą i ścisłą mogą cokolwiek zrobić... czemkolwiek stać się i cokolwiek zrobić...

Przechodzili znowu około oświetlonych okien jadalni. Roman widział dokładnie profil Stefana, delikatny i nieco zaostrowany, pomiędzy otaczającymi go twarzami grubymi i płaskimi. Przez głowę przemknął mu wyraz: lampa! Swój zaszczekał parę razy z cicha i trochę smutnie.

— Czego chcesz? a, wiem już, wiem, nudzisz się! chcesz do domu!

— Hau, hau!

— Poczekaj trochę! Z dawnym kolegą spotkałem się i rozmawiam. Nie co dzień spotyka się ludzi, których się o wschodzie życia znało i kochało. Powinieneś to rozumieć, Swój, bo sam kochać umiesz...

Swój słuchał z uwagą wytężoną i odpowiedział już tylko warknięciem cichem i zrezygnowaniem.

Rosnowski stanął i zatrzymując towarzysza poufale dotknął kłapy jego surduta.

— Tylko, wiesz co, Romanie? ożeń się wpierw, nim wyjedziesz, ożeń się koniecznie, bo samotność i tęsknota, to rzeczy piekielne... Pomimo pracy, nauki, powodzenia, czasem zwarzować można. Zresztą, nie wiem... Możem ja tylko taki... Matka, siostry, wychowały we mnie zwierzę sentymentalne, którego pozbyć się nie mogę... Możemy wszyscy zbyt sentymentalni i w tem bieda nasza! Ale co tu robić? Z takimi, naprzykład, Darnowskimi, co tu robić? Poprostu, śnią na jawie...

Roman patrzył właśnie przez oświetlone okno w głąb jadalni, gdzie nieznanymi ludziami, stojąc już rozmawiali ze Stefanem. Wysoka i rzeźka postać Darnowskiego nie miała w sobie cech senności. Nawet „zwierzę sentymentalne” z niej nie wyglądało, a przynajmniej zachowywało się daleko spokojniej, niż u Rosnowskiego, który, ciągle trzymając w palcach kłapę surduta Romana, z niepokojem daremnie powściąganym, bardzo cicho mówił:

— Musiałeś już zbliżka poznać swoją kuzynkę, pannę Irenę. Znałem ją niegdyś, długo nie widziałem, teraz mię oczarowała. Można znaleźć piękniejsze od niej, ale ma w sobie spokój, wdzięk i jakąś dobroć doskonałą, które czarują!... Taka dobra, pewna dusza patrzy jej przez oczy, prawda? Szalenie miłą byłaby taka towarzysza życia. Czego chcesz, Swój? Dokuczasz mi na koniec! Bądź łaskaw grzeczniej się zachowywać!

Pies wielką łapą dotknął go był parę razy w bok i rękę, ale, usłyszawszy przemówienie, do niego zwrócone, szczerknął z cicha: tak! tak! i ze zniecierpliwionem stęknieniem runął jak długi u nóg pana. Rosnowski mówił, a raczej szeptał dalej, coraz niespokojniej.

— Lękam się tylko, bardzo się lękam, czy nie zaraziła się teorjami! Takie rzeczy są dla kobiet niebezpieczne, bo mogą bardzo stawać im w drodze do szczęścia, które dla kobiety w czemże być może? Naturalnie, w miłości i w rodzinie; w niczem innem. Stefan jest fanatykiem i mógł bardzo tej dobrej i ślicznej dziewczynie wmówić swoje sentymentalne — przepraszam cię — bzdurstwa. Lubię go i szanuję, ale to siła stracona, dezerter wielkich spraw świata...

Ten, o którym mówił, wyszedł w tej chwili na ganek, w towarzystwie swoich gości, z którymi zamieniał uściśnienia rąk i pożegnania. Żegnając go, dziękowali, on zaś jeszcze przypominał im coś i zalecał. Po chwili odeszli ku dwóm jednokonnym wózkom, stojącym przed oficyną, a młody Darnowski zwrócił się do Rosnowskiego i Romana, którzy właśnie wchodzili na ganek. Wydawał się zadowolonym i nawet wesołym.

— Przepraszam was, moi drodzy, za chwilowe zaniedbanie, ale ci ludzie, to moi koledzy. Rolnicy tak, jak ja, radzą się u mnie czasem w swoich małych kłopotach. Chciałeś, Bohdanie, abyśmy pomówili o interesach Kazia? Owszem, zaraz po wieczery proszę was wszystkich do mego pokoju na górę. Pomówimy tam swobodnie i obszernie.

Mniej niż, w godzinę potem, wszyscy czterej znaleźli się w pokoju Stefana, w połowie tylko oświetlonym lampą, palącą się na stole, pośród mnóstwa papierów rozrzuconych. Rosnowski, który od lat wielu po raz pierwszy był w tym pokoju, ciekawie rozejrzał się dokoła i Roman spostrzegł, że spojrzenie jego kilka razy powracało do wiszącego na ścianie krzyża. Przez otwarte okno wchodziła tu świeżość wieczorna, wraz z zapachem kwiatów, rosnących na klombach. Promień lampy padał na szafę z książkami i w jednej z jej szyb zapalał żółte światelko. Swoją leżał u nóg pana, który, wyjmując z kieszeni pugilares i rozwijając list z niego wyjęty, ozwał się z żartobliwością, osłaniającą trochę zmieszania.

— Przedewszystkiem, moi panowie, miejcie to na uwadze, że posła nie ścinają ani wieszają, nawet w czasach wojennych. Posłem jestem od Marcelego Domunta do jego brata i poselstwo swoje chcę sprawić w obecności ludzi, bliższych mu odemnie.

Stefan skłonił się lekko. On, Rosnowski i Roman siedzieli przy stole; Domunt umieścił się dalej, nieco w cieniu. W liście, który Rosnowski czytał, Marcelli Domunt prosił dawnego sąsiada i kolegę, z którym przed paru laty odnowił znajomość, o wywarcie wpływu na Kazimierza, i jeżeli to było podobnem, o skłonienie go do przyjęcia propozycji starszego brata, parę razy już czynionych i odrzuconych. Jakkolwiek obowiązki zawodu, z którymi łączyły się wszystkie upodobania i nadzieje piszącego, oddawna już rozłączyły go z rodziną, to jednak nie utracił serca dla niej i los każdego z jej członków budził w nim zajęcie i troskliwość. Katastrofę, która zdruzgotała karierę Kazimierza, świetnie rozpoczętą, odczuł boleśnie; zaraz też o tem, co zaszło, uwiadomiony przez matkę, ofiarował się bratu z pomocą chętną. Zaweźwał go do siebie, chciał mu dać zajęcie, byt zapewniony, możliwość odznaczenia się i postępowania naprzód. Na tę propozycję otrzymawszy odpowiedź odmowną, pisał i nalegał po raz drugi, ze skutkiem tym samym. Odmowę swoją Kazimierz tłumaczył pobudkami tak dziwnymi, że, czytając jego listy, prawie oczom swoim wierzyć nie chce. Píše o potrzebie oczyszczenia się przed samym sobą, spłacenia długów ziemi, którą był opuścił, dania z siebie przykładu pracy prostej i pozbycia się pychy, zadawalniania potrzeb serca uczuciami rodzinnymi i t. d. i t. d. Czy podobna? Czy naprawdę istnieją jeszcze gdziekolwiek ludzie, myślący w sposób podobny i czy to nie jest snem, że brat jego, niedawno jeszcze taki trzeźwy i tak wiele dla przyszłości rokujący, należy do ludzi z takim bajecznym sposobem myślenia? Zkąd się to u niego wzięło? Na jaką Atlantyde trafił po swoim rozbiciu? Zapewne to rozbicie winno wszystkiemu. Marcelli rozumie i z łatwością wyobraża sobie, jak bardzo koleje przebyte wstrząsnąć musiały systemem nerwowym Kazimierza i wszystkie jego urojenia nieprawdopodobne przypisuje zdenerwowaniu zapewne szalonemu. Przypomina sobie zresztą usposobienie brata, które zawsze czyniło go skłonny do entuzjazmowania się z przyczyny byle jakiej, do wyłamania się z pod regułu i wymyślania dla siebie dróg i celów coraz nowych. Takie natury zapalczywe i szukające są bardzo szlachetnymi naturami, ale też, więcej od innych, narażonemi na zmarnienie i zgubę. Marcelli nie może spokojnie myśleć o prawdopodobnej

zgubie brata, jakkolwiek niewidzianego od lat wielu. Nie może spokojnie wyobrazić go sobie osiadłym na małej dzierzawce i oddającym się prostym pracom fizycznym. To jest nędza, upokorzenie i marnowanie sił i zdolności. Gdyby nie było już możliwości innej, to cóż robić? są i muszą być na świecie nędzarze gatunku rozmaitego. Ale skoro są środki, jest droga, do rąk wpada i naprasza się sposobność życia lepszego, trzeba być szaleńcem, aby tak uparcie trzymać się jakichś idei przedpotopowych. Bo dziś już chyba jakaś skamieniałość przedpotopowa może roić o wdziękach stanu pasterskiego i, popędzając woły, deklamować z rozkoszą bukoliki. Każdy zaś, kto zna świat społeczny, wie o tem, że z pędem nieposkromionym zdąża on do celów, bynajmniej nie idyllicznych. Motorem jego jest energia śmiała i w pewnej mierze bezwzględna; osiami, dokoła których się obraca, są: bogactwo i potęga. One tylko są szanowane, one dyktują prawa świata, one zarządzają losami jednostek i ludów. Może to być dobrze, może być źle, ale jest i panuje, a temu, co jest i panuje, tylko szaleńcy mogą wytaczać wojnę, zawsze dla nich przegraną. Gdy na zielonych łąkach deklamować będą idyle, albo opowiadać parable ewangeliczne, wóz bożków świata przejdzie po nich i kości im pogruchoce. Wszystkie te względy i rozważki skłoniły piszącego do nowej jeszcze próby ratowania brata. Dowiedziawszy się z listu matki o pobycie Bohdana, w tamtych stronach, udaje się do niego z prośbą i t. d. i t. d. Jako umysł trzeźwy, jasny i doświadczony, znajdzie on może drogę do umysłu Kazimierza, wstrząśniętego przez zdarzenia rzeczywiście ciężkie, przekona go może i t. d. i t. d.

Tu, Bohdan Rosnowski plecy na poręcz krzesła odrzucając, rękę białą i pulchną z listem niedoczytanym na stole położył. Z okrągłym ruchem szyi zwracając się ku Kazimierzowi, powiedział w zwięzłych słowach, że zdanie, wyrażone w liście Marcelego, podziela prawie zupełnie; prawie, bo w jednym z nich uczyniłby modyfikację, według niego bardzo ważną. Mianowicie, do dwóch osi świata, przez Marcelego wyliczonych, dodałby trzecią i nawet umieściłby ją na miejscu pierwszym, jako źródło, z którego powstają dwie następne. Bogactwo i potęga. Bardzo dobrze. Ale trzeba mówić: wiedza, bogactwo i potęga, bo właściwie pierwsza wytwarza następne i bez niej, niema ich i być nie może. Ale to dowodów zmierzających do przekonania p. Kazimierza nietylko nie osłabia, lecz jeszcze je wzmacnia. Do dwu motywów, które powinny nakłonić go do przyjęcia propozycji braterskiej, przybywa trzeci. Poświęcając się idyli, albo, jeżeli kto woli, parabolom ewangelicznym, nietylko nie doścignie bogactwa i znaczenia w świecie, które jest częścią potęgi, ale zmarnuje siły i zasoby umysłowe, a jemu, to jest mówiącemu, o ten właśnie punkt najwięcej idzie i, z niego to wychodząc, czuje chęć najzarliwszą poparcia całą małą wymową swoją żądania i prośby Marcelego Domunta.

Kiedy przestał mówić, milczenie panowało w pokoju przez minut parę. Stefan, paląc zwolna papierosa, patrzył na papiery, stół okrywające; Roman, trochę nagłym ruchem wstał z krzesła i odszedł ku oknu, gdzie usiadł w zupełnym prawie cieniu. W cieniu także siedzący Kazimierz po paru minutach zaledwie ozwał się głosem, który usiłował być swobodnym, ale w którym czuć było wzruszenie:

— Czy pan ma zamiar odpisywać Marcelemu?

— Naturalnie, jakże może być inaczej? Jakimkolwiek byłby rezultat naszej rozmowy dzisiejszej...

— Racz-że pan z łaski swojej napisać mu przedewszystkiem to, że czuję się wzruszonym jego przyjaźnią i dobrocią braterską, co zresztą sam parę razy mu wyrażałem. Ma on niewątpliwie serce dobre i zdolne do uczuć bardzo szlachetnych, ale nie zgadzamy się w przekonaniach, oto wszystko. Może ta niezgoda wyniknęła z różnicy natur, albo losów i wpływów, ale jest, i temu, co jest, według własnych słów Marcelego, nie należy wypowiadać wojny...

— Racja! — uśmiechnął się Rosnowski.

— Tak jest — ciągnął Kazimierz — ja zostanę małym dzierzawcą i będzie mi z tem dobrze, tak jak jemu jest dobrze być wielkim aferzystą. Inna wiara, inne życie, tak być musi. Ja kocham go, pomimo jego afer, których nienawidzę, niech on nie odbiera mi przychylności swojej, pomimo mojej dzierzawki, którą gardzi. Jeżeli kiedykolwiek przyjedzie w te strony, z radością powitam go w Kaźmirówce i uczęstuję misą kartofli, albo szklanką mleka. Będzie to idyla, z którą radbym podzielić się z nim, choć przez krótki moment, gdyby tu przybył. Ja do niego nie pojedę.

— Stanowczo powiedziane — rzekł Rosnowski.

I zaraz zwrócił się do młodego Darnowskiego:

— Cóż ty na to, Stefanie?

Małe, ale rozumne oczy jego nabrały wyrazu ciekawości bardzo żywej.

Stefan wzruszył ramionami.

— Jeżeli kiedykolwiek wpływałem na Kazia, to już jest rzecz zrobiona i skończona. Teraz, niech robi, jak chce. Zresztą nie wywiera się na człowieka wpływu przez słowa.

— Przez cóż się go wywiera?

— Przez przykład i uczucia — odpowiedział Stefan.

Uśmiechnął się i dodał:

— Niech Marceli obudzi w bracie, a raczej wskrzesi miłość dla afer, a zarazem przekaże go, że one są dla niego obowiązkiem, a pojedzie on najpewniej robić afery... Mieć dla czegoś miłość i czuć się względem czegoś do obowiązku, oto wszystko. Bez tego nic niema, albo wszystko jest złe.

Rosnowski żywo poruszył się na krześle.

— Przepraszam cię, mój drogi. Miłość, obowiązek, bardzo dobrze, bardzo pięknie, uznają to kompletnie, tylko nie rozumiem, nie mieści mi się w głowie, pojąć nie mogę, do czego tu to wszystko? Co ma do czynienia miłość i obowiązek w tem, że ty, na przykład, człowiek dostatni, orzesz, kosisz, drzewo rąbiesz, że pan Kazimierz, człowiek oświecony i który może czynić wcale co innego, robić to będzie? Jakie tu kochanie? Co za cel? zmiłuj się... to coś mamutowego... ale może ja tu czegoś nie rozumiem? Jestem w tych stronach prawie obcym, więc wytłómacz mi, proszę, co wy właściwie robicie? Co to takiego, co wy robicie? Jaki to gatunek zabawki, czy utopji, czy powracania do stanu pierwotnego? Będę ci bardzo wdzięcznym, jeżeli mi wytłómaczysz...

Teraz oczy gorzały mu poprostu od ciekawości, z jaką wpatrywał się w Stefana, i policzki żółtawe poczęły się rumienić.

Stefan zaśmiał się.

— Jeżeli spodziewasz się, że wydeklamuję ci idylę, to się zawiedziesz. Parabola wprowadzie jest, ale na dnie; na wierzchu zaś znajduje się fakt nadzwyczajnie prosty i prozaiczny, ten, że ja nie jestem, a raczej nie będę wcale człowiekiem, jak powiedziałeś, dostatnim...

— Jaktto! — zawołał Rosnowski — przecież Darnówka...

Ale w tej chwili przerwało mu mowę uczucie zimna i wilgoci na rękę. To Swój dotknięciem pyska przypominał się panu swemu, przyczem, patrząc mu w twarz rozumnie oczyma, warczał zcicha. Rosnowski oburknął go prawie gniewnie:

— Nie mam czasu, Swój! Nie przeszkadzaj mi! Leż spokojnie!

Pies, ziewnąwszy szeroko i głośno, natychmiast zwinął się u jego krzesła w kłęb kosmaty. Rosnowski znowu chciwemi od ciekawości oczyma patrzył na Stefana, który mówił:

— Mam przecież brata i siostrę, a żywię nadzieję, że długo jeszcze nie utracę rodziców swoich. Podzieliliśmy tedy Darnówkę na cztery części, z których jedna należeć będzie do Leosia, gdy skończy nauki, druga stanowi posag Broni, w trzeciej osiedlę się sam, gdy się ożenię i zechcę mieszkać, jak chłopci nasi mówią, *oprócz*, to jest osobno i niezależnie od reszty rodziny...

— Ożenisz się! — z wahaniem w głosie powtórzył Rosnowski.

— Naturalnie, że się ożenię, może nawet wkrótce. Dlaczegoż nie miałbym się ożenić?

— Bo mi ten twój pokój mocno pachnie cełą zakonnika.

Mówiąc to, rzucił spojrzeniem dokoła i dłużej nieco zatrzymał je na krzyżu.

— Tak to się zdaje przybywającym z wielkiego świata — uśmiechnął się Stefan — w rzeczy samej zaś jest to zwyczajna izba rolnika-gospodarza, w której niema tylko...

Może chciał powiedzieć: zbytku, ale wpadł mu w mowę głos od okna:

— Parawaników chińskich!

To wtrącenie w rozmowę nazwy przedmiotu, zupełnie jej obcego, rozśmieszyło wszystkich.

— Zkądże ci znowu parawaniki przyszły do głowy? — zapytał Rosnowski, obracając się do Romana, siedzącego prawie za plecami rozmawiających.

— Bo są modne i wiele ich widywałem.

— Otóż — ciągnął Stefan — chociaż nie mam w swoim pokoju parawaników chińskich, ożenię się jednak kiedyś, może wkrótce i osiedzę na jednej czwartej Darnówki. Zanim zaś to stanie się zemną, a Leoś i Bronia wyrosną, wypuszczamy folwarki w dzierżawę... Mamy w tem wyrachowanie swoje... takeśmy już z ojcem uradzili. Realnie więc będę właścicielem jednej czwartej Darnówki, co nie jest wcale bogactwem i może być dostatkim tylko przy pracy uporczywej i umiejętniej...

— Która w każdym razie mogłaby nie być własnoręczną — zarzucił Rosnowski.

— Zapewne — potwierdził Stefan — chociaż i taka nie zaszkodzi pewnie ani kieszeni, ani zdrowiu, ani głowie.

— Pytanie!

— Dla mnie rozstrzygnięte. Ale nawet przypuszczając, że, jak ty, Bohdanie, mnie masz, zaszkodziłaby głowie, jest jeszcze wzgląd, który czyni ją dla mnie konieczną.

— Mianowicie?

— Mianowicie, wzgląd zrzucenia pychy z serca. Jestem, mój drogi, stanowczym zwolennikiem zrzucania pychy z serca i zakasywania rękawów do robót prostych, takich, jakie się nadarzają, jakie są możliwymi, jakie nie wymagają od człowieka, aby im poświęcał to, o czem zapominacie, ty i Marceli, w swoim wyliczaniu osi świata...

— Więc oprócz dwóch: Marcelego i jednej mojej, wynalazłeś jeszcze jaką?

— Nie wynalazłem jej, tylko, trochę może wyjątkowo, przypomniałem sobie o niej.

— Jakże się ona nazywa?

— Bardzo skromnie i staroświecko. Cnota.

— A! No tak, zapewne, dlaczegóż nie? — rozważał Rosnowski — tylko to może posiadać tłumaczenia najrozmaitsze. Cnota! Ale jaka? jest dwadzieścia tysięcy cnót! Synowska, małżeńska, ojcowska, obywatelska, kupiecka, europejska, afrykańska...

— I tam dalej — przerwał Stefan — tylko że wszystkie, oprócz afrykańskiej, nad którą niech afrykanie łamią sobie głowy, mają jedno źródło, bez którego żadnej z nich niema. Trzeba coś kochać, poczuwać się względem czegoś do obowiązku i wiedzieć, że nie świat jest naszym sługą i podnóżkiem, ale my jesteśmy sługami cierpień ludzkich i idei boskich.. Trzeba umieć kochać i służyć, chociażby służba była ciężką. To jest warunkiem wszelkiej cnoty i bez tego niema żadnej. Kto chce być dobrym synem, ojcem, obywatelem i t. d., musi zacząć od stania się dobrym człowiekiem. Inaczej nic z tego nie będzie...

— To jest — uwyraźnił Rosnowski — musi coś kochać, poczuwać się do obowiązku względem czegoś, zrzucić pychę z serca...

— I — dokończył Stefan — nie wołać z kazalnicy do innych: zrzucicie! ale przede wszystkim zrzucić samemu.

— Rozumiem — rzekł Rosnowski.

Uśmiech, trochę ironiczny, z którym dotąd mówił i słuchał, zniknął mu z ust, zamyslił się na chwilę, po której, z zamysleniem jeszcze, mówić zaczął:

— Jest w tem pewna głębia i loika, nad którą zastanowić się warto. Nasuwają mi się tylko dwie poważne wątpliwości. Pierwsza ta, że z kąd wy nabierzecie tyle robót prostych, ażeby one tym, którzy zdejmą pychę z serca, dały poprostu kawałek chleba? Co do mnie, nie wierzę, aby znalazło się wielu takich, którzyby zgodzili się zostać niepysznyymi panami. To ideologia. Ale przypuśćmy... zawsze jednak, pyszny czy niepyszny, człowiek jeść musi. Dobrze, gdy kto, jak ty, Stefanie, ma warsztat, albo warsztacik; będzie jednak zawsze wielu takich, którzy przyjdą do ciebie i zapytają: a na czemże, u licha, mamy orać?

— A ja nie zdolny będę dać mu na to odpowiedzi, ja jeden, ani nawet nas dwóch, ani trzech, ani dziesięciu, nie odpowiemy na to w sposób zadawalniający. Tylko wiele głów i wiele dobrych woli stworzyć może taką odpowiedź! Jakże chcesz, aby ona istniała, skoro niema takich głów i takich woli, któreby jej szukały?

Tu do rozmowy wmieszał się Domunt, przytaczając jakieś fakty i przykłady z życia Niemiec, w których stolicy długo przebywał; Roman także, ze swego oddalonego miejsca u okna, rzucił parę uwag, zaczerpniętych z doświadczeń i stosunków stron innych. Rosnowski nie był obcy różnym ekonomicznym potrzebom i robotom. Przez jakiś kwadrans gwar rozmowy, bardzo żywej, przez cztery głosy męzkie prowadzonej, nappełniał pokój Stefana. Mówiono o fermerach angielskich, młynarzach węgierskich, ogrodnikach francuzkich, o wielu szczegółach, będących w związku z drobnym rolnictwem, z handlem, przemysłem, z temi prawie niezliczonymi robotami, dokoła których zwijają się skrzętnie

różne mrowiska ludzkie. Kiedy na koniec przedmiot wyczerpał się trochę i rozmawiający umilkli, Rosnowski ozwał się pierwszy:

— To jedno. Ale może z tem dałoby się jakoś poradzić. Masz słuszność, Stefanie, trudno, aby się coś znalazło i wytworzyło, kiedy nikt ani myśli szukać i wytwarzać. Ale mam wzgląd inny, dla mnie stojący w każdej sprawie na pierwszym miejscu. Mianowicie: poziom umysłowy pewnej gromady ludzkiej. Przyznam się, że nie wieszowałbym społeczeństwu, któreby w czasach dzisiejszych, utworzyło lud pastuchów. Powiadacie, że farmerzy angielscy czytują „Times’a”, że chłopci czescy wnoszą świątynie sztuce, że można skończyć uniwersytet z powodzeniem, a potem bardzo pięknie nauczyć się jeszcze robić coś takiego, co niekoniecznie zostaje w związku ze studjami uniwersyteckimi. Bardzo dobrze; ale będzie to tylko oświata. Słusznie utrzymuje Stefan, że oświata, wchodząc w sam szpik człowieka, ulepsza jego samego, wszystko, co on robi i wszystko, co się dokoła niego znajduje. To prawda; oświata czyni to wszystko; ale nie jest jeszcze nauką. Co się stanie z nauką prawdziwą, rzetelną, stosowaną do różnych gałęzi działalności ludzkich, z nauką, która jest...

— Towarem, przeznaczonym na wywóz — przerwał Stefan.

— Jakto towarem? — trochę rumieniąc się zawołał Rosnowski.

— Naturalnie; zdobywa się ją przeważnie dla potrzeb rynkowych i wywozi się potem na różne rynki, wołając do kupujących: kto da więcej?

— Pasztetu! — ozwał się u okna głos Romana.

Rumieńce na policzkach Rosnowskiego wzmogły się i oczy zaświeciły obrazą.

— Moi panowie — rzekł — już kilka razy słyzałem w tej rozmowie oskarżenie w tym rodzaju, ale bądźcież sprawiedliwymi. Nie do wszystkich stosować się one mogą. Do mnie na przykład nie stosują się wcale. Zawód mój jest takim, że chociaż postępuję w nim szybko, dochody mam wcale skromne i nie będę mógł nigdy stać się nababem.

— Wiem o tem — skłaniając głowę rzekł Stefan; — należysz do tych, którzy dla nauki i zawodu swego mają zamiłowanie rzetelne...

— Pieniądzy mam tak niewiele — ciągnął z irytacją w głosie Rosnowski — że nigdy nie będę w stanie odkupić od brata jego połowy Zawrocia. On odkupi odemnie moją, ale prawdopodobnie sprzeda z czasem cały Zawrót komu innemu, bo już się tam zaaklimatyzował i wrócić tu nie zechce. Ja zaś, którybym pewno wrócił na starość, będę na zawsze wygnanecem ze swego kąta rodzinnego. Takim jest moje bogactwo... i nie macie przyczyny kluc mi niem w oczy.

— To prawda — potwierdził Stefan — gdybyście jednak pozostali byli w Zawrociu, każdy z was byłby na jego połowie trzy razy bogatszy, niż ja będę na czwartej części Darnówki. Ale nie bylibyście pysznymi panami. Bo jak tam z pieniędzmi jest, to jest, zawsze przecież jesteś, Bohdanie, pysznym panem...

Ale on nic na to nie odpowiedział. Wstał i odsunął krzesło z małym stukiem, od którego Swój przebudził się i skoczył na równe nogi.

Przeszedł się kilka razy po pokoju; za nim, krok w krok, chodził Swój. Gdy Rosnowski zawracał się u szafy z książkami z jednej strony, a u łóżka Stefana z drugiej, pies zawracał się także i kroczył tuż za jego nogami, z wolna przestawiając wielkie łapy, z kosmatym ogonem, podniesionym i nieruchomym. Na koniec, nie wracając już do stołu, przy którym siedział przedtem, Bohdan Rosnowski ciężko opuścił się na łóżko Stefana. Światła dochodziło tam tyle tylko, że widać było zarysy postaci ludzkiej, naprzód pochylonej i ramieniem otaczającej szyję psa. Z za tej grupy wysuwał się na białą ścianę ciemny krzyż.

— Cóż, Swój? — zaczął przyjemny i w tej chwili ciepły głos Rosnowskiego — wyrzucają tu nam szczęście nasze, kupione na rynku... Powiadają, że sprzedajemy naukę za pasztet... słyzałeś, Swój?

— Hau, hau — szczechnął pies, co wyglądało tak zupełnie, jak gdyby powiedział: a tak! a tak!

— I mają słuszność, Swój, nieprawdaż, że mają słuszność? Pamiętasz, jak nam bywało wesoło, przez długie jesienie i zimy, kiedyśmy we dwóch tylko siedzieli w domu pustym... zupełnie pustym, Swój, bo nasz kucharz i zarazem lokaj, spijał się jak bela i spał jak

zabity... więc we dwóch tylko zostawaliśmy, Swój, na długie, zimowe wieczory i nawet noce...

— Hu, huu! — smutnie ozwał się Swój.

— Nawet noce, bo pamiętasz Swój, jak nocami sypiać mi nie dawała cisza grobowa... ty wiesz, że cisze grobowe, tak samo, jak gwar i hałas czasem, spać nie dają... Ty wiesz o tem, Swój, boś wraz zemną nie sypiał... i dopókim pracował, leżałeś mi u nóg, a gdy zmordowany rzucałem pracę, podnosiłeś się i gawędziłeś zemną...

— Hu, hu, hu, hu! — tęskno poszczekiwał pies.

— Pamiętasz, jak czasem wichry świstały i grzmiały dokoła naszego domu i z jaką rozkoszą słuchaliśmy obaj tych koncertów prześlicznych, a nadewszystko wesołych...

Swój, na wspomnienie o wichrach, zawył zcicha.

— HUUU! huuuu!

— Czasem nietylko wichry świstały, ale i wilki wyły, a wtedy to już była muzyka wspaniała i rozkoszna, prawda Swój?

— HUUUUU!

— Ale kompanje wesołe i koncerty wspaniałe to nic jeszcze. Najdoskonalszy pasztet mieliśmy wtedy, gdym tej djabelskiej febry się nabawił i gdy mię trząść zaczęła w chacie tego leśnika ona, pamiętasz Swój? Leżałem na łóżku, na które padały deszcze karaluchów, a doglądała mię matka leśnika... Pamiętasz, Swój, jaka to była przyjemna staruszka, ta moja dozorczyń... cha, cha, cha! Nadzwyczaj przyjemna, czysta i roztropna staruszka...

— HUUU! HUUU! HUUUU! — rozwył się Swój na wspomnienie staruszki daleko żałośniej i przeciąglej, niż przy wspomnieniu o wichrach i wilkach.

— Wiłem się i stękałem od szalonego bólu kości i głowy, a ty, Swój, lizaleś mi ręce; nic innego zrobić nie mogłeś biedaku, sam w tej chacie, głodny i zmizerowany, lizaleś mi ręce i rozmawiałeś ze mną, jak umiałeś... bo nie było nikogo więcej, kto by rozmawiał z chorym przez całe, długie dni i wiekuieste noce... Szczęśliwi byliśmy wtedy, Swój! Prawda? Pełną gębą zajadaliśmy pasztet, co? Byliśmy wtedy bardzo pysznymi panami, bardzo pysznymi.

Teraz już pies, z przednimi łapami na ramionach pana swego, z pyskiem prawie przyłożonym do jego twarzy, wył poprostu przeraźliwie. Rosnowski przesunął mu rękę po sierści obfitej.

— No, cicho już, cicho, Swój! Doświadczaliśmy przecież także i rzeczy naprawdę dobrych. Spełnialiśmy obowiązki swoje uczciwie i jak należało. Uczyliśmy się ciągle i stosując wiedzę naszą do zawodu pełnionego, myśleliśmy, że służymy nauce, kulturze, postępowi świata. I tak było, Swój, tak było — niezawodnie... tylko, co się tyczy pasztetu, to, Swój, był on gatunku nieosobliwego... wcale nieosobliwego...

— Hau, hau! — potwierdzająco, lecz znacznie już weselej pies zaszczekał.

Dziwne wrażenie wywierała ta rozmowa na trzech ludziach, słuchających jej z oczyma, wlepionymi w kąt mroczny, w którym była prowadzona. Na twarz Stefana, przedtem ożywioną, spadł wielki smutek. Oczy jego, od majaczącej w cieniu postaci człowieka, obejmującej psa i do niego mówiącej, wzniosły się wyżej, na białą ścianę, przetrziętą dwoma czarnymi linjami krzyża. Szybko postąpił ku Rosnowskiemu i rękę do niego wyciągnął:

— Proszę cię, Bohdanie, jeżeli uraziłem cię jakim zbyt szczerem słowem, to mi przebac. Zarzutu interesowności nie stosuję do ciebie i wiesz dobrze, że cię szanuję, chociaż na wiele rzeczy zapatrujemy się w sposób bardzo różny.

Rosnowski wstał, przyjął spiesznie rękę mu podawaną, i z uśmiechem zażartował:

— Żeby tak kot płakał, jak ja szczęśliwy jestem... Przyjechałem tu po kawałek szczęścia, ale nie wiem, czy mi go dadzą... Cóż robić? Naukę i jej stosowanie poczytuję za rzecz wszechświatową, przed którą muszą ustępować wszystkie względy osobiste i zakątkowe. To jest potęga numer pierwszy...

— Drugi — poprawił Stefan.

— Umieszczasz pod pierwszym cnotę?

— Tak — potwierdził Stefan.

— Amen — dokończył Rosnowski.

Zabierał się do wyjścia, wziął ze stołu kapelusz. Z wyrazem znużenia w oczach, tonem żartobliwym i w którym znowu przebiło się uczucie wyższości, zapytał:

— No i cóż to będzie? Widzę, że coś zupełnie nowego? Sekta jakaś? Nowy kościół?

— Owszem — przeciął mu mowę Stefan — rzecz bardzo dawna i znana powszechnie...

Oczy mu zajaśniały. Tonem prostym i z uśmiechem poważnym dokończył:

— Jesteśmy, rzymianinie, chrześcijanami!

— A! — zadziwił się Rosnowski, poczem zaraz poprawił się.

— To naturalne! Któż z nas nie jest chrześcijaninem?...

— Prawie nikt — rzekł Stefan.

— Ależ... ależ, mój drogi, czyliż dlatego potrzeba siedzieć w ciemnym kącie i światło swoje chować pod korcem?

— Jeżeli czynić to nakazuje serce i sumienie...

Rosnowski, rękę z kapeluszem opierając na stole, ze spuszczonei oczyma, milczał chwilę, myślał, potem spojrzał na Stefana wzrokiem przenikliwym i trochę, kędyś na dnie, szydzącym:

— Czy myślisz, że będziesz miał wielu adeptów?... A gdyby nawet... czy myślisz, że to do czego doprowadzi?

Stefan obu rękoma uczynił gest niewiadomości.

— *Quis scit?* — odpowiedział — nikt nie ma prawa wyrokować o przyszłości, bo nikt jej nie zna. *Fais ce que dois, advienne que pourra.*

Rosnowski zwrócił się do Kazimierza:

— Więc odpowiedź, której mi pan udzieliłeś dla Marcelego, jest ostateczną i stanowczą?

— Stanowczą — potwierdził Domunt — nie jestem zresztą bardzo uczonym i nie tak to wiele światła schowa się pod moim korcem.

— Pokora chrześcijańska — zażartował jeszcze Rosnowski.

— Tak — potwierdził Domunt — i nigdy nie przestanę sobie wieszować, żem się na nią zdobył...

— A gdybyś się pan nie zdobył?

— Powiesiłbym się po raz drugi, bo raz już się wieszalem — odparł Kazimierz.

— Niktby tego nie odgadł, widząc pana teraz tak wesołym!

Zstępował już po wązkich schodach, za nim nie bez trudności szedł Swój. W bawialni pani Paulina, z wyrazem zmartwienia na twarzy i zakłopotanemi gestami chudych rąk, zcichą mówiła o czemś mężowi, który, siedząc przy niej na kanapie staroświeckiej i szerokiej, trząsł żartobliwie lysą głową i półgłosem odpowiadał:

— Co tu robić? Nie martw się tem, kotko! Każdy za swoje głupstwo zapłacić musi! co tu robić? Ona za swoje tem zapłaci, że zostanie grzybem!

— Ależ, mój Romualdzie, mnie to właśnie boli... ja się tego lękam... ach, ach, ach, jaby dla niej szczęścia tak pragnęła... tak pragnęła...

Darnowski wziął jedną z jej rąk i z filuternym uśmiechem w twarz jej spojrzał.

— Chociaż z drugiej strony — zaczął.

— Z drugiej strony — powtórzyła, ale zaraz roześmiała się. Zawsze musisz żartować ze mnie!... A pewno, że z drugiej strony... no, ale ty wiesz lepiej odemnie, co jest z drugiej strony.

— Wiem, kotko — odpowiedział — i dlatego mówię ci, żebyś się nie martwiła. Co tu robić? I ja chętnie przychyliłbym jej nieba, ale... niechaj Bóg radzi o swojej czeladzi!

Domawiając słów ostatnich, podniósł się na spotkanie gości, którzy w towarzystwie Stefana wchodzili do bawialni. Rosnowski szybkim spojrzeniem orzucił pokój, w którym oprócz dwojga starych Darnowskich nie było nikogo. Potem, jakkolwiek trzymał ciągle w rękę kapelusz i konie jego stały przed domem, zwlekał z odjazdem. Chodził z panem Romualdem po pokoju, rozmawiając o tem i owem, usiadł jeszcze przy pani Paulinie i doradzał jej jakiś nowo odkryty środek przeciw migrenie. Każdy mógłby spostrzedz w nim niepokój i oczekiwanie. Raz szybkim ruchem odwrócił głowę ku drzwiom, prowadzącym w głąb domu, które się otworzyły. To Bronia weszła do pokoju i zaraz uczepiła się szyi brata, który, stojąc, rozmawiał z Domuntem i Romanem. Jeszcze pięć minut, jeszcze dziesięć, kwadrans, na koniec Rosnowski wstał i zaczął żegnać wszystkich obecnych. Wszyscy teraz stali pośrodku bawialni. Gość przeciągał pożegnanie, wtrącając w nie zapytania, urywki rozmów. Pani Paulina wydawała się więcej jeszcze od niego zaniepokojoną;

co moment spoglądała ku drzwiom, aż rumieńce słabe wybiły się na jej chude policzki. Nakoniec półgłosem rzekła do Broni:

— Gdzie Irusia? Idź po Irusię?

Ale dziewczynka nie zrozumiała wcale potrzeby cichego mówienia i, wychylając się z za pleców Stefana, u którego szyi była uczeponą, głośno oznajmiła:

— Irusia spać poszła! Dawno już, zaraz po wieczerzy, jak tylko Stefek z tymi panami na górę poszedł, kiedy jeszcze Czuwaja karmić zaczynała, spać poszła!

Chronologiczna strona wypadku była tak ścisłą, że o prawdziwości jego wątpić było niepodobna. Na twarz Rosnowskiego spadł wyraz znużenia tak wielkiego, że osłonił wszystkie inne uczucia, którychkolwiek mógł doświadczać w tej chwili. Obejrzał się:

— Czy jesteś, Swój?

W dwie minuty potem siadał do staroświeckiego, lecz jeszcze eleganckiego amerykańskiego, zaprzęzonego w cztery konie, a obok niego, w postawie wyprostowanej, usiadł Swój. Kiedy powozik oddalił się nieco od ganku, do uszu stojących na nim osób doszedł krótki urywek rozmowy. Głos mężczyzny odjeżdżającego przemówił kilka słów, których w głuchym turkocie kół po piasku nie można było rozróżnić, ale na które żałośnie i przeciągle pies odpowiedział:

— Hamm! Hamm!

Po odjeździe gościa, Roman znalazł się sam na sam z panią Pauliną, która też zaraz powierzać mu zaczęła swoje żale i niepokoje. Miała na sobie dnia tego więcej, niż zwykle, koronek swojej roboty: jakąś mantylkę, falbankę, czepeczek skrzydlaty na włosach, gładziutko uczesanych i połyskujących. Wszystkimi tymi trochę nastrożona, w starym swoim fotelu zagłębiona, wyrzekała:

— Otóż widzisz... spać poszła! Wszakże on to wziąć może za formalną rekuzę i nigdy już więcej nie przyjechać... tem bardziej, że i wprzódy jeszcze, nim wyszliśmy na spotkanie wasze, albo wychodziła z pokoju, niby to za gospodarstwem, albo milczała, jak ryba... Ja wiedziałam już po części, że tak będzie, bo mi mówiła...

Roman, siedzący tuż naprzeciw niej, przerwał:

— Cóż kuzynka Irena stryjence mówiła?...

Ale ona filuternie pogroziła mu palcem:

— Ciekawy jesteś! Ale my, kobiety, nie wydajemy swoich tajemnic... chociaż z drugiej strony, co to za tajemnica, kiedy, nie doczekawszy się jego wyjazdu, gdzie tam! prawie w początku wieczoru, spać poszła. Zrobiła to umyślnie, bo nigdy tak wcześniej spać nie idzie! Boże, mój Boże! Co ona zrobiła! Wszakże to jest wyraźna rekuza... i gdyby jeszcze Bronka inaczej jakoś to powiedziała! Przepadło wszystko! Nic już z tego nie będzie! I co z nią będzie?... co się z nią stanie, kiedy ja i Romuald oczy zamkniemy?... Po służbach chyba tulać się pójdzie!

Była, naprawdę, tak wzruszoną i rozżaloną, że o wdychaniu i o „drugiej stronie” zapomniwała; lzy cisnęły się jej do bladych oczu:

— Bo widzisz, Romku, wszakże ja ją od małego dziecka wychowałam. Sześć lat miała, kiedy ojciec jej, taki sobie mały urzędniczek, umarł i ją na bruku sierotą kompletną pozostawił, bo matki także już nie miała. Pokrewieństwo z Romualdem było dalekie, ale zawsze było. Romuald zaraz zrobił projekt wziąć ją do Darnówki. Przeciwną temu nie byłam, owszem. Córki nie miałam jeszcze wtedy, hodowałam ją, jak córkę... Odwdzięczyła się! Ach, ach, ach, jakże się odwdzięczyła! Tylko teraz takie zmartwienie... Kiedy pomyśle, że ona może nigdy nie znajdzie sobie ani towarzysza życia, ani pozycji, ani przyszłości pewnej...

Zaczynała płakać na dobre i już z chustką przy twarzy mówiła:

— Ale jakże ma znaleźć, kiedy starający się w domu, a ona milczy, jak ryba i ni z tego, ni z owego z kurami spać idzie... Ten Rosnowski, taki porządny i miły człowiek, choć z drugiej strony, kiedy sobie pomyśle, że powiózłby ją na koniec świata... Ach, ach, ach, i tak źle i tak nie dobrze! Ale niechby już nam źle było bez niej, byleby ona nie została kiedy, sierotą, bez dachu i chleba...

W tej chwili tuż za plecami kobiety lamentującej, w drzwiach, otwierających się cichutko, stanęło zjawisko, zdające się być żywym przeciwieństwem lamentów wszelkich. Cichutko, i tylko do połowy drzwi otwierając, Irena, trochę naprzód pochylona, zajrzała

do bawialni z takim wyrazem twarzy, jaki mają dzieci, kiedy po urządzeniu figla zabawnego, wysuwają się z ukrycia, wołając: „Oto jestem!” Oczy jej promieniały, usta drgały uśmiechem filuternym, kibić osłonięta, od szyi aż prawie do stóp, różowym fartuszkim w paski, miała w elastycznym przegięciu się taki wyraz, że bez słów, można było odgadnąć wykrzyk: „Oto jestem! Może myśleliście, że na prawdę spać poszłam! Ani myślałam o tem! Jak się macie!” Z temi słowami w wyrazie całej postaci, oczyma promieniejącymi spotkała się ze spojrzeniem Romana i przez kilka sekund nie spuszczała ich, ani odwracała. Owszem, oczy jej wyraźnie zdawały się mówić: „Moje dobre serce nie zlitowało się nad samotnikiem, bo do niego nie należy!” Roman uczył w piersi błyskawicę szczęścia, ale przelotną, bo Irena, z za pleców pani Pauliny spostrzegłszy chustkę u jej twarzy, w mgnieniu oka znalazła się przed nią na klęczkach.

— Wujenka płacze i pewno przezemnie, naturalnie, że przezemnie... ale cóż ja zrobić? Inaczej nie mogę... nie mogę.

Całowała ją w ręce i kolana, pani Paulina, obejmując ją, zaraz się rozpogodziła.

— Moje ty dziecko dobre... rób, jak chcesz... jak uważasz... bo choć ja mam doświadczenie i wiem, co to znaczy... ach, ach, ach, co dla kobiety znaczy wyjść dobrze za mąż, ale z drugiej strony... z drugiej strony ty masz sto razy więcej rozumu odemnie i wiesz, co robisz...

Tu, z impetem ogromnym, wpadła do pokoju Bronia.

— A co! — splaskując rękoma, zawołała — Iruś spać nie poszła! Ach, jakżeś ty mię oszukała, Iruś! Ja naprawdę, naprawdę myślałam, że ty już śpisz... Wzięła i zamknęła się na klucz w naszym pokoju. Stukam, stukam, nic! Myślę sobie: już śpi! Kiedy i mnie będzie pora, zastukam mocniej, to obudzi się i otworzy. Aż teraz przychodzę, patrzę: jej ani śladu i nawet łóżko jeszcze nie posłane! No i pocóżes ty mię oszukiwała? Aha! już wiem! już wiem!

Zaczęła w ręce klaskać i okręcać się na jednej nodze.

— Iruś nie pojedzie! — przyśpiewywała — Iruś z panem Rosnowskim od nas nie pojedzie!

Porwała Romana za obie ręce i zaczęła okręcać go razem z sobą. On pozwalał na to i nawet chętnie się kręcił, mając przytem wielką ochotę razem z nią przyśpiewywać: Iruś z panem Rosnowskim nie pojedzie!

Ale gdzieżby mógł zrobić coś podobnego! Śmiał się tylko z pustego dziecka, które nagle stanęło i zawołało:

— A gdzie Romek orzechy podział, te, co zebraliśmy dla Iruśki?

Wtedy i on przypomniał sobie depozyt Broni, którego miał pełne kieszenie i jeszcze chustkę, gdzieś w przedpokoju pozostawioną.

— Masz tobie! — desperowała Bronia — zostawił orzechy w przedpokoju i pewno już je dotąd Antoś zjadł.

Antoś, był to mały posługacz domowy i jednocześnie uczeń Ireny, wielki, podobno, amator łakoci wszelkich. Pokazało się jednak, że cudem jakimś, orzechów, pozostawionych w przedpokoju, nie zjadł. Roman przyniósł chusteczkę niemi napełnioną i stanął przed Ireną, która nadstawiła po nie fartuszek perkalowy, w różowe paski. Oddawanie depozytu trwało dość długo. Roman wysypywał go z chustki, a potem garściami wydobywał z kieszeni surduta.

— To cud — mówił — przez jaką godzinę tyle orzechów zebrać! Dokonaliśmy go z Bronią!

— Co to dla niej znaczy, kotku, ta twoja garść orzechów! — ozwał się basowy głos pana Romualda, który przed minutą wszedł ze Stefanem do bawialni. Ona, co tu robić, jest w stanie zjeść w kwadrans to, co wyście we dwoje zbierali przez godzinę!

— Nie może być! — zadziwił się Roman. A Bronia zaczęła prosić i poprostu napierać się.

— Iruś, pokaż Romkowi, jak jesz orzeszki.

— Cha, cha, cha — zaśmiał się pan Romuald — pokaż kuzynowi swoją sztukę! co tu robić!

Oprócz pani Pauliny, siedzącej w fotelu, wszyscy stali dokoła stołu czeczotkowego, znajdującego się przed kanapą, także czeczotkową, ogromnie staroświecką, rozłożystą

i nad której wysokim poręczem wisiało na ścianie kilka starych sztychów w ramach drewnianych. Pałała się na stole lampa obficie oświetlała kanapę, sztychy i stojącą przy stole grupę osób, pośród których Irusia ze śmiejącymi się ustami i oczyma prędko, prędko wyswobodziła trochę orzechów z ich szorstkich obłon, poczem traf, traf! chrumst, chrumst! w jedną minutę kilka ich rozgryzła i schrumstała z szybkością nadzwyczajną. Robiła to, naprawdę, w sposób zabawny, ze zwinnością, przypominającą wiewiórkę, kiedy, przebijając łapkami, prędko, prędko gryzie orzeszki lub ziarna. Traf, traf! łupina pęka w zębach białych i mocnych jak młodość i zdrowie; chrumst, chrumst, orzech zjedzony, potem natychmiast drugi, trzeci, czwarty...

— To wyobrażenie przechodzi, kotku, ile ta dziewczyna orzechów zjadać może! — opowiadał stary Darnowski. W zimowe wieczory we wszystkich stronach słychać, to tu, to tam, traf, traf! traf, traf! To Irusia, co tu robić, po domu krząta się i orzechy gryzie.

Śmieli się wszyscy oprócz Romana, który z uśmiechem, ale innej wcale natury, ogarniał spojrzeniem głowę dziewczyny, nieco pochyloną nad rozsypanymi po stole orzechami, okrytą czarnymi włosy, w których wędła blada lewkonja. Czoło jej, które w pełni padającego na nie światła miało wielką słodycz i czystość zarysu, jak magnes przyciągało ku sobie jego oczy. Pani Paulina to spostrzegła i żywo ruszyła się w swoim głębokim fotelu. Nagły domysł, czy pomysł, czy nadzieja, zaświtały w jej głowie. Rozweselona i śmiejąca się zaczęła jednak wdychać.

— Ach, ach, ach, czy pamiętasz Romku, jakeście niegdyś z Irusią tańczyli w tym pokoju? Ja grałam, a wyście kręcili się, jak dzieci... bo i, naprawdę, dzieci z was jeszcze były... ach, ach, ach, jakie to dawne czasy! ale teraz powrócić mogą... chcecie? zaraz wam zagram...

Wstała żywiej, niż kiedykolwiek, poszła do fortepianu i wnet z pod jej żółtych palców słabymi tonami rozplął się po pokoju walczyk staroświecki, lecz melodyjny, może Straussa, czy Lannera, jeden z tych, które grywano wszędzie za czasów jej młodości. Nie była silną: ledwie dotykała klawiszów, więc tony walczyka dzwoniły i śpiewały cichutko, jak oddalone przypomnienie rzeczy dawnych. Grając, obracała głowę ku osobom, pozostawionym przy kanapie, i zapytywała:

— Czemuż nie tańczycie? potańczcie znowu tak, jak dawniej!

Ale z tymi, do których przemawiała, było teraz zupełnie inaczej, niż dawniej. Roman stał, jak przykuty do miejsca, zdala od Ireny, która, wychylona nieco przez okno otwarte, zdawała się czegoś upatrywać w zmroku nocnym. Wspomnienie wiosenne, razem z nutą walczyka, uderzyło mu do głowy falą tęsknoty i rzewności niewymownej. Tyle lat, tyle hałasu i tłumy, tyle żądź zadowolonych i nadewszystko, tyle, ach, tyle zmas i skaz na myśli, sercu, życiu dzieliło go z owym wspomnieniem czystem i świętem, że teraz dotknąć go nie śmiał. Prostu nie śmiał podejść do Ireny i poprosić ją, aby wraz z nim wskrzesiła to wspomnienie, przytłoczone ciężarem lat, które spędzili w rozłączeniu i każde inaczej, tak, zupełnie inaczej! Ona także była wzruszoną i, aby tego nie okazać, odwracała twarz ku ciemności, rozpościerającej się za oknem. Nad nią także przez lata przepłynęła fala, w której nie było pewnie skaz ani zmas, ale, czy nie istniały smutki i żale, kto wie? Nawet istniały niezawodnie, może też była kropelka żalu do tego, dla którego dziecinne jeszcze jej serce biło mocno przy dźwiękach tego samego walczyka.

Ale w skromnej bawialni Darnowskiej znajdowała się istotka, na którą czas nie spuścił jeszcze żadnego cieniu, ani żadnej kropli gorzkiej. Ją, już rozbawioną gryzieniem orzeszków przez Irusię, muzyka matczyzna porywała w siódme niebo. Stała przed Romanem i, łapki, ciemne od ogorzeliżny, ku jego ramionom podnosząc, poprosiła:

— Potańcz ze mną, Romku... mój drogi, potańcz ze mną...

— Alboż muszka umie tańczyć walca?

— Umie, Irusia nauczyła...

— A kiedy ja nie mam ochoty...

— Proszę, proszę, mój braciszku...

W nagrodę za tę nazwę, pochwycił ją wpół i kilka razy obiegli dokoła pokój, ku wielkiej uciesze starych sztychów nad kanapą, które w świetle lampy zdawały się nabierać barw i ruchu; ku uciesze też wielkich zmarszczek na czole starego Darnowskiego, które,

rozsypując się w promienie ukośne, zdawały się wołać ze śmiechem: „Jak się te dzieci zaprzyjaźniły. Co tu robicie! My także mamy swoje pasztyty!”

Stefan i Kazimierz rozmawiali z cicha w kącie pokoju, w progu zaś stanął ulubieniec Broni, podwórzowy pies, Czuwaj, wielki i kudłaty, czarny i biały, a, widząc swoją małą opiekunkę, z rozwianymi kędziorkami złotymi latającą, jak motyl po pokoju, parę razy wesoło zaszczekał. Zdyszana, rozbawiona, z oczyma rozbłysłymi, Bronia, po ukończonym walcu, oba ramiona zarzuciła na szyję swego tancerza i, wyciskając na jego policzku pocałunek, prawie tak głośny, jak wystrzał małego pistoletu, oświadczyła:

— Dobry, kochany Romek. Dziękuję, że potańczył ze mną. Kocham Romka — choć jest australczykiem...

On, mocno ściskając jej obie łapki, odpowiedział:

— Moja ty złota myszko!

I czuł, że to dziecko było mu bardzo blizkiem i drogiem.

— A teraz, spać dzieci! — wyrzekł pan Romuald, wstając z krzesła.

Kiedy Roman podawał rękę Irenie z życzeniem dobrej nocy, rysy jej były zupełnie spokojne, ale w cieniach rzęs spuszczonej i w zarysie ust zamkniętych błędził wyraz smutku cichego, czy lży, ukrywane pod powieką.

Późno już było; on chodził jeszcze w ogrodzie, pod szeregiem brzoź płaczących, ciągnącym się aż do bramki, która otwierała się na łąkę. O spaniu myśleć nie mógł. Mnóstwo pytań, mnóstwo niepokojów i niepewności miał w głowie i w sercu. Życie stawiało przed nim znak zapytania tak natarczywy, że ani ominąć go wzrokiem, ani odwrócić się od niego nie mógł. Cóż będzie? Jakże? To, czy tamto? wybieraj! On już nawet wybrał — w teorii. W czasie rozmowy, która w jego obecności toczyła się dziś pomiędzy Stefanem a Rosnowskim, z nim stała się rzecz szczególna. Uczuł, że z całej siły stoi po stronie Stefana. Zbierało się to kropla po kropli przez wszystkie dni poprzedzające, aż zlało się w kryształ stały i jasny. Jasno już wiedział, że w uczuciach i przekonaniach zjednoczył się ze Stefanem. Ale to była dopiero teoria, w praktyce ukrywała się konieczność powzięcia postanowienia, mającego stanowczo rozciąć mu życie na dwie połowy, zupełnie z sobą różne, a to właśnie przedstawiało trudność wcale nie małą. Trzeba było albo spocząć na fali życia gładkiej i przyjemnie muskającej ciało, chociaż na dnie — wiedział o tem dobrze — chłodnej i — trochę brudnej; albo wziąć życie poprostu za bary i, mocując się z niem, mieć ciało w pocie i udręczeniach częstych, a tylko duszę w sferach ciepłych i czystych. Bo, że taki całokształt istnienia, jaki dobywał się z pojęć i życia Stefana, nie był idylą wiecznie tylko różową, temu Stefan sam nie zaprzeczał; a gdyby nawet zaprzeczał, dość było uważnie na niego popatrzeć, aby w nim odgadnąć wiele wyrzeczenia się i walki, może już skończonej, a może i nigdy nie mającej się skończyć. Bo nikt nie może bezkarnie zejść z drogi, wydeptanej przez tłumy, ani łatwo wyrzec się tego, do czego pociąg odziedziczył z krwią pokoleń poprzedzających i wziął od tych floresów, które rozkwitają u szczytów najwyższych wieżyczek cywilizacji. Cierpienie jest tu nieuchronnem i Roman, do dna już rozumiejąc teorię, nie rozumiał jeszcze, w jaki sposób można mieć siłę do podźwignięcia wieńca z cierni i potem do noszenia go dobrowolnego. Co więcej, nietylko rozumiał do dna teorię, ale miał serce, napełnione do głębi temi uczuciami, które najpewniej były ich pierwszą przyczyną. Jednak patrzył na stojący przed nim znak zapytania z niepokojem i wątpliwością w głowie i w sercu.

Chwilami zapominał o wszystkim i w zmroku nocnym widział tylko obok siebie, albo przed sobą, wysmukłą dziewczynkę, w różowym fartuszk i z kwiatem, wędnącym w kruczych włosach. Radość zdejmowała go na myśl o tem, co zaszło pomiędzy nią, a Rosnowskim. Bez słów i jego nie dopuszczając do słowa, odprawiła go z kwitkiem, to było widocznem i pewnem. Czy z nim, z Romanem, postąpiłaby tak samo, gdyby okazał zamiary podobne? Może nie, bo w jej oczach, głosie, rumieńcach, spostrzegł nieraz coś, co pozwalało mu myśleć z mocnem biciem serca: może nie... Ale po chwili śmiał się z samego siebie. Co za myśl! Jeżeli nawet nie myliły go domysły, postąpiłaby z nim tak samo, jak z tamtym, mógł być tego zupełnie pewnym. Dziwna kobieta! Jak ona może żyć spokojnie z myślą, że nigdy dla niej nie wejdzie to święto życia, którem dla kobiety jest miłość? Czy tylko dla kobiety? Z wielką mocą czuł w tej chwili, że dzień, w którym mógłby powiedzieć sobie, że jest przez nią kochanym, byłby dla niego świętem tak wielkiem, że podobnego dotąd nie miał. Ale ona zdawała się o tem święcie nie myśleć

wcale. Czy jednak nie myślała? Czy nie czuła tęsknoty w terażniejszości, trwogi przed przyszłością? Będzie to przyszłość kwiatu, zwiędłego bez pełni rozkwitu, może zdeptanego. Przypominał sobie słowa pani Pauliny: „Gdy ja i Romuald zamkniemy oczy, chyba po służbach tułać się pójdzie!” Jakto? i ona może nie lękać się rzeczy takich, może nie tęsknić i nie lękać się! Kto wie? Może tęskni i lęka się... bo dziś jeszcze, zrazu wesola, przy końcu wieczora zasmuciła się głęboko. Dla niego nie było to tajemnym, bo przeniknąć ją pragnął i usiłował. Szaleństwo ogarniało go na myśl, że on przeciw temu nic nie może i musi pozostać, tak, jak tamten, dziś odprawiony, obcym dla niej na zawsze.

Po raz trzeci, czy czwarty, w niespokojnej przechadzce swojej, zbliżył się do ogrodowej bramki, prowadzącej na łąkę. Tym razem przystanął i spojrzął na krajobraz, przysłonięty zmrokiem nocnym, a słabo rozwidniony przez gwiazdy. Drobne punkty krajobrazu niknęły w zmroku, większe występowały z niego, jak plamy czarne, tylko pałacyk Oławickich wychylał się ze swojej masy drzew, jak dalekie widmo, okryte mętną bielą. Roman utkwiał wzrok w tym punkcie widnokregu oddalonego, lecz nawet w cieniach nocnych zdającym się panować nad wszystkim, co go otaczało. Ta sama żmijka zawiści, czy urazy do losu, którą na wieczorze u baronowej Lamoni uczuwał na widok wielkich i możliwych tego świata, teraz znowu uszczypnęła go za serce. Tak, tak; ten, kto tam mieszka, szczęśliwy, choćby dlatego, że droga jego jasna i kanwa gotowa. Nie potrzebuje wybierać, ani wyrzekać się. Jeżeli jest lampą i świeci, to z łaski Bożej, bez utrudzenia, ani umartwienia najmniejszego. I dlaczegoż nie miałby świecić? Potrzebuje na to wyekspensować tylko trochę dobrej woli i trochę okruczeństwa swego pasztetu. Jednak Marceli Domunt ma słuszość: bogactwo i potęga, to osie świata. Dobremi są choćby dlatego, że dają możliwość zakładania fabryk dobra. Łatwa cnota, więc prawie konieczna, bo któżby nie chciał jej praktykować, gdy go to nic prawie nie kosztuje? Ale te osie świata dają także i możliwość szczęścia. Bo z jakimże szczęściem, z jak bezgraniczną radością Roman porwałby tę, której przeznaczeniem ma być „tulanie się po służbach”, i wniósł ją do tego siedliska dostatku, bezpieczeństwa, wynalazków zbytku, wymysłów rozkoszy...

Tu, w tem miejscu marzenia, obudził się, jak ze snu, i zaśmiał się prawie głośno.

— Parawaniki chińskie! — rzekł do siebie. Głupstwo!

Idąc zaś znowu w stronę domu, myślał:

— Cóż ztąd, że głupstwo, skoro człowiek ma w sobie jego pożądanie i potrzebę? Tytanja, kochająca się w osle, wieczny symbol duszy ludzkiej, upędzającej się za tem, czem sama gardzi. Ta królowa „nocy letniej”, przy światłach, zapalonych przez Elfów, widziała dobrze osłą maskę swego kochanka, niemniej przepadała za nim. Świetna to rzecz, ów „sen nocy letniej”. Nieraz widywał go na scenach. Jakże to wspomnienie i wszystko, co się z niem łączy, dalekiem jest, nieskończenie dalekiem od Darnówki.

Zbliżał się ku domowi, którego okna były już ciemne, oprócz jednego, świecącego z za rozłożystej akacji. Minał ganek, pogrążony w głębokim cieniu drzew ogrodowych, i przybliżał się do tego okna, gdy zdało mu się, że słyszy głos, którego brzmienia nagle przykuły go do miejsca. Był to głos Ireny. Domyślił się zaraz, że, spełniając jeden ze stu obowiązków swoich, czytała głośno wujowi. Nie obchodziło go wcale to, co czytała, i zrazu, nieruchomy pod rozłożystymi gałęzmi akacji, słuchał tylko głosu. Ale wkrótce usłyszał i słowa. Same przez się, bez jego woli, przedarły się mu do słuchu i uderzyły w niego wrażeniem niespodziewanem. Z za akacji i szyb, ozłoconych światłem lampy, uszu jego doszły słowa:

— „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni”.

— „Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyчени”.

— „Błogosławieni miłosierni”...

Szelest wiatru w akacji przytłumił kilka słów następnych; Roman spojrzął w gwiazdy i zdawało mu się, że głos i słowa, których znowu słuchał chciwie, spływały od gwiazd.

— „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadają ziemię”.

— „Błogosławieni cierpiący za sprawiedliwość, albowiem ich jest królestwo niebieskie”.

Wiatr silniej zaszeleścił w akacji i pomknął dalej, pomiędzy drzewa ogrodu, nad dach domu, nad pole. Czy to anioł w noc mroczną oblatywał ziemię, roznosząc po niej dobrą nowinę: „Błogosławieni, którzy cierpią!”

VIII

Był to ranek świąteczny. Świąteczność objawiała się na polach pustką, a na drogach polnych zaludnieniem niezwykle. Narzędzia pracy i ludzie pracujący zniknęli; w żółtej poźni spokojnie słały się siwe puchy koniczyny i białe wełny kocanek, a na skibach ziemi świeżo zoranej ptaki bezpiecznie szukały żeru.

Nikt dziś w tych samotnościach rozległych i światłem słonecznym zalanych nie deptał kwiatów i nie trwożył ptaków. Za to po drogach i drózkach przeciągały gromady ludzkie, zdawała podobne do bukietów i wstęg jaskrawych. Od ubrań kobiecych, a nawet męzkich, biła najjaskrawsza możliwie czerwoność i żółtość, z silną domieszką szafiru i zieloności. Te barwy dzikie i mocne, po wielu naraz punktach rozproszone, rzucały na widnokrąg nutę wesołą. W oddali rozlegał się głos dzwonu, którego tony srebrne przygaszały i wzdymały się, i słabły nabierały mocy, znikwały i znowu leciały, śpiewały, wołały w powietrzu pełnym słońca, nad kwiatami zaściewającymi pola i ludźmi, mrówiącymi się po drogach. Był to dzwon jednego z dwu najwidoczniejszych punktów krajobrazu: kościoła parafialnego w Zawrociu. Przed drugim z tych punktów, to jest przed bramą dziedzińca w Górowie, stanęła bryczka, kilimkiem okryta, parą kasztanków zaprzężona, z woźnicą w szarej switce na koźle. Wyskoczyli z niej prawie z jednostajną żwawością dwaj ludzie różnego wieku.

— Ot, masz, kotku, i Górów! Chciałeś go widzieć, miałeś rację, co tu robić, miałeś rację! Rezydencja piękna i kto chce dobrze poznać te strony, musi jej także przypatrzeć się zblizka co tu robić! Warto przypatrzeć się zblizka, co tu robić, bardzo warto!

Pan Romuald był ożywionym jak zwykle nawet więcej niż zwykle. Częściej jeszcze niż zazwyczaj powtarzał swoje zabawne przysłowie, na synowca patrzył wzrokiem śmiejącym się i rozbłysłym. Roman zatrzymał się chwilę u bryczki.

— To w Zawrociu dzwonią? — zapytał.

— A, w Zawrociu, kotku, na nabożeństwo dzwonią. Ale ono jeszcze, co tu robić, nie zaraz się zacznie. Jeszcze, co tu robić, w porę zdążymy. No, chodź oglądać park i pałac! Klektałeś mi głowę tem oglądaniem, to chodźże teraz i oglądaj, co tu robić!

Roman zawahał się.

— Jakto? tak odrazu? nie prosząc o pozwolenie?

— Można, kotku! Cha, cha, cha, cha! Można! co tu robić! Już ja ci ręcę, że, co tu robić, bez prośby o pozwolenie... cha, cha, cha!

Śmiał się nie wiedzieć czego, ale serdecznie.

— Ot, popatrz najprzód, jaka alea pyszna i jakie sztachety! phi, phi! takiej alei i takich sztachet byle gdzie nie zobaczysz, co tu robić;

Sztachety istotnie wykwiłtne, kosztowne, ze słupami murowanymi, obejmowały na przestrzeni bardzo znacznej masę zieloności prawdziwie potężną. Za niemi, z nieprzejrzanej gęstwiny wirginij i akacyj, tworzącej niby wał obronny, dobywały się w odstępach regularnych pnie drzew, grube u podnóży, a u szczytów łączące się znowu w gęstwinę nieprzejrzaną. Wyglądało to wspaniale; tylko że w wielu miejscach słupy, z których tynk opadł, świeciły nagą czerwonością cegieł, zawsze do ran podobną, a z zewnętrznej strony sztachet rozrosło ogromnie łopiany, żywokosty, pokrzywy, chrzany, tworzyły pod wałem z wirginij i akacyj jeszcze jedno, najniższe piętro zieloności, poplamionej brudną białością kwitnącego obficie mydlniku. Pomiędzy dwoma pasami takiej dziczyny swobodnej i bujnej, w zagłębieniu drogi wraz z gruntem trochę fałującej, wyschła kałuża pozostawiła czarny pas błota, nigdy nie wysychającego. Za kałużą stały długie i ślepe ściany budynków gospodarskich murowanych i rozległych; po drugiej jej stronie wznosiła się brama pałacowa, murowana także, wysoka i szeroka, cacko architektoniczne, wystudiowane, ozdobne, świecące na słupach i gżemsach ranami czerwonymi, z jednym tylko wieżem, wiszącym na jednej tylko zawiasie, ukośnie i jakby na włosku. Drugi leżał w zielskach połyskując gdzie niegdzie metalem rdzewiejącym. W tej bramie, gościnnie rozwartej, Roman stanął i rozejrzył się dokoła ze zdziwieniem wielkim.

Dziedziniec ogromny otoczony był kołem drzew, pośród którego pałacyk stojący w głąb wydawał się klamrą, spinającą wieniec królewski. Z prawdziwie królewską powagą stały tu świerki, modrzewie i sosny alpejskie, na których tle, prawie czarnem, słały się niezliczone wzory, wzrosty i odcienia drzew liściastych. Wysmukłe, rozłożyste, wyższe i niższe, te drzewa liściaste rozrzucały na ciemnym tle iglastych gałęzie, podobne do

girland, bukietów i wodotrysków. Były tam szczyty zaostrome jak iglice wieżyc, takie, które rozkładały się w wachlarze, i inne, zwieszające ku dołowi gałęzie płaczące liśćmi, jak strugami łez. Jedne wznosiły się nad drugimi, które z kolei zdawały się następować na inne, lecz w tym natłoku, pełnym różnorodności, na pozór nie przebranej, żaden szczegół nie ginął, bo wszystkie, dzięki umiejętnemu wycieniowaniu barw i rozmiarów, odrzucały się wzajem od siebie z wypukłością rzeźb najdoskonalszych. Sztuka bardzo biegła, natura bardzo sprzyjająca i czas bardzo długi wytworzyły ten przepych, dobywający się z ziemi i roztaczający w przestrzeni olśniewające gry linii, światła, półświatła i zmroków ciemnych, w których połyski srebrne i kory białe majaczyły jak widma, kryjące się przed słońcem. Był to jeden z trzech wielkich szczegółów obrazu, widzianego z bramy pałacowej. Zaraz po nim, oko zatrzymywało się na pałacyku lekkim, doskonale stylowym, obwieszonym girlandami dzikiego wina. Z pomiędzy tych girland wychylały się ściany białe, balkony napowietrzne, okna liczne, baszty dumne i zgrabne, obwiedzione u szczytów galeryjkami, podobnymi zdala do przędzy wysnutej rękoma wieszczek.

Jedno i drugie: wieniec drzew przepyszny i pałacyk bardzo ładny, mogły tylko podobać się albo nawet obudzić uczucie zachwycenia, wyciekające z pięknych dzieł natury i sztuki. Ale trzeci szczegół obrazu obudzał zadziwienie i ciekawość. Był nim dziedziniec pałacu wielki, w ogromnym kole drzew, mający kształt okrągły.

Czyliż naprawdę był to dziedziniec pałacowy, lub może raczej łąka, zaniedbana przez ludzi, a przez naturę zasiana z hojnością niesłychaną? Ta duża przestrzeń, jak morze falami, wzdymała się pagórkami i wałami, utworzonymi z łopianów, podbiałów, szczawiów, geranijów dzikich, wzrosłych do wielkości prawie bajecznej. Gdzieindziej, zamiast pagórków i wałów z liści zębatych, pierzastych gwiazdzistych, rosły lasy łądyg nagich, bo już okwitłych, albo jeszcze jaśniejących kwiatami takimi, jakie zazwyczaj żyją w samotnościach polnych lub tężnych od ludzkiej ręki i przemysłowości dalekich. Pośrodku dziedzińca, gdzie na małym wzgórzu można było jeszcze rozpoznać szczątki kompasu, stała grupa wysokich wiesiołków, jak stu świecami płonąca setką koron jasno-żółtych, które dniami i nocami szeroko rozwarte, noszą tu i owdzie nazwę „świec nocnych”. Świece te gasiły blaskiem brudną żółtość dziewann, równie jak one wysokich, a do kolan i do stóp dorastały im i słały się dzwonki krzaczyste, weroniki o fioletowych kłosach, drjakwie białe, biedrzeńce koronkowe, mięty kiciaste, srebrniki sypiące deszcze gwiazdek żółtych na trawy i zielska niskie, gęste, poplątane, zaciekające morzem falistym pomiędzy drzewa i zalewające podjazd pałacowy. Ten podjazd był szeroki brukowany, wsparty na szeregu kolumn ozdobnych. Tuż przed kolumnami wyrosło kilka ostów niezwykle wysokich, które po kwiecie świeżo opadłym, dostały na łądygach puchów siwych i długich. Te osty wyglądały bardzo szczególnie; wyższe i niższe, z wiszącymi na nich puchami, miały pozór dziadów-zebraków, zebranych w kupę u stóp pałacu i gdy wiatr powiewał, trzęsących siwymi brodami w rozmowie tajemniczej.

Tajemniczość pewną nadawało także obrazowi całemu milczenie, które tu panowało. Mącił je tylko szczebiot ptactwa w drzewach. Oprócz niego nic słyhać nie było, nic zupełnie. Pałacyk stał cichy, jak grób. Okna jego były zamknięte i słońce nie zapalało w żadnym z nich połysku żadnego. Nie można było odgadnąć zdala przyczyny, dla której wyglądały jak źrenice, powleczone bielmem.

Ochłonawszy ze zdziwienia, obudzonego przez widok niespodziewany, Roman zapytał:

— Czy tu nikt nie mieszka?

— A widać, widać to zaraz, kotku, że nikt nie mieszka — wesoło i rażno odparł stary Darnowski. Ale cóż nam to szkodzi? Owszem, co tu robić, swobodniej obejrzymy sobie wszystko. Chodź do ogrodu!

— A gdzie mieszka Oławicki?...

— Tędy, kotku, pomiędzy temi drzewami będzie najbliżej... Co za drzewa! a? Co za bujność i żyźność! Patrzej tylko, oglądaj się i, co tu robić, głębie rozdziawiaj! Takiej gleby, jak w Górowie, daleko na okół nie znajdziesz, nasza w Darnówce ani się do niej umywała. Człowiek, będący rolnikiem i gospodarzem, patrząc na nią, co tu robić, smakuje i oblizuje się. Raj ziemski, kotku, prawda, a? co tu robić!

— Przypuszczam tylko, że w raju musiało być trochę weselej — zauważył Roman.

— Smutno ci tu? — zadziwił się Darnowski — czego? Masz wiedzieć, kotku, że Górów to rzecz wcale wesoła, wcale wesoła dla właściciela swego. Dobra wielkie, co tu robić, prawdziwie pańskie. Kilka tysięcy morgów ziemi prawdziwie bożej, kotku, łaskawej, hojnej, miłosiernej, kotku... do tego, co tu robić, lasy i wody, pastwiska i młyny, wszystko, czego trzeba, kotku, a pośrodku państwa rezydencja taka, co tu robić...

Wpadł w zapał i krokiem sprężystym idąc obok synowca, z wielomównością, u niego nawet niezwykłą, opowiadał rozległość, przymioty, wartość wszechstronną dóbr Górówskich. Głos jego raźny i donośny, przerywany często śmiechem swobodnym, brzmiał w cieniach głębokich, w gęstwinach zdziczałych, w milczeniu absolutnym, jak w puszczy dziewiczej.

W ogrodzie i parku, który przebiegali obaj w kierunkach różnych, znowu modrzewie, świerki, sosny alpejskie, inne jakieś drzewa iglaste, ciemne, ponure, na których tle śmiała się wiecznie świeża zieleność brzoź, przyodzianych w kory białe, wznosiły się całe szeregi odwiecznych wiązów, lip i jesionów, rosły zarośla krzewów najpospolitszych i najwyższakszych, zmieszane, splątane, rozbujające, pełne zmroków głębokich, odkrywających nagle przestrzenie świetliste, blaskiem słońca pokryte, gorejące czerwienią, już jesienną niektórych gałęzi, jak płomieniami. Czasem z za grupy drzew, z za zarośli krzewów, przez nagłą szczyrbę w alei, gdzie leżały na ziemi drzewa połamane, ukazywał się pałacyk, wytworniejszy jeszcze od strony ogrodu, niżeli od strony dziedzińca. Czerwonawe girlandy owijały jego wielkie ganki i, pelzając po ścianach, wieszwały się nad oknami bez połysku, jak brwi krwawe nad osłepłymi oczyma. Ukazywał się, znowu niknął, lecz po dawnych trawnikach, klombach, drogach, których oko bystre odkryć mogło słabe tylko ślady, niby echa od niego rzucane w przestrzeń, iskrzyły się takie same sploty czerwone, jak te, które go zdobyły. Latorośle wina dzikiego bujały tu z siłą i rozrostem niesłychanym, owijały pnie, pozostałe po drzewach złamanych, wzdymały się na trawach, jak piana żółto-krwista na morzu zielonym. Wiatr roznosił ich nasiona; on, który tu był gospodarzem, siał łamał. On, słońce i bogate soki ziemi czyniły tu wszystko. Jeszcze także praca ludzka, ale już dawno; więcej nikt. W tej chwili królową wszystkiego tu była cisza. Wrażenie, przez nią wywierane, przemagało wszystkie inne. Pośród okolicy, w dzień świąteczny zaludnionej, wystrojonej, rozdzwonionej, to miejsce było pustynią, raczej puszcza, w której tylko trochę ptaków drobnych gwarzyło w drzewach. Zapewne po drugiej stronie drogi błotnistej, pomiędzy śpichrzami i oborami, topiącemi się w dzikich zielskach, było jakieś życie ludzkie, ale słabe, bo przestrzeni, dzielącej je z pałacem i parkiem, odgłosy jego dosięgnąć nie mogły, więc tylko drobne ptactwo tu i owdzie świergotało i szczebiotało, wiatr w drzewach iglastych z cicha szumiał, a liściaste poruszał małym szelestem, słońce kładło wielkie płachty złota na trawniki, usiane centkami zdziczałych stokroci.

Roman zdjął kapelusz i przesunął rękę po czole zmarszczonem.

— Szalenie smutno tu, mój stryju. Inaczej wcale wyobrażałem sobie Górów. Gdzież jest pan Henryk Oławicki, stryju?

Stary odpowiedział różnie:

— Czy ja wiem, kotku! Jakże i po co ja mam wiedzieć, gdzie pan Oławicki! Górów znam z czasów dawnych, co tu robić, ale i parę miesięcy temu byłem tu ze Stefkiem, aby pomówić z rządcą o interesie młodego Wygrycza... ale, co tu robić, ty nie wiesz, kto to Wygrycz i mniejsza o to. Dość, że byliśmy tu ze Stefkiem i obesłaliśmy we dwóch całe to miejsce, jak teraz z tobą... Zaraz tu będzie, gdy z alei tej wyjdziemy, ładny obrazek... co tu robić... bardzo ładny... ot i jest już! popatrz tylko! Prawda, że ładny? Warto popatrzeć? a? co tu robić!

Obrazek był dziwny. Staw okrągły i duży nie świecił przezroczem kryształowem i nie odbijał w sobie nieba, ani płynących pod niem obłoków kędzierzawych. Pod szerokimi liśćmi grzybieniów, pod sieciami rzęs i zaroślami łoż, rozświet, sitowi, powierzchnia wody znikła prawie zupełnie, gdzieniegdzie tylko występując wśród pleśniejącej zieleni okami mętnego błękitu. Po brzegach stały grube wierzby z siwymi liśćmi, olchy rosochate, i jedna wysoka topol włoska, u której wierzchołka jeżyło się nagimi zębami brzozy gniazdo bocianie — puste. Przez wiatr wykrzywione, puste gniazdo rysowało na tle nieba linję zębiastą i ukośną. Pustą, jak to gniazdo była altana lipowa, zielskiem zarośla, z czemś bielejącem w głębi. Ławki, które niegdyś stały w niej kręgiem, przemieniły się w zgniłe i pruchniejące drzewa. Nappełniała ją stęchlizna, w której ziele jaskółcze świeciło w dole

zółtością, podobną do pleśni; w głębi, u góry, pod splotem gałęzi, na wysokim piedestale mętnie bielą posąg, dzieło sztuki, i Darnowscy stanęli przed posągiem.

Było to dzieło sztuki, niegdyś bardzo piękne, po którym pozostał tylko tors, wykonany mistrzowsko i ramiona, podniesione ruchem błogosławiącym. Głowa, nie wiedzieć, przez co strącona z szyi, nie wiedzieć, gdzie się podziała. Może upadła na ziemię i przykryły ją ziele jaskółcze. Co, kogo wyobrażał posąg, niepodobna było teraz odgadnąć, to tylko zdawało się pewnym, że błogosławił. Przez otwór altany widać było staw, pokryty pleśniami, topol z pustym gniazdem bocianiem, a za stawem w oddaleniu nie dużem szary pas wsi, najeżonej drzewami. W głębi zaś altany ciemnej, wilgotnej, opuszczonej, świętość jakaś bez nazwy i oblicza, wyciągała ramiona marmurowe nad ławkami gnijącymi i ziele jaskółczym, z powagą i pięknnością wszystkich rzeczy, poczętych w myśli wzniosłej. Błogosławiła. Pleśniom i stęchliźnie, zmrokowi i ciszy, której tu ptaki nawet nie przerywały, błogosławiła.

Roman szerokimi krokami oddalał się od altany, dążąc ku miejscu, pozbawionemu drzew i stojącemu w ciepłe słonecznym. Stary Darnowski, który, przypatrując się stawowi, trochę był za nim przystał, doganiał go z głośnym śmiechem.

— Czekał no, kotku, czekał no, nie porzucaj swego Piętaszka. Bo jeden z nas Robinsonem jest, a drugi Piętaszkiem, ponieważ, co tu robić? znajdujemy się na wyspie bezludnej. Nie rozłączajmy się przynajmniej, bo jeszcze nas, co tu robić? wilki zjedzą w tej — strażnicy. Czy ja dobrze pamiętam, że oni nazywali się Robinson i Piętaszek... ci, co to wiesz? Ale mniejsza o to! Jeszcze, co tu robić, musimy zobaczyć, kotku, co dzieje się we środku, w pałacu... jak tam urządzone jest wewnątrz strażnicy... musimy zobaczyć dla dokończenia, co tu robić, dla dokończenia musimy zobaczyć...

Z oczyma rozgorzałymi, jak żarzewia, ze zmarszczkami, falującymi na wielkim czole, jak wzburzone morze, śmiejąc się i żartując, dopędzał synowca.

— Czy Oławicki jest zrujnowanym? — zapytał Roman.

— Gdzież tam, kotku! Jest bardzo bogatym. Oprócz Górowa, posiada wiele jeszcze różnych rzeczy, co tu robić, w ziemi i metalu... Panem jest całą gębą. Ma dwóch synów, którzy, podzieliwszy się dobrem ojcowiskim, będą jeszcze panami całą gębą. Ale, co nas to może obchodzić?... Pies kudłaty, jemu ciepło, chłop bogaty, jemu dobrze, prawda? co tu robić! Ot i pałac! Zajrzyjmy przez okno, jeżeli jest choć jedno nie zasmarowane kredą. Po jakiego djabła oni szyby zasmarowali kredą? Ażeby ich słońce nie przepalało, co tu robić, i aby od światła obicia na meblach nie płowiały. Pewno, pewno! słusznie! Jednak my tu znajdziemy sobie jaką dziurkę, albo szparkę, co tu robić, ażeby przez nią zajrzeć do środka.

Mówiąc to, chodził pod ścianą pałacu, podnosił głowę, oglądał z osobna każde okno, a, nie znajdując żadnej dziurki ani szparki, z niezadowoleniem machał ręką i pstrykał palcami.

Roman oparł się plecami o drzewo, ramiona skrzyżował na piersi i z podniesioną głową patrzył na okna, które wzajemnie patrzyły na niego białkami martwymi, z pod brwi krwawych. Stanowczo miejsce to było niezdrowem. Dreszcze przebiegały mu po plecach, na piersi czuł ciężar, a w mózgu coś nakształt przerażenia, sięgającego stopnia grozy. Boże, jaka pustka, jaka ruina i jaka cisza! Cyt, ktoś śpiewa! Jednak doszedł tu przecież głos ludzki! Ale to tylko zwiększa smutek.

Zdala, zdala, od pola złotego za stawem spleśniałym, dochodziła nuta śpiewu przewlekle i żałośnie. To chłopka jakaś, idąca do kościoła, lub w poranek świąteczny obchodząca swój zagon lnu dojrzałego, zawiodła z całego gardła i na całe pole pieśń, która tu dochodziła kilku nutami wjolinowymi, zamieniającymi się wciąż koleją monotonna. Było to żałośnie i pierwotne. Od tej pieśni, w tym miejscu, robiło się już zupełnie tak, jak na pogrzebie.

W tejże chwili Darnowski, przez kilka minut niewidzialny, wychylił głowę z za splotów wina, którego liście spadały mu na odkrytą łysinę. Czapkę trzymał w ręku.

— Chodź no tu, kotku — zawołał — jest jedno nie zasmarowane. Znalazłem. Popatrzmy, co tam we środku, co tu robić. Nasze oczy szyb nie przepala, ani kolorów z mebli nie wywabia! prawda? a? co tu robić! Dla dokończenia popatrzmy sobie!

W jednym z okien, wychodzących na werendę ocienioną, przez zapomnienie zapewne pozostało parę szyb nie zasmarowanych kredą. Widać było przez nie dwa pokoje obszerne

i część paru sąsiednich. W napelniającym je półmroku, sprzęty stały zblizka ku sobie przysuwane i tworzące na różnych punktach skupienia, podobne do gromadek widm z kształtami niewyraźnymi. Można by mniemać, że pogrążone w nocy wiecznej, wszystkie te krzesła, stoły, szafy, ekrany, pozbiegały się w kupki z przestrachu lub z nudy, na ciche narady lub gawędki. Niektóre stały wyprostowane i pełne zdumienia; inne, wyciągając ramiona długie lub krótkie, zdawały się o czemś rozprawiać lub o coś błagać. Jedne, wysokie i bogato przyozdobione, wyglądały uroczyście i dumnie; inne, niskie i przysadziste, miały pozór zbiedzony albo śmieszny. Lampa na bogatych łańcuchach, zwisająca od sufitu nad stołem owalnym, miała pozór łzawnicy, zawieszanej w grobowcu nad sarkofagiem. U jednej ze ścian dość wyraźnie widać było postać nagą, wymalowaną na obrazie. Ponieważ ramy znikwały zupełnie w zmroku, zdawała się ona zlatywać ku dołowi z patetycznym ruchem ramion wyciągniętych. Gdzieindziej wielkie zwierciadło odbijało w sobie portret kobiety w białej sukni. W skąpej świetle, padającym na portret i zwierciadło, widać było suknię białą i słaby zarys bladego owalu twarzy. Pomimowoli rodziła się myśl o tem, jak przy świtaniach siwych, zmrokach szarych i światłach księżycowych, ten portret i to jego odbicie patrzyły na siebie oko w oko, nieustannie, wiecznie, otoczone pustką i ciszą wieczną. W głębi najdalszej, na szyby okien, przykryte warstwą kredy, drzewa rosnące na dziedzińcu kładły cienie czarne i postrzępione. Było to tak, jak gdyby upiory z rozpostartymi palcami zaglądały do siedliska widm, zapytując: „Jak się macie?” Pod sufitami, gdziekolwiek, pozłoty migotały, jak iskry omglone; od rozet ze szkieł kolorowych, zdobiących szczyty niektórych okien, plamki czerwone i błękitne padały na posadzki, których mozaikę bez połysków zaścielały cienie podobne do całunów, a tam, gdzie było mniej ciemno, do krepy podartej.

Darnowscy zesli ze schodów werendy, kołyszących się pod ich stopami, przedarli się przez kilka puszczy rozmaitych, aż znaleźli się znowu na dziedzińcu, w pełni światła słonecznego, tuż przy gromadce ostów, które w powiewie wiatru zawzięcie trzęsły siwemi brodami.

Roman wydawał się zamyślonym, smutnym i nawet bledszym trochę, niż zazwyczaj. Pan Romuald przeciwnie, z ożywieniem i zapałem szeroko tłómaczył synowcowi, jakim jest gatunek ziemi, którą końcem laski rozgrzebywał. W bramie stanął i wzrokiem rozblęśnym zataczając dokoła, w boki się ujął:

— Skarby, kotku, nie majątek. Ziemię to oni uprawiają nieźle, nie najlepiej, jednak nie źle, bo, co tu robić, dochody daje, a któżby mógł nie dbać o dochody? Ale powiadam ci, kotku, że jednak nie dobywa się z niej tego, co mogłaby wydać... co tu robić, nie dobywa się i koniec. Co? jak? dlaczego? Ty się tam na tem nie znasz! Wczoraj nie byłeś, dziś jesteś, jutro nie będziesz. Mało wiesz, co tu robić, mało znasz, mało dbasz...

Roman, głosem stłumionym trochę, przerwał:

— Mój stryju, dobrze to małej Broni nazywać mię australczykiem, ale ty stryju... chciałbym, abyś ty...

Pan Romuald wpadł mu w mowę:

— Niechże Bóg bronie, kotku, abym ci miał krzywdę taką wyrządzać! Bronię nawet, co tu robić, za ten dziecinny żart wykrzyczałem. Któż wątpić może, co tu robić, że jesteś europejczykiem... tak, najpewniej, niewątpliwie, co tu robić, europejczykiem jesteś... pomimo to...

Nie skończył, bo w tej chwili zbliżył się do rozmawiających młody i zgrabny chłopak, który wyszedł był z dziedzińca folwarcznego, ukrytego pomiędzy budynkami gospodarskimi. W grubym, ale już nieco zakrawającym na elegancję ubraniu oficjalisty dworskiego, wybrał się był może na przechadzkę świąteczną, ale, zobaczywszy starego Darnowskiego, podszedł śpiesznie i pocałował go w ramię z uszanowaniem. Darnowski uściśnął mu rękę, widać było, że znali się zblizka i poufale. Kilka minut rozmawiali o rzeczach dla Romana niewiadomych, poczem pan Romuald, głową wskazując na pałac, zapytał:

— Powiedźże mi, mój Władku, nie wiesz czasem, kotku, gdzie jest teraz pan Oławicki? Ja i Stefek interes mamy do niego... co tu robić... o ten młyn, co go Bolesł Wygrycz chce wziąć w dzierżawę... Możebyśmy choć napisali, co tu robić, ale dwa miesiące temu nikt tu nie wiedział, gdzie się pan Oławicki obraca... Może teraz wiecie... kotku, co?

— Owszem — odpowiedział chłopak — był w tych dniach list od plenipotenty głównego, właśnie w interesie tego młyna i pana Wygrycza...

— Cóż tedy, kotku?

— Pisał plenipotent do rządcy tutejszego, że pan Oławicki miesiąc temu przyjechał z jakichś gór, gdzie upały przebył, do Ostendy, gdzie będzie kąpał się w morzu. Zabawi tam kilka tygodni, a potem, jak zawsze, pojedzie na zimę do Paryża.

— Aha — miarkował stary Darnowski — z gór przyjechał nad morze, a potem, co tu robić, jak zawsze, pojedzie na zimę do Paryża. Dziękuję ci, kotku, co tu robić, za tę wiadomość. A nie wiesz czasem, co pan plenipotent pisał o tym młynie? Wypuszczą go w dzierżawę Wygryczowi, czy nie wypuszczą?

— Niewiadomo — odparł chłopak — bo plenipotent od pana Oławickiego, a rządcą od plenipotenty, nie mają jeszcze o tem rozporządzenia żadnego.

— Od Annasza do Kaifasza, co tu robić, a Annasz o tysiąc mil — zauważył pan Romuald i podał rękę młodemu oficjalscie.

— Bądź zdrów, Władku, a pisz tam, kotku, do Ignasia, aby uczył się tego walić młotem w kowadło. Wszelka praca pana Boga chwali, co tu robić!

Idąc ku bryczce, zdała stojącej, mówił do Romana:

— Ten Bolesław Wygrycz, kotku, to syn tego lekarza, co to może pamiętasz...

— Pamiętam, pamiętam — przerwał Roman — w miasteczku tu gdzieś mieszkał, do Darnówki przyjeżdżał...

— Otóż to... ten młody, to technik... tylko co technologię skończył, co tu robić, u ojca czasowo bawi. Do Stefka przyjechał, bieduje. Ojciec stary, matka dogorywająca, bracia niedorośli, wszystko to bez niego, co tu robić, jak pod dziurawym dachem zostanie. „Chciałbym tu gdzieś blisko — mówi — choć czarny chleb jeść”... co tu robić. Stefek mu doradził ten młyn Oławickiego. Wielki, piękny, źle prowadzony, technik zrobiłby z niego cacko... Podobał mu się ten projekt, cóż, kiedy, co tu robić, niczego dobić się nie można...

Roman tego opowiadania może nawet i nie słuchał, tak był zamyślonym. Po głowie kręciły się mu słowa: „Bogactwo — oświata!” Stanąwszy u bryczki, ręką przetarł czoło.

— Wiedziałem zawsze, że tak bywa — zaczął — ale wiedzieć i widzieć — to różnica. Widząc, nie mogę obronić się myśli, że trzeba być chyba łotrem, albo warjatem...

Nie dokończył, bo pan Romuald szorstką dłonią rękę mu nakrył i przemówił:

— Cyt, kotku, cccyt! ostrożnie! ostrożnie, co tu robić, z przezywaniem ludzi łotrami i warjatami! Czyż tacy tylko szukają lepszego życia? Wszyscy to robią, tylko każdy według swojej możliwości i miary. Oławicki według swojej, inni według swojej. Idzie tu uważasz, kotku, idzie tu, co tu robić, tylko o miarę i możliwość. Inna miara i możliwość, rzecz, co tu robić, ta sama. I, kotku, dla tego granic niema... Dla ludzkich pożądań granic niema!

Roman, po chwili namysłu, odpowiedział:

— To prawda; masz słusność, stryju. Dla tego granic niema!..

Mówił zicha, bo ciężar coraz większy kładł się mu na piersi. Rzecz szczególna; w stopniu najmniejszym nie był winnym temu, że znalazł Górów innym wcale, niż go sobie wyobrażał; jednak ten ciężar, który mu pierś przytłaczał, był poczuciem winy, własnej winy. Było to tak, jakby odkrył, że jest spółnikiem w dziele, które sądził surowo. Przypomnił się mu „stupudowy ciężar na sumieniu”, o którym opowiadał Kazimierz Domunt.

Siedli na bryczkę; Roman spojrzął na stryja, który nagle jakoś zamilkł. Z profilu widząc go spostrzegł, że fałdy policzków jego były bardzo pogłębione, usta zazwyczaj dobroduszne, ułożyły się w linję ostrą i bolesną, a brwi siwe zwisły nad powiekami, jak ciężkie chmury. Wkrótce bryczka zaturkotała i przeraźliwie trząść się zaczęła na bruku wsi długiej, w ulicy, która od zieloności ogrodów odbijała czarnością błota. Bruk był ohydny ale ratował od trzęsawiska, które z mętnym połyskiem wód zgnitych zataczało się na podwórka i zatapiało podnoża płotków kamiennych. Pomiędzy płotkami ogrody były pełne warzyw, konopi i słoneczników na podwórkach stały beczynniki pługi, brony, wozy z opadłymi na ziemię dyszlami. Ludność wyległa na drogi, prowadzące do kościoła a pozostała tylko garść dzieci. Zaraz u wjazdu do wsi, dwoje ich siedziało w ubraniach odświętnych na wysokiej kupie chrustu. Wyglądały jak dwa szaro-czerwone posążki bożków małych, stróżujących u wrót domostwa. Gdzieindziej, całe gromadki różnych płci i wzrostów, hałaśliwie wypadały z podwórek, albo cicho stały we wrotach i obsiadywały

przyzby. Kundle żółte, pstre, kudłate, czekały na przejeżdżających, kury gdakały, z niektórych kominów podnosiły się szlaki dymu; za szybkami okien ukazywały się włosy siwe, koszule szare, czasem mirt w doniczce, pęk kwiatów w garnuszku.

— Wieś, którą przebywamy, należała niegdyś do Zawrocia. Stary Rosnowski, ojciec Bohdana, był człowiekiem ludzkim, chłopci mieli się tu zawsze wcale nieźle. Jednak to: nieźle, widzisz, kotku, jakie! Niektóre chaty próchnieją i wałają się, wszystkie razem w błocie siedzą. A dlaczego? Bo niema, co tu robić, tej kultury i tego postępu, dla których Bohdan tak pracuje, że aż go febra trzęsie i Swój z żalu wyje. Ale to, kotku, bardzo sprawiedliwie i rozumnie. Bo o kogo tu troszczyć się i dla kogo rozum ekspensować? Gromada istot, które mają wprawdzie, co tu robić, pozór ludzki, ale zawodny i fałszywy. Zauważyłeś może dzieciaki, siedzące na kupach chrustu i na przyzbach, albo te siwe włosy za okienkami, albo tę babę tak zgarbioną, pomarszczoną, która niosła na plecach wiadra z wodą? A widziałeś, kotku, co tu robić, tego chłopca dużego z dzieckiem na ręku, który śmiał się, kiedy dzieciak zaśmiał się do nas. Jak ci się podoba, kotku, takie odbijanie się uśmiechów dziecinnych na twarzach, wyglądających prawie dziko pod kudłami czupryn rozczochranych. Ja sobie takie uśmiechy porównywał zawsze, co tu robić, do promyków słońca, które odbijają się w chmurach. Oni to mają, co tu robić. Mają dzieciństwo i starość, te dwa bieguny życia, pomiędzy którymi różne promyki przebijają im różne chmury. Mają też, co tu robić, cmentarz. Patrz no, kotku, tam, hen... w piasku żółtym, pomiędzy sosenkami, ten laszek krzyżów. To ich cmentarz. Mają śmierć. Zupełnie tak, jak ludzie. Ale na tem, co tu robić, kończy się podobieństwo. O mnóstwie rzeczy ludzkich nie mów im nawet, bo nie rozumieją. Są to antropomorfy, prymaty, zwierzęta, najpodobniejsze do ludzi. Antropomorfy zaś, jako antropomorfy, bardzo naturalnie, kotku, że siedzą w błocie. Ludzie starają się, zabiegają, żyją tam, gdzie im lepiej i tak, jak im lepiej, bo są, co tu robić, ludźmi, w dodatku wyższymi. Antropomorfy zaś wiecznie siedzą w błocie, na którym chyba jeden Bóg miłosierny zasieje czasem jaki taki kwiatek... co tu robić!

Wszystko to mówił tonem opowiadania prostego, obojętnie i monotonna. Na Romana nie patrzył, ani na nic dookoła, oprócz końca laski, na której trzymał splecione ręce. W ten koniec laski, wtłoczony w kilimek, okrywający bryczkę, wpatrywał się tak, jakby wyczytywał z niego to, co mówił. Plecy miał zgarbione, brwi zwisłe nad powiekami i w dół także opadające siwe wąsy.

Roman wydawał się ciągle wzruszonym i bladym. Wzruszenie jego objawiało się przeważnie w oczach, które miały blask niezwykły; czyniło go to w tej chwili więcej, niż kiedykolwiek podobnym do Romualda i Stefana Darnowskich, mających oczy wyjątkowo ogniste.

Kilka razy chciał o czemś mówić, ale zawahał się, albo przeszkodził mu towarzysz rozgadany. Z wahaniem też w głosie przemówił:

— Wspomniał mi Kazio Domunt, że prawnik, któryby osiadł w tych stronach gdziekolwiek, w jakim, na przykład, miasteczku, mógłby egzystować i być użytecznym. Co myślisz o tem, stryju?

Darnowski podniósł głowę, i spojrzenie jego przesunęło się po twarzy synowca z błyskiem szybkim i żywym. Wnet potem wpatrzył się znowu w koniec laski i po krótkim zastanowieniu odpowiedział:

— Co do użyteczności, kotku, to czemuż, czemużby nie? Owszem, naturalnie, najpewniej, co tu robić. To rozumie się samo przez się. Stefek ma nawet na tym punkcie *idée fixe*. Czy ja pamiętam jeszcze, co znaczy *idée fixe*? Bzik, kotku, prawda? Otóż Stefek ma tego bzika, i, co tu robić, ja mu pewnie z głowy go nie wybiję. Ale co do egzystencji, co się tyczy egzystencji to, kotku... co tu robić!...

Poprawił się na siedzeniu, wpatrzył się jeszcze mocniej w koniec laski, przygarbił się jeszcze więcej i jakby z determinacją nagle przemówił:

— Egzystencja byłaby nieosobliwa, co tu robić, bardzo nieosobliwa, kotku, Ten, ktoby na nią przystał, nie potrzebowałby siedzieć w błocie, jak antropomorf, ale pasztetu nie miałby wcale, co tu robić, w żadnym *figuré* nie miałby pasztetu. Kiepski apartamencik z podłogą sosnową i pułapem belkowanym, muzyczka chyba jakiego antropomorfa na harmonijce, obrazki i teatryki, co tu robić, te chyba, które Bóg, stwórca natury, na jej płótnie ogromnem maluje. Do tego, kotku, kłopotarstwo, zgryzotarstwo i różne plagi,

podobne do egipskich. Kto to tam tego zechce? I po co? Dla bzika? Hej, hej, kotku, niema głupich! rozumni zaś, co tu robić, wiedzą, gdzie raki zimują! I naturalnie, kotku, bardzo naturalnie. Bo nad naturę, która stworzyła wołu, wieprza, wilka, pawia i całe królestwo zwierzęce, człowiek rzadko wzbic się może, co tu robić, choć nie antropomorfem jest, ale człowiekiem wyższym, rzadko wzbic się może, co tu robić, rzadko!

Bryczka stanęła przed wrotami cmentarza kościelnego, Darnowski podniósł głowę i zawołał:

— Masz, djabie, kaftan! spóźniliśmy się, już po procesji.

Wyskoczył z bryczki.

Przez otwarte na oścież drzwi kościelne wybuchał na cmentarz śpiew chóralny z muzyką organów. W wysokim okienku dzwonicy szarej dzwon lalał; serce jego, uderzając o ściany śpiżowe, rozlewało gorą dźwięki, szybkie, czyste, srebrne, tryumfalne. U kamiennego ogrodzenia kościoła, pod drzewami rozłożystemi, kwitły olbrzymie malwy dzikie, jak róże z koronami rozwartymi szeroko i śpiewali fałszywie żebracy, szeroko także otwierający usta bezzębne. Bryczki, wozy, tłum koni, stały na trawie, w cieniach, rzucanych przez drzewa. Przy amerykańce, zaprzężonym w cztery konie, leżał pies wielki, zwinięty w kłęb pstry i kosmaty. Stary Darnowski, około psa przechodząc, pochylił się i zawołał: Swój!

Zwierzę podniosło łeb i spojrzało oczyma leniwemi, lecz rozumnemi.

— Gdzie twój pan?

Pies mrugnął powiekami i powolne spojrzenie zwrócił ku drzwiom kościoła.

— Aha, tak! naturalnie. Kiedy ty tu jesteś, to i pan twój gdzieś blisko. Prawda, Swój?

Swój ziewnął, a potem odpowiedział krótko:

— Hau, hau!

Co wyraźnie znaczyło: tak, tak!

IX

Kiedy dwaj Darnowscy stanęli w drzwiach zakrystji, prowadzącej do prezbiterjum kościelnego, tłum ludzi nieruchomiał po skończonej procesji, jak fala, układająca się do spoczynku. Gdzieś tam przebiegały ją jeszcze drgnienia, nuta pieśni nie dokończonej przeciągała się, jak echo spóźnione, westchnienie zaszemrało, aż wszystko zapadło w ciszę i nieruchomość; ksiądz zaśpiewał u ołtarza i organy zagrały na wysokim chórze.

Roman kilka razy odetchnął z trudnością, jak człowiek, którego płuca znalazły się nagle w atmosferze niezwykłej i powiódł wzrokiem po wnętrzu kościoła, przedstawiającym widok jeszcze niezwyklejszy.

Przedewszystkiem od stopni ołtarza do balustrady, rozdzielającej prezbiterjum od nawy środkowej, słała się na białych płótnach mozaika z ziarn zbożowych, od najciemniejszej pszenicy do najjaśniejszego owsa. Na tem tle, przypominającym bronz, złoto i słomę, kupki maku, fasoli i nasion lnianych kładły plamy czarne, białe i brunatne, gdzieś tam połyskiwała na tem atomami srebrnymi świeżo spadła rosa wody święconej; gdzieś tam z okna wysokiego sphywał promień słońca, i w tem miejscu kobierzec z ziarn przybierał pozór metalu roztopionego.

Dalej, za balustradą, aż do zamkniętych wrót kościelnych, wyrastał z mnóstwa rąk ciemnych ogród, uderzający dwa naraz zmysły nagromadzeniem ogromnem barw i zapachów. Były to pierwociny płodów letnich, dobyte z ziemi przez te same ręce, które je teraz podnosiły ku niebu. Ztąd wysilenie wyobraźni naiwnych, aby je uczynić najzodobniejszemi. Szczegóły niesłychanie znane i powszednie; pomysły prostacze. Czego tam nie było? Rozzochrane jęczmień, mietlice i drzączki, długie kiście szafirowego akonitu, noszącego nazwę trzewiczków Matki Boskiej, baldachy żółtego kopru, przysłaniające amarantowość buraków, marchwie, ciekawie wyglądające z pomiędzy bławatków, główki kapusty w wiankach astrów, łodygi malw rozkwitłych, pęki makówek suchych, pioluny srebrne, słoneczniki ogromne, mięta, piżmo, barwinek i ruta! Girlandy rozchodników opadały do koła gałęzi, owieszonych jabłkami, rzepy, rzodkwie i kartofle jak nagłówki komiczne siedziały na łykach wysokich. Pasma lnu płowe i lśniące zwieszały się na ramionach; plastry miodu w misach glinianych stały na balustradzie. Wszystko razem biło mnóstwem barw zmieszanych, po których przelewały się połyski kruszcowe.

Z tego ogrodu napowietrznego, który prawie całkowicie zasłaniał głowy i twarze ludzkie, wybuchało zmieszanie aromatów, napęliających kościół od dołu do szczytu. Górowały w nim gorzkie wonie mięty, piołunu i rumianku, wyraźnie jednak odcinały się ostre kopry i kminy, jabłka pachniały winem, spodem stały się mdłe zapachy warzyw, a tu i owdzie błędziły atomy miodne. Od lnów także szedł zapach podobny do kurzawy lekkiej, i coś cikliwego, zrazu trudnego do rozpoznania, wybijało się jeszcze z tej puszczy aromatycznej: był to воск, przypominający gromnice, trumny i brzęki pszczelne w pasiekach zielonych.

Nad tem wszystkim wznosiły się ściany kościelne, szarawe od starości, tu i owdzie przetrnięte plamami malowideł starych albo linjami godeł świętych. Wysoko za oknami wązkami a długimi przepływały po błękitnie obłoki kędzierzawe; powietrzem, dusznym od puszczy zapachów, płynęła muzyka organu.

Roman długo wodził dokoła oczyma, aż nisko pochylił głowę. Spadł nań smutek przypomnień, idący zawsze od rzeczy dawno przeminionych, które powstają z grobu i kołacą do serca, długo przed nimi zamkniętego; on to wszystko widywał, znał, zapomniał, przypominał, rozpoznawał. Ale oprócz smutku, na który składają się po kroplicznie każdego życia, doświadczał uczucia z naturą daleko więcej tajemniczą. Było to uczucie winy. Towarzyszyła mu myśl niewyraźna, że miał je w sobie już oddawna, i że teraz przedzierało się mu ono na sam wierzch świadomości. Miał je w sobie już wówczas, gdy jadła go zgryzota życia na pozór pomyślnego; wówczas, gdy, patrząc na firmament gwiazdzisty, wybuchał śmiechem z rojeń o wielkości własnej, wówczas także, gdy wśród nocy słyszał w tentencie zegara i graniu świerszczy w trawach niepokojące i tajemnicze: tak — nie! tak — nie! Dziś, przed godziną, to uczucie winy wzrosło w Górowie opuszczonym, a teraz wzmogło się do stopnia takiego, że sam przed sobą zmalował do rozmiarów czegoś, co, omijając jakieś prawo najważniejsze, przestawało być czemkolwiek. Było to uczucie dojmujące i przygniatające. W świątyni, po której niegdyś dziecięce oczy jego szukały Boga, w morzu woni rodzinnych, w upalnym oddechu tłumu prostaczego, zaczynał cierpieć więcej, niż kiedykolwiek w życiu, a przynajmniej w sposób więcej popychający do czegoś, naglący. Siła jakaś niepojęta popychała i nagliła go do ostatecznego rozpoznania i zrozumienia tego, co dotąd spostrzegał mętnie i w głębiach oddalonych.

Z muzyki religijnej, z woni, wydzielanych przez kwiaty i kłosy, z obrazu zaslanego ziarnami i twarzami ludzkimi, rozsypanymi, jak ziarna pokorne, u stóp Wszechmocy i Wszechmiłości, dobywały się wyobrażenia i wyrazy, coraz znikające, ale ogromne. Nie mógł jeszcze zatrzymać ich w mózgu, ale powstawały, jak płomienie i, znikając, pozostawiały miejsca, sparzone przez ogień.

W ścisłości ludzkim łowił wzrokiem szczegóły, jakby na powierzchni morza odbicia jego dna. Krople potu polyskiwały w bruzdach, przerywających czoła ogorzale; u warg ściśniętych i białych wieszala się cierpliwość długa i pokorna; tu i owdzie z policzków zapadłych wycierał głód. Pod filarkiem cienkim, u którego chorągiew zwinięta świeciła gwiazdami spłowiełymi, z gromadki twarzy młodych wiosna biła, jak z pęku lilji i piwonji; dalej, daleko, pod gzemsem chóru białe włosy świeciły tu i owdzie, jak płaty śniegu, pozłoczone przez promień księżycy.

Zmienił kierunek spojrzenia i o kilkanaście kroków przed sobą zobaczył Bohdana Rosnowskiego, stojącego na przeciwległym skraju kobierca z ziaren. O krawędź ławki oparty, w paltocie, zwisającym na postaci trochę ciężkiej chociaż wychudzonej, Rosnowski miał na twarzy cerę żółtą i obojętny wyraz człowieka, znajdującego się na miejscu dla niego niewłaściwym. Wielka pewność siebie i niejaki przyzwyczajenie do zajmowania sobą miejsc szerokich malowało się w postawie niedbalej i zaokrąglonem ramieniu trzymającego w ręku kapelusza. Powieki miał spuszczone i usta trochę skrzywione, pod krótkim, gęstym wąsem. Ogarniało go znużenie, dosięgające stopnia bezwładu uczuć. W tej twarzy, znużonej i apatycznej, tylko wielkie rozumne czoło myślało, ale łatwo było odgadnąć, że myśl — to jedyne światło, które nigdy w nim nie gasło — znajdowała się ztąd daleko.

Roman odwrócił oczy, pochylił nisko głowę i po raz pierwszy w życiu popadł w zamyslenie takie, w którym człowiek głuchnie dla wszystkiego, co go otacza, a staje oko w oko z duszą własną. Tylko z nią jedną, ale oko w oko. I jeszcze z życiem własnym takim, jakim było nie na powierzchni, ale w głębi duszy,

Patrzył, przypominał, porównywał, aż dwa wyrazy uderzyły świadomość jego z jasnością i siłą przeraźliwą. Chciał zrazu cofnąć się przed nimi, ale nie mógł. Znajdował się w momencie psychologicznym, w którym prawda nie może być ani uniknioną, ani odłożoną na później. Jasno i stanowczo tak, jak sędzia czyta wyrok obwinionemu przeczytał dwa wyrazy, dobyte z głębin duszy własnej: Żył źle.

Potem, niby motywy wyroku, przewlekły się przez mózg słowa:

— Dla parawaników chińskich.

Podniósł oczy i wzrok jego zatrzymał się na niedalekiej twarzy kobiecej. Po raz pierwszy spostrzegł tu Irenę, klęczącą niedaleko, pod zwartą ścianą tłumu. Klęczała z rękoma, splecionymi na balustradzie i oczyma wzniesionymi wysoko. W sukni ciemnej i prawie ubogiej uwypuklała się na jaskrawym tle wznoszącej się za nią ściany tłumów. Więzie roślinne, trzymane nad jej głową i ramionami, ujmowały ją w ramy kwieciste, nastrzępione. Atmosfera kościelna, gorąca i duszna powlokła jej twarz rumieńcem, ale coś, co było w niej samej, zmąciło zwykły jej wyraz spokoju. Wzruszenie drżało na ustach nieco rozwartych, na rzęsy wzniesione występowały krople duże i, przesłaniając źrenice, spływały na policzki jedna za drugą.

Nieświadomie, posłuszny instynktowi, który był może instynktem zachowawczym jego duszy, Roman obrócił twarz w stronę, ku której ona zwracała swoją, i wznosił wzrok ku punktowi, w którym tkwił wzrok jej, przysłonięty łzami, aż ujrzał to, czego dotąd był nie spostrzegł.

Wysoko, nad szczytem ołtarza, zobaczył postać Chrystusa białą i zgiętą pod krzyżem, spoczywającym na jej barkach, ciemnym i wielkim; wysoko, nie tyle przecież, aby nie można było rozróżnić dokładnie linii oblicza, które pochylało się ku dołowi z pod brzemienia, dźwiganego z wyrazem cierpienia i litości. Skrwawione i cierpiące było nade wszystko litościwem. Biło z niego to apogeum miłości, którym jest ofiara. Narzędzie ofiary, krzyż ogromny, linją ukośną wysuwając się z nad twarzy umęczonej i litościwej, szerokie ramiona rozpościerał nad kobiercem ziarn zbożowych. Jakkolwiek te ramiona nie sięgały dalej, oczom patrzącym z dołu zdawało się jednak, że coraz wzrastają i rozpościerają się nad pstrzem morzem ludzi i roślin; zalewającym padół kościelny. Nieruchome i nieme posiadały ruch i mowę, wyciągały się coraz dalej i ciekły na padół kościelny słowami:

— „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem będą pocieszeni;

— Błogosławieni, którzy cierpią dla sprawiedliwości...

— Błogosławieni miłosierni”...

W umyśle Romana, zapatrzonego w górę, zapanowywała cisza taka, jaka zazwyczaj poprzedza wschód słońca. Na widnokrąg jego wschodziło słowo magiczne. Nagle zrozumiał znaczenie krzyża, panującego nad pokojem Stefana i zagadkę spokoju Ireny wobec przyszłości smutnej a może nieszczęsnej. Zrozumiał prawo, rządzące życiem ludzi, którzy wiele wyrzekają się i znoszą. Z oblicza umęczonego, z ramion krzyża, rozpostartych nad morzem ludzkim, weszło na widnokrąg jego umysłu magiczne słowo: ofiara!

Wtem usłyszał szum i łoskot, podobny do wichru. Z trudnością oderwał wzrok od punktu górnego i powiódł nim po kościele. Jak wody, opadające na dno łóżyska, tak tłum ludzki zniżał się ku posadzce kościelnej. Stawało się to szybko, ale stopniowo: najwcześniej u balustrady, najpóźniej pod gzymssem chóru i u wrót zamkniętych. Na całej przestrzeni, zawartej w ścianach, szarawych od starości, pstre morze przybrało jeden poziom ludu, opadłego na klęczki. Tylko ludu, bo ogród zniknął. Na ziemię rzucone, plecami zasłonięte, kolanami zgniecione więzie roślinne wydały wonie spotęgowane i zniknęły, odsłaniając ścisk gęsty ubiorów, głów, twarzy, z którego wybuchnął śpiew, podobny do grzmotu:

— „Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!”

Antropomorfy przemówiły. Przyniosły tu wszystkie swoje nędze i żądania, przeczucia rzeczy wielkich, iskry, śpiące pod popiołami, głody, wyzierające z policzków zapadłych, poty, stojące na czołach zoranych, i chórem ogromnym przemówiły do Boga:

— Zmiłuj się nad nami!

Roman znowu spojrzął w górę. Ogromny krzyż rósł, rósł w oczach; w miarę wzrastania śpiewu na padole kościelnym ramiona jego rosły, rozszerzały się, ruchem litości bezbrzeżnej rozpościerały się nad bezbrzeżnym morzem nędzy ludzkiej. Z pod krzyża ob-

licze, uwieńczone cierniami i krwią ociekające, zdawało się także pochylać coraz niżej, coraz niżej i na padół, wrzący krzykiem błagalnym, łac szept ofiarny:

— Za was, dla was.

Romana przebiegły dreszcze takie, w jakich zazwyczaj rodzą się uczucia wielkie, z jaskrami może ptak rozpina skrzydła do lotów wysokich. Doświadczył rzeczy dziwnej. Wydało się mu, że serce jego, własne jego serce małe, wchodziło w inne bardzo ogromne, wypełniające sobą kościół od dołu do szczytu. To małe serce łączyło się z tem ogromnem, razem z niem uderzało, płonęło, płakało i razem z niem z całej siły swojej wołało:

— Zmiłuj się nad nami!

ZAKOŃCZENIE

Wypadkiem, wszyscy mieszkańcy starego domu w Darnówce zeszli się razem dokoła stołu jadalnego, na parę godzin przed południem. Zazwyczaj każdy o tej porze był czemś zajęty, ale dzisiaj deszcz padał, trzeba było przerwać roboty w polu. Pan Romuald przed chwilą przyszedł ze stodoły, w której huczała młockarnia; Stefan zszedł z góry do Domunta, który, pomimo deszczu, przyszedł z Kaźmirówki z oznajmieniem, że mularz skończył już robotę około świeżo budowanych pieców, a traczom zabrakło drzewa do pilowania desek na podłogę. Irena postawiła filiżankę przed panią Pauliną, która, wstając najpóźniej ze wszystkich, o tej porze pijała zawsze swoją ranną kawę, i zakrzętnęła się około podania przekąski, której pan Romuald, wstający bardzo wcześnie, zażądał dla siebie i gościa, trochę przemokłego od deszczu. Bronia, w kątku pokoju z książką w ręku, trochę uczyła się lekcji, trochę przemawiała do Czuwaja, że jest to wstyd, aby pies tak wielki, rozumny i poczciwy, nie umiał mówić. Swój umie, więc i Czuwaj umieć powinien.

Pani Paulina, która już od kwadransu przerzucała klocki drewniane pomiędzy niemi, rozsnutemi na poduszce, przerywając rozmowę mężczyzn o mularzu i deskach na podłogę, zapytała o Romana:

— Gdzie Romek? czy śpi jeszcze? Codzień przychodzi o tej porze i pije ze mną kawę.

Może spał jeszcze, bo Stefan, o piątej zrana idąc do gospodarstwa, widział przez drzwi niedomknięte światło, palące się jeszcze w jego pokoju. Chorym jednak nie był, tylko zapewne przez całą noc pisał, bo przed udaniem się do swego pokoju zachodził do Stefana i prosił go o kilka kopert rozmiarów różnych, których, jak mówił, nie miał z sobą.

Irena postawiła przed wujem małą tacę z chlebem, serem i wędliną. Potem wzięła klucze, leżące przy samowarze, i wyszła z pokoju.

Deszcz padał coraz większy, dzwonił po szybach i ściekał po nich strugami wody. Siedzące przy stole osoby przestały na chwilę rozmawiać, w ciszy, przerywanej tylko szelstem kartek, przewracanych przez Bronię, dało się słyszeć szybkie zbieganie ze schodów.

— Romek idzie! — zawołała Bronia.

Wszedł i, prędko przybliżywszy się do stołu, pocałował stryjenkę w rękę, stryja w ramię; Stefanowi i Domuntowi ręce uściśnął.

— Dzień dobry, dzień dobry! — wołała do niego Bronia z kąta pokoju.

— Dzień dobry, myszce — odpowiedział.

— I Czuwajowi także? — zagadnęła dziewczynka.

— Naturalnie, i Czuwajowi, ponieważ jest twoim faworytem.

Wydawał się wesołym, wcale nie znać było po nim nocy niespanej. W ręku trzymał kilka zamkniętych kopert rozmiarów różnych. Może był trochę podniecony, bo w oczach miał blask niezwykły; ale usta świeże uśmiechały się wesoło z pod wąsa, zakręconego trochę zuchwale. Usiadłszy zwrócił się do stryja.

— Mój stryju — rzekł — mam do ciebie wielką prośbę, a także do stryjenki i Stefana. Nie odmawiajcie mi, moi serdeczni, gościnności swojej w Darnówce, dopóki nie wyszukam tu sobie gdziekolwiek miejsca dla rozbicia namiotu i umieszczenia pod nim swoich penatów.

— Zdecydowałeś się więc! — zawołał Domunt.

— Zdecydowałem się — odpowiedział Roman — napisałem z uwiadomieniem wszędzie, gdzie potrzeba.

Pan Romuald, obu rękoma opierając się o stół, powoli podnosił się z krzesła. Ogniste oczy jego tkwiły w twarzy synowca. Zmarszczki rozprasały się po całym czole, jak ukośne promienie. Nagle zawołał ze śmiechem:

— Bzik cię opanował, he? co tu ro... — głos załamał mu się w gardle, i odwrócił twarz do okna, może dlatego, aby ukryć powłokę szklistą, pod którą znikają mu źrenice.

— Trzeba tylko wyszukać miejsca na warsztat — rzekł Roman.

Stefan wyciągnął do niego rękę.

— Będziemy razem szukać, braciszku.

Pani Paulina, splatając chude ręce, lamentowała:

— Mój Romku, któżby się był tego spodziewał! Ach, ach, ach, taki światowy był z ciebie człowiek, tak dobrze żyłeś i tak wysoko szedłeś... A teraz, ach, ach, ach, będziesz w jakiejś norze biedę klepał, i daj Boże, abys tylko miał porządny kawałek chleba. Choć z drugiej strony my ciebie tak kochamy, i dla nas to taka radość, a kiedy człowiek jest otoczony tymi, którzy go kochają, i robi to, co pan Bóg przykazał...

Niewiadomo, co więcej mówiła, bo głos jej zagłuszał szczebiot Bronki, która najprzód z wielkim krzykiem zarzuciła Australczykowi ręce na szyję, potem pocałowała go głośno w oba policzki, a potem łeb Czuwaja aktem przemocy do ręki jego przychylając, wołała:

— Dziękuj, Czuwaj, no, dziękujże panu... dziękuj, bom taka rada... no, Czuwaj, słyszysz? poliż-że pana w rękę...

Ale zaraz porzuciła Czuwaja i skoczyła ku Irenie, wchodzącej do pokoju:

— Iruś, wiesz? nowina! wielka nowina! Ale nie powiem jaka! zgadnij!

Irena powiodła wzrokiem po obecnych, zgađła i stała cicha z rękoma opadłemi na fartuch w szare kratki, wpatrzona w Romana, jakby olśniona.

On prędko podszedł do niej i, podając jej zamknięte koperty, rzekł głosem, który trochę zadrżał:

— Odeślij to na pocztę...

Potem wziął obie jej ręce w swoje i zcicha przemówił:

— Nie ja, nie moje, nie mnie, nie dla mnie...

Patrzył w jej twarz, okrytą wyrazem szczęścia, spłonioną aż do skraju włosów kucznych, i myślał, że w oczach tej kobiety, ku niemu wzniesionych, wschodzi dla niego radośne święto życia. Myślał, że w życiu srogim jest też miłosierdzie wielkie, które na ofiary ludzkie leje balsamy łagodzące.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/australczyk>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Australczyk*. Powieść, nakładem Księgarni K. Grendyszyńskiego, Petersburg 1896.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0602-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).